http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXV.

http://rcin.org.pl

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM JEDENASTY.

NEMOLAKA.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1873.

http://rcin.org.pl

NEMOLAKA.

POWIEŚĆ SŁAWIAŃSKA

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1873.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Strona
I.	Nemolaka	3
II.	Binbaszy	21
III.	Branka	37
IV.	Dawne Grzechy	53
V.	Rybna Łówka	69
VI.	Wróżba	83
VII.	Przybory	99
VIII.	Swadżba	117
IX.	Wyprawa	135
X.	Po Wyprawie	153
XI.	JESZCZE po Wyprawie	171
XII.	Pochod	187
XIII.	Małżeństwo	205
XIV.	Po Małżeństwie	223
XV.	Pielgrzymka	243
XVI.	Wszystkiemu Koniec	261

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

NEMOLAKA.

Iwan Michajłowicz Skorupadzki, ze starej rodziny kozaczej, z ziemi Pułtawskiej, był potomkiem hetmana Ukrainy, wsławionego na wojnach i zamożnego w dostatki. Od Dniepru aż do Dońca, od Czarnego morza, po Czernichowskie kurhany, kiedy kraj objeżdżał, i na ziemiach kozaczych sprawiał Kozaków — to na swoich własnych dziedzictwach, w swoich własnych zamkach i nocował i popasał. Po nad Worsklą pasały się tabuny hetmańskie pana Skorupadzkiego, po tysiąc klaczy jeden a czystej porody polskiej, jelonki [1]) pod lekkie chorągwie kozacze, a garbonose pod pancernych towarzyszy Zaporoża. Jego, Apostoła i Zawadowskiego konie były znane po wszej Ukrainie — i dżamety wschodnie ich nie przewyższały. Wszyscy trzej byli starszyzną kozaczą i wszyscy trzej szlachtą herbową polską — jeszcze z czasów Piastowych i Jagiellonowych, kiedy Korona prawem Bożem szła z ojca na syna, a nie była jeszcze puszczaną na szatańską frymarkę kieliszkowych wyborców: tego chce, a tego nie chce. Z takiej szlachty ród, i nie mógł i nie umiał na posadzkach prześlizgać życia, i na sofach puchowych przy kominku doczekiwać się śmierci. Na miejscu siedzieć, z jednego i tegoż samego pieca chleb jeść, to nuda, gorsza śmierci; żeby jakim łańcuchem ich przykuto do najroskoszniejszych dostatków, ale z wiedzą, że jakiemi są dziś, takiemi będą i jutro, to i łańcuchy byłyby porwane i szlachciątko hetmańskie byłoby nie utrzymane. To była krew łacka, krew rycerska,

http://rcin.org.pl

jeszcze nie zbękarcona przez matki, ani zmazgajona, ani zhandlowana przez ojców — krew czysta, krew szlachecka, więc szlachetna, której trzeba było kozakować, żeby się siwego wąsa nie doczekać za piecem, a jak umrzeć, to umrzeć, byle nie na pieluchach. Ojciec Iwana, Michał Pawłowicz Skorupadzki, kozacze orlątko, nie dosiedział w gnieździe: w siedmnastym roku zemknął z uniwersytetu Charkowskiego, ażeby nie tak zrobić, jak inni ludzie robią, bo to nie byłoby po kozaczemu. — W miejscu pojechać nad Dunaj i za Dunaj, do armji Czyczagowa i rotmistrzować w ułanach lub huzarach ukraińskich, którzy nastąpili po kozakach regestrowych; ruszył nad Ebru rzekę ze szlachtą polską, tłuc Hiszpanów, tłuc Anglików — kochać się w ognistych Hiszpankach, i poziewać z sentymentalnemi Angielkami. Z Napoleonem Wielkim zalewał sadła za skórę Niemcom Szwabom, miażdżył na łój, na masło Niemców-Prusów — i lekko mu na sercu było, żeby tę niemiecką juchę spuścić z Elbą w zamorskie kraje, a dawne sławiańskie ziemie oczyścić z tego niemieckiego kąkolu, który zaczął już głuszyć sławiańskie zboże i na kąkol przeistaczać. Wojował, póki mu pod Awerszтad bagnetem jakiś Prusak lewego oka nie wysadził, a pod Wagram kula austrjackiej armaty nie urwała lewej nogi — dwa podarunki niemieckie, z których tak chorował, że aż wyłysiał, i powróciwszy do zamków hetmańskich, dla tych, którzy nie rozumieli ani kozaczej duszy, ani kosztowali kozaczego życia, był zys-łys, kuternoga; kiedy co się uda, to wielka łaska Boga — nie udał się; ale że miał zamki i wioski, stada i trzody, złoto i złoto, więc znalazła się młoda i ładna żona, a na dobitek szczęścia kozaczka i polska szlachcianka. Kozakował językiem i dzieci płodził, i szczęśliwszy od innych tam umarł, gdzie się urodził.

Syn był ojcowska dziecina, jak mówią, na tej błogiej Ukrainie — jaka woda, taki młyn, jaki ojciec, taki syn — w domu nie przysiedział połów i zrobił, jak ludzie nie robią, nucąc sobie: Nie ma rady dla duszy kozaczej, u nas inaczej, u nas inaczej: w miejscu w gwardji szczegolić, albo w miejscu gonić Czerkiesa po krzakach, jak zająca, i złowić jeneralskie szlify — puścił się do szlachty polskiej: natura pociągnęła

http://rcin.org.pl

wilka do lasu. Nie pomny na wyzuwitów, nie pomny na smażenie Pawluka i Łobody w miedzianym wole, na sromotne zamordowanie Jana Wyhowskiego, i na wszystkie te szlacheckie narowy, które wprawdzie szły z wyzuwickiej podmowy, ale powinny były rozburzyć zemstę i odrazę w kozaczem sercu. Poszedł kozak z rodu, kozak z Ukrainy, nie proszony, wojować z Lachami przeciwko swoim — i wojował. W końcu dowojował się, że go Szwaby Niemcy wodzili jak niedźwiedzia, z Ołomuńca do Brinu, po całym niemieckim kraju. Biedny kozak musiał słuchać dzień i noc ch obrzydliwego szwargotu; o mało co nie zwarjował, srodze za grzechy pokutował — a na dobitek jak się dostał do Francji, a tam go wzięli w swoje łapy demokraci, węglarze, bracia żołnierze, kosyniery, trzecimaiści, zjednoczeńce, i całego świata polityczni wygnańce i szaleńce — jak zaczęli wrzeszczeć: Kosyniery to zdrajce! — a jakiś tam kosynier prawdziwy, co na prawdę płatał kosą łby i ludziom i koniom, w bek: — A ja myślał, że to poczciwi ludzie, a to zdrajce, i mnie zrobili kosynierem! Bracia żołnierze, to najemnicy, sprzedajna rasa! — A tu krzyki: Przecie i my żołnierzami byliśmy, a Bóg da będziemy! — Niemi nie jesteście, nie będziecie takiemi — jesteście obywatelami! — Wszystko brudy, wszeteczeństwo, wszystko śmiecie — oprócz demokracji, a nad nią centralizacji!

Biedne kozaczysko stracił głowę — jak dał nurka, tak nie wyhulknął aż na Dobrudży. Tu dopiero obejrzał się po świecie, pomiędzy kozakami. Do zamków już mu nie wracać i nie zwać się Skorupadzkim, potomkiem hetmana — został prostym kozakiem, sekciarzem, nemolakiem — i to było potrzebnem dla duszy kozaczej, żeby nie tak jak drudzy, ale inaczej, inaczej. Ożenił się z ładną, młodą i gospodarną dziewczyną, zaczął ryby łowić, solić i przedawać — szło nie źle, nad Dunawcem, na uroczysku ostatniej siczy. Marzył o atamanie Morozie [2]), który w oczach kapudana, kulawego Huzrewa z okrętem w powietrze prochem się wysadził, żeby nie dać Grekom zabrać skarbów sułtańskich; o atamanie Lachu, który w Misolungi wyprawił koliszczyznę na Grekach, wojował z Serbami, a co tydzień jednego żyda

http://rcin.org.pl

arędarza w siczy wieszał — i o panu Hładkim [3]), który zabrawszy kozackie manatki, poszedł na Azowskie wybrzeża, służyć Białemu Carowi. I rybki łapał, które podchodziły do dawnego koczowiska kozaczego. Potem, jak trochę urosł w pierze, wszedł w spółkę z Michałem Nosem, z Osipem Siemienowiczem i Kuźmą Wazyliskiem — i został w Tulczy zamożnym kupcem nemolaką.

Bóg nie dał mu syna; widać, że nie był rad ze Skorupadzkich rodu, że wszystko robili na opak innych ludzi — więc powiedział: Niech nie będzie tych dziwaków, którzy mi rzucają dar boży, rzucają ziemie i zamki, dobytki i dostatki — żeby zadarłszy ogony, latali jak cielęta po cudzych grzędach, nie wiedzieć po co i o co? Nie lubię włóczęgów — i moi namiestnicy nakazują, żeby ludzie poczciwi brody golili i po świecie się nie włóczyli. Niech tedy ginie imię Skorupadzkich i niech się więcej na Ukrainie nie pojawia. — Ale za to Bóg mu dał córeczkę, i to taką, że było się czem przed ludźmi i przed samym Bogiem pochwalić. Wzrostem ni wielka, ni mała, w samą miarę, jak dla kobiety być przystało; kibić smukła, w pasie jak biczem przecięta, mogłaby być dwoma dłoniami objęta; piersi, kłęby tak z pod sukni oko nęcą, tak się misternie uroczo wydają, że wzrok nie może się nacałować tego co widzi, tego co zgaduje — chciałby całować jeszcze i jeszcze. Nóżka mała, wysoka na podbiciu, i rączka mała, palce długie, a paznokcie bladoróżowe, najśliczniejszej emalji — cała szlachetność rodu hetmańskiego wybijała się na tych nóżkach, na tych rączkach. Liczko gładkie, białe, lekki rumieniec jakby z wnętrzna, ze skóry się wydobywał i krasił od czasu do czasu żywiej to liczko anioła, kiedy mu jaka dumka po licu, po czole przeleci. Nosek orli, ale mały; usteczka różowe, na pół rozwarte, wciąż odkrywały dwa rzędy białych ząbków, ładnych jak perły — koralem i perłami Bóg ją ozdobił; uszko małe, a w czole tyle tajemnicy, tyle ponęty, że wzrok od nich oderwać się nie może — chciałby dojrzeć, jakie tam są dumki, bo czoło dziewicy, to dziennik jej życia. Oko błękitne, szafir prawdziwy, słodycz w nim nieba i ogień drogiego kamienia; powieka, jak zasłona jedwabiu ten blask

http://rcin.org.pl

przysłania, żeby nie popalić serc ludzkich — a rzęsy ciemne mszą się nad okiem, a to oczko takie, żeby się zgryźć, zjeść chciało, całusami — a kruczych włosów sploty sklniły się pod słońca błękitem, jak krucze pióra. Dziewica miała ośmnasty rok, a nosiła imię Praxeda.

Nie była to prosta dobrudzka kozaczka, ale była to jedynaczka hetmańskiego rodu, choć nemolaczka. Ojciec sam był jej nauczycielem, i nauk i języków obcych; umiała grać na fortepianie, choćby jakie andante i opery, śpiewać dumki kozacze, a nawet francuskie romanse — mówić o cudzych krajach, o obcych zwyczajach, o swojej rodzimej historji. Ojciec co umiał, wszystkiego jej nauczył, oprócz niemieckiego języka, bo tego szwargotu za nic w świecie do swego rodu wprowadzać nie chciał, bo on jeszcze starowierny kozak, u którego djabli strój, djabli krój i mowa, to wszystko niemieckie — i djabeł sam, to istny Niemczyk. Tak to postanowiła cerkiew prawosławna, i kijowska i moskiewska — tak być musi, a nie inaczej. Nosiła się według wzorów Paryża, który mimo Niemców zawsze mistrzował, mistrzuje i mistrzować będzie światu we wszystkiem, dobrem i złem, może nie potrzebnem, ale nie szpetnem, jak to, co niemieckie, a nawet angielskie, bo ani odraźliwe, ani godne śmiechu i nie oburzające ludzkości, człowieczeństwa. — Ojciec jej dostawał co było najmodniejsze w Krasnych Jasach i w Bukareszcie, i po kilka razy na rok z córeczką wyjeżdżał do tych miast. Sam lubił bawić się tym gwarem, który mu przypominał dawne czasy, a dawne zawsze dobre. I córeczka tam była piękną cudzoziemką, a nie jak w Tulczy nemolaczką. Jednak Praxeda lubiła od czasu do czasu przybierać się w strój kozacki ukraiński: koszula czerwona, mereżona na rękawach, spięta pod szyję zasieczką barwistą, życzką albo byndą na około głowy, razem ze splecionemi kosami kruczych włosów. Korale, perły i paciorki rozmaitych barw na szyi, a przy każdym sznurku krzyżyk złoty, srebrny i obrazki świętych Pańskich. Spodnica kałamajkowa, w pasy siedmiu kolorów tęczy — i fartuszek biały, obrzucany mereżem białym, lub czerwonym — żółte buciki z wywracanemi podkówkami z czystego srebra. I wtenczas, kiedy ją kto wi-

http://rcin.org.pl

dział, a był Ukrainiec, to padał przed nią na kolana, jak przed świętą Ukrainy i modlił się, by ona wymodliła u Boga Ukrainę.

W Tulczy nemolaka trudnił się raczej swoim handlem przez swoich wspólników, jak przez siebie samego. Unikał wszelkich stosunków z konakiem, z czorbadżyjami, z konsulami i ze wszelkiemi władzami i niewładzami miejscowemi; podatki płacił, hangaryje[4]), daremszczyzny za pieniądze przez innych odbywał. Z córką do obcych domów w gościnę nie chodził — a u siebie w domu z miejscowych ludzi przyjmował tylko dwóch: starego weterana kozaków, Iwana Woronę, zamieszkałego w Tulczy, i równie starego, ale jeszcze krzepkiego zdrowiem i miną, byłego rotmistrza ułanów, Osipa Żuka, urzędnika wielu przedsięwzięć prywatnych i rządowych, żonatego i posesjonata. Obydwaj byli szlachtą polską i herbowymi ludźmi. Z nimi razem hetmański potomek wojował, a potem za granicami politykował. Ci dwaj u niego częstymi gośćmi bywali. Wtenczas woda na samowarze wrzała, piękna Praxeda przyprawiała mocną herbatę, z kwiatem cwietoczną, którą odbierał nemolaka lądem z samego Kijowa od Bałabuchy, albo od Kisielewskiego, razem z rozmaitemi konfektami suchemi i mokremi, i rozmaitemi przysmaczkami kijowskiemi, jako księgę krasną, a przezroczystą jak bursztyn, bilugę, minogi — czasem nawet kawiar dnieprzański, żeby Ukrainiec nie zapomniał Dniepru nad Dunajem. Na tacach te wszystkie przysmaki stawiano przed gośćmi, a Praxeda czuwała, by szklankę wypróżnioną zaraz dolewać nową herbatą i jej siłę zwiększać rumem z Jamaiki, czasem dolewając śmietanki, jak na bożej Ukrainie. Starzy gawędzili sobie, popijając i podjadając — czasem zagrywali w marjasza, w pulę, a czasami w warcaby — po polsku z damą, posuwającą się wprzód, w tył, ale o jeden krok tylko — albo po francusku z damą latającą, z kąta w kąt, po całej szachownicy. Czasami także młoda Praxeda grała na fortepianie, albo śpiewała dumki kozacze.

Matka Praxedy żyła jeszcze, ale już bardzo się podstarzała — była to prawdziwa nemolaczka; przyniosła Skorupadzkiemu bogaty posag, sekciarstwo i nazwę. Poważał on

http://rcin.org.pl

i szanował swoją matronę, z którą tyle lat przeżył razem; ale ona biedaczka już nie wiele mogła po domu się ruszać; wszystkie starania domowe zdawała na córkę, a największe pielęgnowanie siebie. Praxeda uiszczała się ze swojego obowiązku ze słodyczą, z poświęceniem się anioła. Była ona duszą domu, pociechą matki, jej niańką, jej wszystkiem — a chlubą ojca; choć nemolaka, wzdychał ciągle z podziękowaniem do Boga za tę dzieweczkę.

Worona prawdziwego ukraińskiego rodu, kość z kości, krew z krwi kozacza, ale za młodu ćwiczony przez Wyzuwitów, nabrał formy katolickiej, a nie pozostało mu nic z barwy kozaczej, oprócz nazwiska. Ale był to sumienny szlachcic, politycznie ani hołota, ani niecnota. Jego przodkowie, dawne Worony, powtarzali: Król i Rzeczpospolita, na tem kwita. On zaś dobrze bity przez Wyzuwitów, żeby sprawdzić wyzuwickie przysłowie, że za jednego bitego dają dwóch niebitych i jeszcze nie biorą — zmodyfikował zdanie praojców na: Król i dynastja, a z nimi Ojcowie Jezuici, w biretach, żeby skuteczniej djabłów odganiać z tej ziemi — fraczkowi i kapeluszowi, żeby snadniej na wędkę łowić ludzi obojej płci, na pożytek zakonu. Z tego powodu był wielkim wielbicielem płci pięknej, żeby ją łowić do dynastycznej idei. Kiedy mówił do przekupki jakiej, choćby takiej, co kiełbasy i flaki sprzedaje, to kapelusz, kołpak czy fez z głowy i aż do kolana spuszczał — dzieci nawet cudze na rękach nosił. Nawet kiedy był na koniu strojny i zbrojny i kiedy harmaty brzmiały, a kartacze koło niego gradem padały — był hramotny i głęboko uczony; takie książki pisał i drukował, takie rozumne, pełne porządku i ładu, że Polacy na niego jak kawki na prawdziwą wronę krakali. Mało który doczytał do końca, a jeszcze mniej który chciał zrozumieć i pojąć — nie dla tego, żeby to co pisał było trudnem do pojęcia, ale że nie pasowało do górnej fantazji i do nie pozwalam — i drała do gruby! Dla idei wszystko, co miał, poświęcił, o grosz nie dbał — dla tego też na starość został bez grosza.

Pan Żuk do polityki o tyle się mięszał, ile ta choć jaką taką intratkę przynosiła, a przynajmniej śniadaneczko i objadek.

http://rcin.org.pl

Człowiek usłużny, lubił bardzo agentować, ale na kopyt: że Panu Bogu kapliczkę, a panu djabłowi świeczkę. Nigdy nikogo nie obrażał i tak zawsze rzeczy kierował, żeby i wilk był syty i koza cała. Dworak, ugrzeczniony, nadskakujący nawet, ale z godnością; gdyby był uczony, byłby taki dyplomata, jakiego chce mieć Taylerand. Nie nadto gorliwości, a wiele zręczności — za młodu aż do starości płatał figle, ale dobrego gustu. Towarzystwo spekulantów, ale emigrantów, założyło na azyjskiej stronie Bosforu cegielnie — zawsze w filantropicznym celu, żeby poczciwym Turkaszom pomurować domy i ochronić ich ile można od plagi pożarów. Pan Żuk został administratorem, a jeden zamożny panicz z Podola, później posesjonista chałupki na osadzie polskiej, inspektorem. Sześć miesięcy upływało, administracja pieniędzmi hulowała, żeby nie zapleśniały — remanenta nawet sprzedawała, żeby kupić lepsze, a nie było na widowni ani jednej cegiełki wypalonej. Akcjonarjusze w kweres na inspektora; inspektor jedzie na inspekcją, administrator z obiadkiem czeka — zupa z kiszką wątrobianą, aż palce oblizać, zrazy zawijane z kaszą hreczaną, kołduny tatarskie, indor pieczony i nadziewany z podlewą, grzybek z bakalją — przytem winko cypryjskie i wódeczka z Chijo — po polsku: głodne żołądki do niczego, ani do sądu, ani do rachunku. Podjadłszy sobie, wszystko pójdzie jak po maśle — a jak się podjadło i podpiło, to do pracy wcale nie było miło. Więc się podpisało: Wszystko dobrze! — i na tem się skończyła inspekcja. I tak spekulacja ciągnęła się trzy lata, ani jednej cegiełki, ani jednej paryczki; bilans przychodu i rozchodu zrównany — akcjonarjusze tego, co dali, nie odebrali, ale też i nic nie odpłacili. Pan Żuk był bez grosza, wszystko poszło na traktamenta, według szlacheckiego autoramentu.

Pewnego razu jeden z towarzyszy agencji pana Żuka, mający lat ośmnaście, zakochał się w Greczynce, wdówce, czy separatce, i panu Żukowi, jako doświadczonemu bywalcowi, zwierzył, że kupił tucznego indora i pół tuzina szampana, i że spijając i zjadając, przepędzi noc u stóp swej Dulcynei. Pan Żuk młodzieńca pochwalił i szczęścia życzył, a potem wysunął się do pryncypała i tak tam namotał,

http://rcin.org.pl

zawsze w celu oszczędzenia zdrowia młodzieńca, że pryncypał wezwał na służbę i przez całą noc na służbie przetrzymał. O świcie wymknął się młodzieniec i jak w dym wprost do Greczynki. Tam w pierwszej izbie zastał nieporządek, na stole niedzielne przykrycie, próżne butelki z szampana, koście z indora. Wchodzi do drugiej — a tam gorsza zgroza od kości i indora, od butelek z szampana: pan Żuk zasypia przy Greczynce, zasypia jak indor nieżywy — wypił sobie sen z butelki. Obudzenie — kłótnia, zakrój na bójkę — ale pan Żuk rzekł: Niech ci to będzie nauką, młokosie, jak się płatają figle na wielkim świecie. Młodyś, płatajże, ja cię nauczyłem. Do widzenia się! — I na tem się skończyło.

Tak sobie pędził żywotek pan Żuk, póki się nie ożenił; a jak się ożeniło wilczysko, na dół uszy opuściło. Był mężem choć do rany przyłożyć — stroił żonę, dogadzał, dobrze karmił, dobrze poił i gości naprowadzał. Nie było tam ani żmudy, ani nudy, ani zdrad, ani zwad — szczęśliwie sobie żyli oboje, jedno koło drugiego — szczęśliwi jak w raju, przed jabłkiem i wężem, albo jak w siódmem niebie po jabłku i po wężu — i było ciepło w zimie, chłodno latem, a gościnnie zawsze w domu państwa Żuków.

Tacy to dziadowie zbierali się na pogadankę w domu nemolaki; każdy z nich przeżył najmniej trzy części wieku na tym bożym świecie, wiele rzeczy widział na własne oczy, na swoje uszy wiele rzeczy słyszał — więc bałakali to o tem, to o owem, ale nie o deszczu, ani o pogodzie.

— Znowu coś się święci w tej naszej biednej Polsce, znowu jakiś gec napada! Siedzieli cicho, w dziury się pochowali, jak wojna wrzała nad Dunajem i w Krymie, a teraz ich świerzbi skóra.

— Już zaświerzbiała — i gec napadł. Mówiono mi dziś na statku, że już wyrwali się jak Filip z konopi — hejże po swojemu.

— Jeśli tak jest, to prawda, że nie ma sensu myśl poważna, myśl głęboka, może najpraktyczniejsza margrabiego, oparta na doświadczonych klęskach przeszłości, nie na płonnych nadziejach, ale na ścisłym obrachunku przyszłości — zmarnowana, w niwecz obrócona, dla tego, że pewni hrabio-

http://rcin.org.pl

wie bali się powagi i wyższości margrabiego, bali się spekulacyjnego kredytu na szwank narazić; że Wyzuwici, jak djabeł święconej wody, obawiają się sławiańskiego kościoła, nawet wspomnienia; a choć ich Rzym wali się w rumowiska, oni jeszcze od Wschodu, od Sławiańszczyzny szlachtę polską odciągają, a pchają ją na zachód pod nogi Niemców, jako najbliższych sąsiadów.

— To co pan mówisz — rzekł Worona do nemolaki — ma za sobą prawdę. Ale to stanowisko Polski, wyrugowane ze Sławiańszczyzny, ze wschodu, tak zostało uświęcone wiekowemi tradycjami i historją, iż targać się na niego byłoby samobójstwem przeszłości — i straciwszy wszystko co miała, zgrzybiała Polska, stawałaby do nowych wysług na przyszłość — i kto wie, czy by tam się czego dosłużyła, przy młodej, silnej i żywotnej Rosji.

— A tak zostając w błędzie i idąc błędnemi drogami, do czego dojdzie? Widzimy że każdy wysiłek słabszy, stopniowo jeden po drugim: Barscy konfederaci i Kościuszkowscy byli jeszcze mężowie z granitu, Napoleońscy ze stali, z trzydziestego roku z żelaza, a teraz będą z gliny, a potem z kłaków.

— I temu nie przeczę — ale trzeba było cicho siedzieć i wyrabiać w młodem pokoleniu myśl monarchiczną i dynastyczną, a wyrabianą oswajać z siecią strategiczną — wtenczas przygotowawszy się, można było wystąpić.

— Byłem z wami i w jednych szeregach się z wami biłem, ale was nie rozumiem. Jak wojna wrzała, toście się przygotowywali, żeby za piecem siedzieć i z Wyzuwitami kantyczki śpiewać: Zachowaj nas od Sławiańszczyzny, od Kozaczyzny, od nowego Bohdana Chmielnickiego! Siedźcie cicho i wrzeciono w miejscu kręćcie — póki czerwone pantalony nie pokażą się w Krakowie, i w Kijowie, w Wilnie i w Warszawie. Oni wszystko zrobią, a wy tylko będziecie się modlili i składali dziesięciny na kościół katolicki, apostolski, łaciński, w ręce Zmartwychwstańców nowych, albo starych Wyzuwitów. — I cóż się zrobiło? Pantalony czerwone nigdzie się nie pokazały, a Polacy przespali porę — a teraz po czasie. Po co ten wybryk?

— Biali chcą kościół łaciński obronić od Sławiańszczyzny,

http://rcin.org.pl

kredyt hrabiego od przewagi margrabiego — Czerwoni, lud demokratyczny od branki, żeby wszystkich demokratów Polski nie wybrali.

— Choć to polskie, nie wielka byłaby szkoda, bo już to z tych pszczół sprawa polska, a z nią sprawa sławiańska, nie wiele miała miodu. A jakby to się wyszumiało w dobrej piwowarni, pod dobrym rygorem, to by to byli ludzie! Waćpan często powtarzasz, że Ojcowie Jezuici, którzy Waćpana uczyli i wyuczyli, mawiali, że za jednego bitego dają dwóch niebitych i jeszcze nie biorą. I pan margrabia, nie mogąc sam tego dopełnić w dobrym celu, posyłał ich do dobrej szkoły — nauczyliby się nie wiele gadać, a wiele działać; i oni sami i sprawa by na tem zyskała, a po powrocie błogosławili by margrabiego — bo za prawdę, to był mąż niepospolity, już dla tego samego musiał być bardzo pożytecznym dla Polski, kiedy go Niemcy tak siarczyście nienawidzieli.

Uśmiechnął się Worona.

— Może by to było i wygodniej i pożyteczniej, spuścić się na pana margrabiego; ale z naszymi Polakami trudna rada, kiedy ja ich przyciągnąć nie mogłem do monarchji i do dynastji, a kładłem jak łopatą w głowę — woleli drwinkować z Pszonką, szkalować z Nową Polską, jak czytać Kraj i Emigrację i uczyć się o starej Polsce, o jej cnotach, o jej wadach, żeby zastosować do pracy o nową. I jakże pan chciałbyś, ażeby oni uznali słuszność widzeń margrabiego, kiedy o tem nie czytali nigdy w Nowej Polsce. ani w Pszonce. I w Paryżu nie zrobiono z owsa ryżu — owsem zostaliśmy i zapewnie zostaniemy. Wyobraźcie sobie państwo, że w tej chwili odebrałem polecenie od mojej władzy monarchicznej, żeby wszystkiemi siłami pracować, aby Kozacy Dobrudży, pozostający dotąd na przywilejach wojskowych, starali się u Wysokiej Porty o zniesienie takowych i zaliczanie ich między rajów, takich poddanych, jak inni Chrześcianie Otomańskiego państwa.

— A toż znowu co takiego i dla czego?

— Obawa, aby ten nowy Bohdanko Chmielnicki, który naszym arystokratom i demokratom, katolikom i protestan-

http://rcin.org.pl

tom, wierci gwoździem po mózgu i napędza niejednego strachu, nie skorzystał z dzisiejszej chwili, bo pokazał przecie, że chcący może wiele zrobić.

— Nasi panowie takich nie chcą, oni pod takimi zaraz dołki kopią, żeby ich zatrzymać w robocie, bo raz ich puściwszy, nie mogliby może dopędzić. Zresztą ich główne działanie na tem się ogranicza, podatkować i zasady propagować, a jeśli ich kto gwałtem pociągnie do czynu, to niech będzie pewny, że wszystko djabli wezmą. Oni potrafią nawet ułanów siedzących na koniach przeobrażać na posługaczy kościelnych, byle nic nie robić i nie wyjść z trybu swojej rutyny, żeby zbierać fundusze żelazne do kasy żelaznej, do użycia za lat dwa tysiące. Kiedy ja napisałem o monarchji i dynastji, a mój towarzysz o sieci strategicznej, tak się tem potrwożyli, że główny komtur tego zakonu szukał autora romansistę, który by mu napisał powieść czy romans, o tem, co będzie za lat tysiąc — żeby do tego czasu czekać, zbierając fundusze żelazne i propagując idee antidemokratyczne, idee, jak oni zowią, porządkowe. I znalazł się autor i napisał. Komtur, który nigdy za swoje pieniądze objadu nie zjadł za trzydzieści susów, wypuszył dwa tysiące autorowi — ale na radzie z romansu się wyśmiano i został w archiwach komtura.[5])

— Dla czegoż Waćpan z tymi ludźmi przez tyle lat trzymasz i zdaje się, że jeszcze chcesz się trzymać?

— Na bezrybiu i rak ryba, nie ma co wybierać. Byłeś, widziałeś, co to na emigracji; przynajmniej ci, to nie hołota. Nie ja jeden jestem taki; znałem jenerała i bardzo rozumnego, który zawsze powtarzał: Pokaż im drogę do Polski przez Dniestr, i to przyprowadziwszy nad rzeką, to oni zaraz zaprzeczą i zechcą szukać drogi do Chin. A jednakże i ten biedny jenerał mruczał, burczał, a nie mógł się od nich oderwać, bo nie było do kogo pójść — jak było tylko przystąpić do innych, to taki strach, taka odraza od nich brała, żeby człowiek już wolał jechać w lodowate kraje, uciekać, gdzie pieprz nie rośnie.

— Ale odstąpiliśmy od głównej rzeczy, od najważniejszej,

http://rcin.org.pl

od polecenia danego Waćpanu namawiać kozaków, żeby się zrzekli rycerstwa, a poszli w poddaństwo. Cóż Waćpan na to? [6])

— Oświadczyłem, że to nie sens; odmówiłem dalej służby, wolę dalej belferować, jak przez własne psoty i niecnoty trwonić nasze własne dobro, nasze własne nadzieje! Bać się wilka i dla tego w las nie iść, bać się jakiegoś tam urojonego nowego Bohdanka Chmielnickiego, i dla tego rozbijać te schody, po których możemy iść do naszych zamków, to wielka sromota, bo nie myślę żeby taka miała być głupota. Ja odmówiłem, ale zdaje się, że i pan Żuk o tem był zawiadomionym.

— Tak — poczerwieniał Żuczysko, ale się ukąsił za język — tak, pisano, radzono, ale ajentem nigdy nie byłem, komisantem do przesyłki — i nic więcej. Coś słyszałem o jakimś młodym człowieku, który przyjechał z listami do Osip Siemienowicza. Osip mi mówił, że tu przyjdzie, zapewnie i gościa przyprowadzi. —

Zaledwie wymówił te słowa, drzwi się otworzyły i wszedł Osip Siemienowicz i z nim dwaj młodzi ludzie. Osip Siemienowicz już pięć krzyżyków przeliczył, ryży włosem i brodą — oczów jasnego błękitu, ale farfurowego, wzrost mierny, ale zasadny; nosił się po kozacku, w sinych szarawarach, z jedwabnej brusowskiej materji kaftan, czerwony w żółte pasy, i granatowy czekmen; na czekmenie Medżydie piątej klasy i medal Umumie za wojnę 1854 — a czapkę miał z baranów siwych, dystynktorium wysokiej godności — był Binbaszym sułtańskim in partibus, najpotężniejszym starszyzną między całą kozaczą starszyzną. Zwoływał koła [7]), i w kołach kozaków po jezuicku rozumu uczył: za bitego dwóch niebitych dają i jeszcze nie biorą. Wydoskonalał więc kozaków, podatki z nich pobierał na cerkiew, na duchowieństwo, na biskupa, na ogół, na politykę — na kawiar i jesiotrzynę, które po dwa razy na rok wiódł w podarku do Stambułu, wszystkim Wielikaszom i ich Agom. Był tego zdania, że Agów trzeba było lepiej smarować, bo ci ciągle powtarzając Wielikaszom: Osip Siemienowicz, to wierny gorliwy poddany, uczciwy człowiek — nauczą Wielikaszów,

http://rcin.org.pl

jak papugi tak myśleć. Był on tego zdania, co ów jenerał, który spijał z kamerdynerami feldmarszałków szampana — pewniejszy swego, jak ci, którzy nasuwali się im w oczy, ufni w swoje szlify. Komtur znał się z Osip Siemienowiczem — swój swego zwąchał, podatkowaniu nie miał co zazdrościć — trafili na jedną i tęż samą, a szczęśliwą myśl. Ale gdyby mógł wprowadzić między Polaków, koło i to, co się odbywało w kole, na ich pożytek i zbawienie, to by było do pożądania — i dla tego był w nieprzerwanej korespondencji z Osip Siemienowiczem, jak to owe pryncipium jezuickie, udoskonalone przez kozaków, wprowadzić do Polaków.

Jeden z młodych ludzi był blondynek, kierponosy, chyrlak, oczy podkaprawiałe, ale w ciągłych wykrętach, jakby stawał do fechtunku, albo do gimnastyki. Był to ów przybyły ajent, o którym wspominał pan Żuk, na przekorę, na uszczypnięcie wielkiego margrabiego, bo to aż i na Dobrudży, te Żaki, te odrzymieszki go wojowali. Przezwano tego fircyka margrabią, i tego samego imienia, żeby pokazać głupiemu tłumowi, że w jednym rodzie każdy inaczej. Jeden do Rosjan Sławian Polaków prowadzi, by zasiedli razem w Sławiańszczyznie dla potęgi i sławy, tej dobrej sprawy — drugi pod Niemców Polakom iść radzi, by się za Niemców bili, a Niemce mówili: patrz jak te psubraty Polacy za nas się tłuką — o to hołota!

Drugi był młody człowiek, lat dwudziestu kilku, rosły, ale nie przerosły, praworny, motorny, gdzie powróć, to kozak. Oko piwne, wąsik czarny, pieszczota dziewcząt i mołodyc — ciemna czupryna, otwarta i serdeczna mina — co w duszy, to na języku — co na sercu, to na dłoni. Był on z Ukrainy, z samego nadbrzeża, gdzie dotyka Ukraina Pobereża — był herbu Ślepowron, a zwał się Jan, syn Mikołaja Zwizdy. Pan Mikołaj z Emirem pod Lewuchami harce wyprawiał, zanim zaszła przygoda Daszowska, — a synek, dorosłszy na mołodźca, jechał zapisać się w sułtańskie kozaki.

Gościnnie byli przyjęci; — nemolaka rad w domu, co Bóg dał, tem gości raczy — a panna Praxeda herbatę

http://rcin.org.pl

w szklaneczki nalewa, i jak to mówią, z pod oka na dwóch młodzieńców poziera. Blondynek wdzięczy się, jak suczka u przewozu — jak małpa do łakoci — a kozak przysiadł się do panny i pokazuje, że on istny Zwizda — kiedy on zajął miejsce', niech mu tam nikt nie gwizda.

A pan Binbaszy tymczasem rozparł się jak prawdziwy trzybuńczuczny Basza — choć starowierzec, ze szklaneczki herbatę popija' — a wciąż to niszany, to brodę pogładza z partesa.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

II.

http://rcin.org.pl

II.

http://rcin.org.pl

BINBASZY.

Pan Binbaszy, i to jak nazywają w sławiańskiej Rosji, opołczenny, rozparł się jak prawdziwy tryumfalny Pasza. Pan Żak mu nadskakuje, baki świeci, bo to dobrodziej. Kozakom kazał wystawić dwa domki panu Żukowi na własność, jako za robociznę polityczną, i do domków przywozić od miesiąca do miesiąca prowianty i rybkę, po troszę z każdej wioski, bez krzywdy sielaków, ale z dostatecznym pożytkiem państwa Żuków, którzy, przyznać należy, uprzejmie i kieliszkiem wódki dziękowali za tę daremszczyznę. — I pan Worona takoż mu okazywał pewne zachowanie, bo Osip Siemienowicz, przybywszy z Paryża i Londynu, dokąd był wzywanym przez wielkiego komtura, zaczął się uczyć po francusku i po angielsku, nie tylko języka, ale zwyczajów i obyczajów, a zwłaszcza siadania przy stole i jedzenia smacznych objadów à la Franka. Pan Worona był mu belferem, za co brał dobre i ważne żółticzki — a przytem zjadał smaczne obiady à la Franka, które umyślnie przyrządzano, żeby uczeń nauczył się, jak ma jeść, jaką potrawę po francusku, a jak po angielsku. Pan Worona dowiódł racjonalnie Osipowi Siemienowiczowi, że teorja bez praktyki, to wielkie nic — i praktykowali.

Osip Siemienowicz nie był bitym w ciemię, i choć w Paryżu nie robią z owsa ryżu, jednak mimo, że pojechał cielęciem, nie chciał za powrotem być wołem, ale chciało mu się

http://rcin.org.pl

zostać człowiekiem. Wprawdzie wielki komtur, przedstawiając go cesarzowi i cesarzowej Francuzów, królowej angielskiej, i wodząc na obiady do pana Tuwenela i do lorda Palmerstona, zmodyfikował trochę strój Starowierca; za kaftan nałożono mu kamizelkę z perłowego aksamitu, suto wyhaftowaną złotem; w miejscu juchtowych butów włożono lakierki, w miejscu siwej czapki cylinder Gibona, i rękawiczki glansowane czerwonej barwy. Zegarek z łańcuszkiem złotym, ważącym ze dwa funty i brelokami, jakich nie miał obfitszych żaden z Mameluków cesarskich — lornetka i laska ze złotą głową dopełniły stroju tego dandysa Starowierca. Komtur mu jak najsurowiej zalecił, żeby w niczem nie zmieniał swoich dawnych zwyczajów i obyczajów — i tak żegnał się po trzykroć razy krzyżem świętym po starowiersku dwoma palcami, wchodząc do komnaty — żegnał się przed każdem jadłem i napojem, przed każdą mową, przed każdym z Wielikaszów świata i z dam światowych — a nawet na każde wspomnienie imienia Marji, Jezusa, lub Józefa. Większą połowę dnia kreślił na sobie krzyże święte, w nocy spał, a kto śpi, ten nie grzeszy — więc zachował się od wszystkich nagabań i pokus szatana, a komtur powtarzał: Choć starowierzec, ale święty człowiek — mógłby być Zmartwychwstańcem, a potem nawet i Jezuitą, bo to z drzewa takiego, jak my, najlepsi Jezuici. Wszystko szło dobrze; wodzono po Paryżu Dandysa Starowierca, z rudą brodą, jak dziwoląga jakiego — kiedy jednego dnia na Elizejskich polach za pieniądze zdybał w budzie towarzysza wschodu, Bulgara w dzikiej naturze, który, tak jak on, był starowierzec, w dzikiej naturze takoż, choć ozłocony, olakierowany i oglansowany, bo miał pieniądze.

Z Bulgarem rzecz tak się miała. Major Nieczuja, niestety Polak i to z rycerskiego koła, dla polepszenia finansów, z pięciu żydami chciał rozbroić armję rumuńską i wywrócić z tronu księcia Kuzę, wybrańca narodu. Nie udało się, więc siedział w więzieniu, ciepłem, wygodnem, dobrze karmiony i dobrze pojony — i skombinował w tej słodkiej nieczynności posadę protektora Bulgarów belgradzkich przeciw napaściom i niesprawiedliwościom księcia Kuzy. Wyszedłszy z więzienia

http://rcin.org.pl

zabrał deputowanych Bulgarów, z dobremi pieniędzmi i przyjechał z nimi do Stambułu. Dobrał sobie do wspólki pułkownika Polaka, przeszłego zbawcę Czerkiesów, i z nim tak dobrze prowadzili politykę, że już kuso było w kasie. Tak jak przedsiębiorstwa kulawe, tak i te ratowano nowym skokiem. Pułkownik z jednym Bulgarem udał się wprost do Paryża, do cesarza Francuzów, wówczas jeszcze Sfinxa, a poczciwi Bulgarowie zdobywali się na nowe składki, na nowe przesyłki. Neczuja, trzymając się tej prawdy, że koszula bliższa ciała, jak surdut, używał na całą gębę szczodroty Bulgarów, ale pułkownikowi nic nie posyłał, bo kiedy nawet był w chęci posłania, to właśnie wtenczas nie miał ani grosza przy duszy. I kiedy odbierał ciągłe domagania się pieniędzy, że z wiatrem, choć z bulwarów, żyć nie mogą, zmuszony tak nieprzyzwoitemi argumentami dyplomatycznemi, odpisał telegramem pułkownikowi: Suseł z ciebie dyplomata! Bulgara Centaura na pieszo, pokazuj Paryżanom za biletami, a pieniądze będą.

Pułkownik na to, jak na lato: Bulgara przystroił w strój narodowy; czapka barania, półkożuch barani futrem na wierzch wywrócony, potury szare — najął budę na polach elizejskich, położył na budzie napis: Za franka Bulgar dziki, potomek Centaurów. — Wsadził tam Bulgara i zalecił mu przychodzącym opowiadać w narzeczu bulgarskiem o drapieżnej srogości i bezlitosnych wyderkafach księcia Kuzy — wmówił, że to dla dobra sprawy Bulgar siedział, prawił jak na mękach, a Paryżanie i Paryżanki Centaura oglądali, słuchali jegó żalów i płacili franki — wszystko szło dobrym porządkiem.

Ale jednego dnia przez niefortunny wypadek jeden z przybocznych wielkiego komtura, Żurachwina, Malina, czy tam inna jakaś jagoda, pokazując spacerem publiczności paryskiej Osipa Siemienowicza, zaprowadził go do budy Bulgara, czyli pułkownika.

Tam nastąpiła scena, jaka niegdyś miała miejsce w Kijowie w błogich latach. Pokazywano w kontraktowej sali jakiegoś wielkoluda, za pieniądze, za półrubelki. Jeden sowietnik, posesjonat i Polak, ale karlik wzrostem, choć

http://rcin.org.pl

olbrzym sercem, przyszedł także oglądać wielkoluda. Wielkolud zaczął ciekawie przypatrywać się i zapytał, czy zapłacił bilet? Sowietnik ofuknął, że tak. Wtenczas wielkolud wydobył półrubelka i wręczył sowietnikowi: — Sprawiedliwem jest, byśmy zaspokoili swoją ciekawość gratis. — Toż samo zrobił i Bulgar; zaczął podziwiać strój Osipa Siemienowicza, a w końcu poznali się z sobą, jak dawni znajomi z nad Dunaju, z Ismaiłowa — a że Osip Siemienowicz z uczucia był podobnym do niedźwiedzia bajki Juljana Niemcewicza, który nie zważając na nagany małpy, tańczył na zabój, myśląc że ona zazdrości; ale kiedy świnia zaczęła mu kwiczyć brawo, opuścił łapy na ziemię i przekonał się, że tańcuje nie dorzeczy — tak i Osip nie dbał na uśmiechy Paryżanek, na śmiechy Paryżanów, owszem panoszył się że mu zazdroszczą; ale jak go Bulgar zaczął podziwiać i wychwalać, poznał w jakiem to świetle pobratymce Polacy paryzkiej publikum przedstawiają braci Sławian. Rozmówił się z Bulgarem — i nazajutrz dzień zniknęli z Paryża.

Żurachwina czyli Malina dostała surową i zasłużoną reprymendę od wielkiego komtura, a pułkownik przyszedł urzędownie dopominać się ze szkatuły komturowskiej brzęczącej monety na wynagrodzenie strat poniesionych przez niezręczność, a raczej umyślną psotę Żurachwiny czy Maliny. Komtura nie łatwo wyprowadzić w pole — odrzekł: Weź Żurachwinę, czy Malinę, wsadź w budę na miejsce dzikiego Bulgara, to wyjdzie na jedno — i pozbył się pułkownika. Osip Siemienowicz, nie jak Polak mądry po szkodzie, ale jak Starowierzec, wziął się do nauki i po francusku i po angielsku, żeby oddać pobratymcom Polakom wet za wet i zadrwić z nich na drugi raz.[1])

— Cóż tam nowego, Osip Siemienowicz, bo to ty jesteś jak oberpolicmejster petersburgski, co wszystko wiesz, co było, co jest i co będzie?

— Tak, Iwanie Michajłowiczu, z łaską bożą — i przeżegnał się trzy razy znakiem krzyża świętego — ma się stosunki i znajomych. Ja znałem nawet cesarza Mikołaja Pawłowicza — i znowu się przeżegnał trzy razy krzyżem świętym — byłem u niego ze Starykami w Nekrasówce, kiedy

http://rcin.org.pl

siadał na łódkę, żeby przepłynąć Dunaj. Piękny mąż, prawdziwy władzca świata! Jak przemówił, to człowiek nie wiedział, co ma z sobą robić. Ja mu patrzyłem w oczy — ale staryki to drżeli. Ot tak, jak mnie tu widzicie, to mnie uratował sułtan Abdul Medżyd; to był pan wielkiego serca. — Tu nie żegnał się, ale ocierał rękawem prawdziwą łzę. — Już byłem w wodzie, wyleciałem z kaiku, on sam mi podał rękę ze swego kaiku, sam mnie uratował, na brzeg kazał wysadzić, opatrzyć i dać bakszysz. Sam mnie pytał o imię — i wiem że przykazał wielkiemu wezyrowi, żeby moje sprawy miał w opiece. Takiego drugiego władzcy nie masz na świecie — serdeczny!

— To dobrze, ale to już rzeczy ubiegłe, my wiemy o nich — ale nowe?

— Przyprowadzam wam dwie gazety: jeden margrabia, jedzie z Galicji od naczelnego wodza i rządu narodowego, ma rozkazy do swojej misji, drogi z Ukrainy — opowie co się tam dzieje. —

Blondynek wydobył papierek cieniutki i dał go do przeczytania Woronie. Ten czytał:

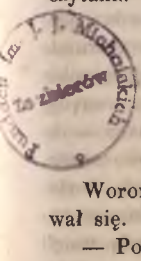

„Margrabia, mianowany przez rząd narodowy kapitanem sztabu, wysłanym jest przezemnie do rozpoznania sił, mogących być poruszonemi na Dobrudży i dla przygotowanie ich do użycia pułkownika Jeża, który niebawem przybędzie dla objęcia głównego dowództwa.“

Worona obracał na wszystkie strony papier, przypatrywał się.

— Podpis jenerała, znam dobrze jego rękę; ale cóż pan kapitan myślisz robić i w czem my możemy mu być pożytecznymi? Idzie o polską sprawę, jesteśmy gotowi.

— Ja, panie pułkowniku, wychodzę z korpusu kadetów; mój stryjaszek, ten niecny człowiek — niech imię jego będzie przeklęte! — chciał mnie wypolszczyć. Pan zdajesz się nie wierzyć, ale na dowód, że wychodzę z korpusu kadetów, patrz pan, jak u nas bronią robią. — Porwał za stojącą strzelbę i zaczął nią robić, jak karabinem, ze stukaniem i ze wszystkiemi figlasami dawnego autoramentu, tak że aż Żuk

http://rcin.org.pl

gębę otworzył, a panna Praxeda za stół się usunęła. Worona się uśmiechał:

— Widzimy, że pan umiesz się fechtować, ale cóż to ma za styczność z pańską misją?

— Co? Tak nauczę całą Dobrudżę, przysposobię wojsko dla pana pułkownika Jeża, a potem błotami, szuwarami przesuniemy się aż do Warszawy, a tam dopiero pokażę stryjaszkowi, co to wyfechtowane wojsko! Pożałuje tego dobrze, że mnie chciał wyuczyć na Moskala; ale ja mu dam po polsku, od ucha, ot tak! — Jak zaczął atakować samowar, woda się leje, ogień wywrócił na podłogę — ruch, zgiełk! Młody Zwizda rozbroił skonfundowanego margrabiego. Worona pomyślał sobie: To mi to dopiero oficer sztabu! Jeśli takie jenerały, jak sztabowce, to piękne mi wojsko tworzy rząd niewidomy! Co by to na to powiedzieli Żółkiewscy, Chodkiewicze, a nawet stary stupajko Chłopicki, albo dzielny, choć zanadto nabożny Skrzynecki! —

Blondynek tak był z pantałyka zbitym, że już nic nie umiał odpowiadać, tylko: — Jak pan pułkownik Jeż przyjedzie! —

Młody Zwizda opowiadał, że na Ukrainie bieda, nieszczęście. Lud złotej hramoty nie zrozumiał i nie zrozumie nigdy — że na chłopomanję patrzy, jak na ubliżającą sobie komedję, i żeby się nie naśmiewano, przerabia ją na tragedję i to okropną — na koliszczyznę, jak rzeź humańska — że w ziemiach ruskich porwano się jak lwy, porobiono obozy, a potem wszystko to runęło za granicę do Galicji, zostawiwszy kraj na mordy i pożogi, na nieszczęścia rozmaitego rodzaju, na zagubę wieczną. Ludzie serca i prawdy wzięli się do broni, żeby ginąć, albo uciekać na dalekie wygnanie; dla sprawy polskiej zawsze to plony śmierci, a może i gorzej, bo sieją na długie lata zwątpienie i rozpacz, które rozjątrzają serca bratnie i nie dają złączyć tego, co Bóg przeznaczył do łączności rodem i celem; że on dla tego rzucił kraj, by tu szukać lepszego — ale już mu żal za krajem, bo może być, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — wszakże i pies na swojem śmietniku najzuchwalszy i najużyteczniejszy. — Stało się i już odstać się nie może, ale gdyby miał powtórzyć, to

http://rcin.org.pl

by raz drugi nie przeszedł Dniestru. — Mówił to z zapałem, z czuciem serca; był piękny, nie mową samą, ale wyrazem twarzy, szałem oczów, pełnym rzewności i tęsknoty za krajem, i tego ognia postanowienia, które mówi: Zrobiło się trzeba iść dalej — nie czas się cofać!

Serce kobiety nigdy tak prędko nie przemówi, jak kiedy ma przed oczyma porównanie tych, do których przemówić może. O ile dla Praxedy był śmiesznym i ckliwym ów blondyn, nasmuszka margrabiego, o tyle powabnym młody Zwizda. Jej serce przemówiło, bo jego wzrok jasny, smutny, ale serdeczny wywoływał to przemówienie. Zrozumieli siebie nawzajem.

Tymczasem rozmowa między starszymi szła dalej. Worona nie mógł przyjść do siebie po przeczytaniu tego patentu na kapitana sztabu i jego misji. Nemolaka zaś pytał Osipa Siemienowicza o przywilejach wojskowych kozactwa. Osip poczerwieniał się tak, że jego rudy zarost pobladł przy jaskrawej krasie rumieńca.

— Tak, to prawda, Wysoka Porta uwolniła nas od powinności wojskowych, które nam mocno ciężyły, odosobniały od innych poddanych, a przeto rodziły zawiść i tysiąc innych przykrości. Teraz będziemy, równi jedni drugim, żyli między sobą, jak dzieci jednego ojca.

— A wy, Osip Siemienowiczu, zasiędziecie obok Dymitra Beja, Arslana — Karabela, żeby podtrzymać i podrzynać te biedne barany, którym się narzucacie na pastuchów. Na złe to wyjdzie, mój bracie, bo nie godzi się frymarczyć tem, co zarobili nasi praojcowie swoją wiarą i swoją służbą — a co stanowiło naszą siłę, naszą sławę. O! w tem to my jesteśmy zupełnie podobni do naszych braci Polaków; jak napadnie chandra, umiemy niszczyć wszystko, choćby granitowe budowy — a nie potrafimy nic postawić, choćby nawet z chrustu. I dla tego nas djabli biorą i brać będą, póki nie złożymy na stronę głupiej pychy i nie powiemy tym, którzy dali dowody, że umieją się rządzić i sądzić: Pójdziemy z wami ręka w rękę — jak demokraci zawsze powtarzają tym, których chcą wyprowadzić w pole. Powiedzmy, ale dotrzymajmy nie po demokratycznemu, ale po szlachecku —

http://rcin.org.pl

wtenczas może i z nas będą ludzie. Ale teraz, to źle — nawarzyliście piwa, a my musimy pić te drożdże.

— Ależ nie można było inaczej. Wszak słyszeliście, co nam gadał od wielkiej wojny ów brodaty, co go zowią Jeżem: Miejcie się na ostrożności, bo was ta szlachta ze swoim Watażką znów w poddaństwo zapisze; będzie z was krew ssać, jak ssała z ludu Ukrainy, kiedy tam jeszcze panowała. Będzie was gonić, jak bydło na pańszczyznę; wasze żony, wasze córki będą na ich rozkazy; daremszczyzny, jakie na was nałożą, będą gorsze od hangarji rządowych — jednem słowem, w znoju i w pocie gotuje wam srogą niewolę, pod jaką jęczał lud ukraiński. Nie mówił tego, nie znosił po siłach kozaczych tych słów bratniej przestrogi.

— Mówił, to prawda — ale pies szczeka, a wiatr wieje. Tak się działo na tym świecie i tak się dziać będzie. Ale ani ty, ani nikt tu wówczas do tych słów wiary nie przykładał. Wiedzieliśmy wszyscy, że to ujada demokrata na szlachcica, który podał nam rękę do postawienia na nogi starowierskiej cerkwi — który wskrzesił dawną kozaczą sławę i wiedzie ją do służby dalszej sławy. Ale że idzie sam, bo czuje w sobie siłę i prawdę, więc na niego wszyscy, haru! haru! — i wyzuwici i demokraci — i dyplomaci i darmozjady; braliśmy od niego łaski i niejedne, i niskośmy mu się kłaniali — i teraz zapytajmy naszych serc, naszych sumień: a jeszcze go kochamy i jeszcze za nim pójdziemy, bo on prowadził i prowadzić potrafi! Tobie przewrócili w głowie, Osipu Siemonowiczu, w Paryżu i w Londynie, tak jak temu dziecku, którego pierwszy raz stawiono między zwierciadła: wykrzywiał się, plwał, skakał ze złości i zazdrości, a w końcu potłukł zwierciadła, ozdobę i bogactwo domu swoich ojców. —

Żuk i Worona potakiwali Nemolace, pierwszy przez dworactwo i przez główne prawidło swojego życia, żeby nie zrywać nawet z djabłem, bo kto wie, co nastąpić może — fortuna toczy się kołem: kto dziś na górze, ten jutro na opak. Drogi, przez uznanie sumienne prawdy i przez miłość sprawy, bo w nim ani wyzuwici, ani kobiety nie przerobili sumienia i serca kozaczego. Worona mógł się mylić, mógł

http://rcin.org.pl

błądzić, ale nie kalać tego, co było otuchą kozaczej sprawy, co było chorągwią kozaczej sławy. Sam Osip Siemienowicz spuścił nos na kwintę — sromno mu, choć po niewczasie, i jakiś strach drżeniem febry przeszedł mu po ciele.

— To, coście powiedzieli, ma w sobie wiele prawdy — przeżegnał się trzykroć razy krzyżem świętym — ale człowiek ułomny. Koń, co ma cztery nogi, a spotyka się, a cóż dopiero człowiek, który ma tylko dwie! Nasza wina — moja wina! Ale jakże takie złe naprawić?

— Trudno, może i niepodobna. Klamka zapadła. Wysoka Porta od swojego postanowienia nie odstąpi, a może jej nie dadzą odstąpić, choćby chciała. Już po raz drugi, Osip Siemienowiczu, zrobiłeś krzywdę kozaczyznie! Wysoka Porta za nieboszczyka Sułtana — niech mu Bóg da wszelkie pomyślności nieba, jak na to zasługuje — w nagrodę zasług kozaczych w czasie ostatniej wojny, postanowiła osady kozackie na wyspach Dunajowych. Ty, Osip Siemienowiczu, kozak i starowierzec, cichaczem związałeś się z wielkim komturem Wyzuwitów, z Polakiem, żeby u posłów Francji i Anglji kopać dołki pod tym, jak zowiecie, szlachcicem, którego w nierozumie, a prędzej w niecnocie jezuickiej, naznaczono za naśledzcę Bohdanka Chmielnickiego, i żeby on nie mógł odnowić czasów tego dziarskiego Sławianina. Zrobiliście, że zawieszono firman cesarski, pod pozorem, że takie osady byłyby powodem do nieustających sporów i do nowej wojny — i zostaliśmy na koszu, bez kosza, na prawdziwej wydmie, która, jak tak dalej rzeczy pójdą, jak wy je prowadzicie, pewnie nas wydmie z Dobrudży na cztery wiatry — i wtenczas będzie żal, ale po niewczasie. Moja rada, uderzyć się w piersi za wielki grzech popełniony i trzymać się szlachcica, póki można, póki on nas nie rzuci. Przez skruchę, pokutę i wielkie posłuszeństwo może odzyskamy jego zaufanie, a jak staniemy przy nim, jak stać powinniśmy, to jak się on weźmie do roboty, to może Bóg go pobłogosławi — bo on błogosławi tych, którzy w niego wierzą i dobrej sprawie służą — a on i wierzy i służy. —

Kierponosy blondynek, który po fechtunku z samowarem siedział skonfundowany, jak trusia, i patrzył w oczy młodemu

http://rcin.org.pl

Zwiździe litośnie i pokornie, żeby mu nie przyszła fantazja poturbowania go po raz drugi — słuchał piąte przez dziesiąte, co tam gadano. Słyszał że coś dzwonią, ale nie dosłyszał w jakiem kościele — wyrwał się jak Filip z konopi, stanął na nogi:

— Protestuję w imieniu jenerała Żółwia, którego jestem oficerem sztabu — protestuję w imieniu komisarza dyplomaty Sroki czy Srokszy, który mi polecił tajemną misję — protestuję w imieniu pułkownika Jeża, któremu naznaczony jestem szefem sztabu — protestuję w imieniu majora Kreta, naznaczonego na komendanta jazdy — majora Sójki, komendanta piechoty — majora Indyka, komendanta artylerji — kapitanów Wilka, Kuny, Pliszki, Skowronka, Szczupaka, Pstrąga, Żubra, Jaskółki, Sikory, Dzika — poruczników Susła, Lisa, Niedźwiedzia, Zająca, Tchórza, Kaczki, Węża, Gęsi i Kuropatwy — naznaczonych do komendy wojska Dobrudży, pod komendą Jeża — i mojem własnem imieniem, Fenixa margrabiego — protestuję przeciwko wszelkim postanowieniom o Dobrudży, która należy do nas i do której intromisję na panowanie wziąłem ja, w imieniu moich starszych i w imieniu rządu niewidomego. Tak rozkazano i tak być musi! —

Jak gradem, wszystkich głowy były podziurawione tą nomenklaturą zwierząt, ptaków i gadów, mających zerwać do broni lud Dobrudży i prowadzić go na srogie boje.

Worona, człowiek uczony i obeznany z całą kroniką wychodźtwa, bo sam ją i kompilował i pisał — zanotował sobie w pamięci, że rząd niewidomy ze swoimi komisarzami daleko głębiej sięgnął, jak mistrz Towiański. Ten po śmierci dopiero, po wyrwaniu duszy z cielesnych więzów, puszczał ją na przemianę w inne ciało — zwierząt, ptaków, gadów, roślin nawet, a po oczyszczeniu jej z grzechów temi przechodami wracał w ciała ludzkie, z zapomnieniem tego, co było — bo przechody były dla dusz wodą Letejską — a były znowu czyste, dziewicze, na nowe zawieruchy, na nowe grzechy. Rząd niewidomy z komisarzami poszedł dalej, bo za życia ludzi, duszom będącym w ciele, razem z ich ciałami, nakazał być zwierzątami, ptakami, rybami, płazami,

http://rcin.org.pl

a nawet drzewami i roślinami. Tak nakazał, tak być musiało — sławiańska Moskwa musiała wojować nie z ludźmi, ale ze światem dla niej nieznanym, jak w Indjach z czerwonemi Skórami. I to było niepospolitym wybiegiem strategicznym i taktycznym, bo nieprzyjaciel był osłonięty metarmofozą tajemnicy, a szpiegi nie mogli sobie dać rady.[2]) Gdzie tu szukać i jak donosić o Jeżach, Żółwiach, Krukach, Pietruszkach, Cybulach, Jesiotrach i tak dalej. Trzeba było być obeznanym z historją naturalną Bufona, z Jundziłłem, z zoologią, ornitologją, i djabli wiedzą z jakiemi naukami. A ci prostaki ani w żandarmerji, ani u czestnych prystawów, ani nawet u oberpolicmajstrów, takiego bakaleurata nauk nie mogli przebiedz. Ztąd konfuzja w szpiegowaniu, konfuzja w raportach, konfuzja w działaniu, niewiedza i wygrana na czasie — i to bezzawodnie było arcydzieło rządu niewidomego, zmącić taką gmatwaniną operacje wojenne i korzystając z tego zmącenia, swoje sprawy i wyprawy przeprowadzać. Tak też i było — i Worona bywalec ten wymysł pochwalał, bo choć on był śmiesznym, ale był użytecznym, może dla tego że był śmiesznym, więc niepojętym, co na jedno wychodzi — był niewidomym jak rząd niewidomy.

Ale Nemolaka, zwyczajnie potomek Skorupadzkiego, który znał na wylot, jak swoją kieszeń, a może i lepiej, całą Dobrudżę, z jej wałami i jej kurhanami — z mogiłami szlakowemi, z mogiłami smętarnemi — z polami bitw sławnych — z przekopiskami dawnej siczy, i z tylu pamiątkami tego stekowiska ludów, napływających z Azji do Europy, o których jeszcze dziś między różnorodnemi ludami brzmi tradycja w pieśni i w bajce — gdzie każdy ród zachował nowym wiekom nazwiska praojcowskich grodów, gdzie obok tatarskich Bakczy-serajów, Bałakłów, Koczunów, Akmeczetów, stoją kozackie: Sława, jak nad Ingulcem, Zuryłowka, żeby się Kozacy nie żmudzili. Jak taki kraj ma być oddany zwierzętom, ptastwu, robactwu i rybom, jak jego nazwy przezwać mogą na nory lisie, na kotliny zajęcze, na kołbanie, na gniazda srocze dla Srokszów — cały świat boży zmieniony, przeistoczony! — Biednemu Nemolace zdało się, że to wszystko na prawdę — pod tem pierwszem

http://rcin.org.pl

wrażeniem dusza mu zatęsknila. Westchnął i zadumał się głęboko.

Żuk tylko się uśmiechał i myślał: I w tym świecie dam sobie radę; wszak jestem Żuk i mogę iść w parze z Jeżami, Żółwiami, a kruki mnie nie zjedzą, będą szanować swego. Ten rozumny na tym świecie, który umie się z nim godzić.

I było milczenie — a nowy Fenix myślał, że to skutki jego wymowy — więc się nabundziuczył:

— W imieniu rządu narodowego niewidomego, jenerała Żółwia, komisarza Srokszy i pułkownika Jeża, nakazuję tobie, Binbaszy Osipie Siemienowiczu, dostawić za dni dziesięć punkt, ze wsiów Sirykiej, Żuryłówki, Sławy, Kamienia i Nowinki, kozaków zbrojnych, strojnych, na dobrych koniach, dwóchstu dwudziestu — a za trzy dni wybrać z tych wsiów i z cerkwi starowierskiej dziesięć tysięcy karbowanych rubli i mnie w ręce wyliczyć — a za sprawne wykonanie poleceń zostaniesz Binbaszym Łasicą, albo Wyżłem, stosownie do upodobania. — Tobie, panie Skorupadzki, przez wzgląd na twój dawny ród — spojrzał czule na Praxedę — tylko trzy tysiące karbowanych rubli nakazuję dobrowolnego podatku, który złożysz niezwłocznie, a za to, jak zechcesz, w miejscu Skorupy, zostaniesz Czerepachą — to będzie więcej po kozacku. — Ty, pułkowniku Worona, możesz wyawansować na Gawrona, jak się dobrze weźmiesz do Dymitra Beja i namówisz go na dobrowolny datek, za co dostanie order niewidomy — a ty, Żuku, nie możesz być więcej niczem, jak Żukiem, ale dostaniesz łapowe, po złotówce od sta, z pieniędzy wniesionych przez ciebie do kasy narodowej; dostaniesz na to blankiety z podpisem Srokszy, naszego wielkiego dyplomaty, który potrafi ubrać w szory i Niemców i Moskali i poczciwców Turkaszów — jak zacznie chodzić od Ananaszów do Kaifaszów, a zawsze jako męczennik, w imię Chrystusa Pana umęczonego. —

Na takie dictum acerbum, już i tak niemi, jeszcze bardziej poniemieli słuchacze tej nawały słów i argumentów, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł gość znajomy, ale nigdy nie spodziewany, ani nawet wspominany. Był to

http://rcin.org.pl

prawdziwy Bimbaszy od Kozaków sułtańskich, Tatar Lipka, w Polsce urodzony, Mahmud, Maciej Mucha.

— Niech będzie Bóg pochwalony — Jezus, Marja, Józef! —

Był to Muzułmanin urodzony i imaństwo znał na palcach, w ramazany imanował — ale umiał służyć i do mszy jak najlepszy organista, i miał też honor służyć przy jednym ołtarzu z wielkim komturem, by być przykładem pułkowi, którego uczono manewru kościelnego, żeby wyprosić łaskę papiezką do zmiażdżenia wrogów kościoła, monarchji i dynastji, takoż żeby się obeszło bez oręża, po chrześciańsku.

Fenix zbladł jak chusta i boczkiem zmykał się ku drzwiom; ale Tatar go spostrzegł, małe oczka przymrużył i nim był jeszcze odwitanym, sięgnął ręką i cap Feniksa za czuprynę.

— A tuś mi, wraży synu! —

Feniks drżał jak w febrze i przypadł na kolana. Wszyscy przytomni przystąpili.

— Co to jest, panie majorze? Wszak pan nie zna pana margrabiego?

— Piękny mi margrabia! czemu nie książę, co psom ogony wiąże! Jest to poprostu fagas Margrabiego, który skradł jego paszport, przyjechał do Turcji, zapisał się do Kozaków, a przed kilku miesiącami zdezertował. Znalazłem go tu, więc biorę co nasze. — Zawołał ordynansa stojącego w sieniach, i nie wdając się w żadne rozprawy, kazał Fenixa zaprowadzić do kwatery, okuć w kajdany i osadzić pod straż. [3])

Ptak rajski poszedł niespyszna i trzeba powiedzieć, że z przytomnych nikt go nie żałował. Jeden tylko Żuk pomyślał sobie: Trzeba to będzie zatelegrafować o przygodzie do jenerała Żółwia i do komisarza Sokolika do Stambułu — może to jaka tajemnica niewidoma, przywiązana do tego Feniksa. Za telegram i za koszta policzą, i jak zawsze, gotówką wyliczą.

Major Mucha, jak dawny znajomy, uściskał wszystkich a nawet serdecznie się powitał z Praxedą, którą znał dziewczęciem — młodego Zwizdę uściskał, w oba policzki ucałował, choć nieznajomy, bo Tatar był serdeczny — i podobała

http://rcin.org.pl

mu się piękna para, bo co piękne, to nawet i Tatarowi się podoba. A potem zasiadł i pociągał szklaneczkę po szklaneczce, ale dobrze zaprawne rumem — bo nie lubił herbatką płukać zębów — a rum to na sercu słodko robi, szczególnie na sercu tatarskiem.

---

http://rcin.org.pl

III.

http://rcin.org.pl

III

http://rcin.org.pl

BRANKA.

Dobrze powiedział Bohdanko Chmielnicki Lachowi, grożącemu kozackiej swobodzie Kudackim zamkiem: Co ludzie zrobią, to ludzie zniszczą; a co Bóg zrobi, tego ludzie nie odrobią. Jak się Bóg w swoim gniewie na ród ludzki udobruchał i kazał wodom potopowym na powrót odpływać do mórz i do jezior, a ludzie wysiadłszy z arki Noego na wyżynie Ararackiej, rozeszli się po ziemi mnożyć i rozchodzić po podziałach kuli ziemskiej — Bóg przeznaczył Dobrudżę na koczowisko przepływających ludów z jednej części świata do drugiej. Ludy tamtędy przepływały w różnych kierunkach i zostawiły maroderów na osiedlenie tego koczowiska — i z tego tworzyła się mozajka narodowości, wiar i wyznań, barw, języków, zwyczajów i obyczajów — istna wieża Babel, na przypomnienie tego dawnego odśrodkowania i zmięszania jedności i tożsamości rodu ludzkiego, nakazanej przez Boga, a której ludzie ześrodkować nie mogli, ani na monarchję, ani na republikę. Dobrudża pozostała odbiciem na małą skalę tego pierwotnego wizerunku Babelu. Darmo Trajan otoczył wałem Dobrudżę od morza aż do Dunaju — darmo Genueńczycy i Wenecjanie postawili zamki warowne wzdłuż Dunaju i na wybrzeżach Czarnego morza — darmo Turcy po tych zamkach posadzali Jańczarów, po wałach rozpuścili czaty Spahijów — darmo ogłaszali tanzymaty i hati-humajum z różowego gaju — nie zdołali jednolitości wprowadzić na Dobrudżę, bo Bóg chciał, że tam pozostał pomnik mozajki jego dzieła. Tak chciał, tak chce i tak pozostanie.

http://rcin.org.pl

Nie masz ani jednej narodowości na obuch półkulach ziemi, którychby szczątki nie zawędrowały na Dobrudżę — tak, jak do stolicy świata, do Paryża. Biali, czarni, śniadzi, jasnowłosi, kruczo-czupryni — wszyscy tam mają swoich przedstawicieli. Lud rycerski, lud handlowy, zbiegi od niewoli, żądni władzy, pragnący zaciszy i spokoju, rzemieślnicy mordów i rozboju — ludzie pokuty, ludzie występku — wyznawcy wiar prześladowanych, apostołowie wiar uprzywilejowanych — wszystko się tam zbiegało — najeźdzce i tułacze — i ta różnobarwna szarańcza zbiegów padła na Dobrudżę, i żaden rząd, żadna władza, żadne społeczeństwo, żadna ustawa jej wyplenić nie może, bo takie było postanowienie Boże.[1])

W Tulczy, tej stolicy różnobarwia, na czterdzieści tysięcy osiedleńców, a na dwa razy tyle gości, zacząwszy od pokoleń Sema, Chama i Jafeta, od dzieci Sary i Agary, są uroczyska niemieckie, kozackie, greckie, armiańskie, bulgarskie, sławiańskie, polskie nawet, bośniackie — starowierców, bezpopowców, roskolników, nemolaków, duchoborców, protestantów — dom wyrobów francuskich, fabryka machin angielskich, złotnictwo abisyńskie — ulica murzynów, czerkieskie przedmieście, tatarska dacza, osada nogajska, rumuńskie kierhane, a karczem, ile gwiazd na niebie, a w każdej żyd brodaty z pejsami, w szarafanie i z czapką obłożoną lisami, albo tchórzami, jak na bożej Ukrainie. A wszędzie muzyki, cymbały, piszczałki, skrzypce, nawet dudy bulgarskie i cygańskie drumle — dzień i noc tańce, pohulanka, swawola — a w końcu bijatyka. W żadnem mieście na całym świecie nie masz co dnia tyle oczów podbitych, tyle nosów rozbitych, tyle potłuczonych policzków, tyle stusaków i kułaków danych i odebranych, ile w Tulczy. I niewiasty nie zostają w tyle za mężczyznami — i one piją i biją. Rumunki małpują bukarestkie i jaskie Bojarynie, mizdrzą się i łowią kochanków. Ryfki i Chajki, jak paryskie ulicznice, udają hrabianki, księżniczki, a nie pogardzają ani odziegcionym majtkiem, ani otłuszczonym tragarzem. A kozacze mołodyce do ziemi świętej i do świętej góry pielgrzymki i czernice różnych strojów i różnych krojów, na ulicach tropaka

http://rcin.org.pl

wycinają i w prysiudy się przewracają, po błocie, po śmieciu, po gnoju — i jeśli mołodyce i różnych narodów oberwańce jak djabli hulają, to mołodyce pielgrzymki i czernice w hulaniu przesadzają wszystkie djablice. I Sodoma i Gomora nie więcej zasłużyła na ogień niebieski, jak Tulcza — a jednak Tulcza się nie pali, Dunaj ją oblewa, a lud hałastry winem i wódką po ulicach polewa. Jaki pan, taki kram — jaka stolica, taki i kraj cały Dobrudży. Kozacy i Sławianie hulają, dzieci Agary rozbijają, Grecy mordują, Czerkiesy i Tatary kradną, Żydzi szachrują, Franki okpiewają, Bułgary i Rumuni gospodarują, a Armianie i rządowi i ludowi jak mogą, jak umieją pieniądze wyciągają — wprowadzają między nich z tanzymatem równowagę finansową, i choć nie łacinnicy, wciąż powtarzają: Beatus qui tenet! — Ale przy tej brzydocie tegoczesnej, są piękne wspomnienia na Dobrudży.

To Uroczysko bośniackie jest zasiedlonem przez potomków rycerzy sławiańskich, którzy w roku 1810 w liczbie trzystu jeźdźców z Kulen Begiem Kulenowiczem, nie chcąc kapitulować z innymi, w nocy wyszli z Kalafatu, przez czterdzieści i cztery dni po Małej i Wielkiej Wołoszy, po Mołdawie i po dawnym Budżaku, kluczyli, zaskakiwali, napadali i uciekali przed wojskiem Białego Cara, przeszli Dunaj wpław wprost do Tulczy i tu osiedli na odpoczynek i sobie i swoim bośniackim dżametom. Tu czeka sławiańskie rycerstwo, jakiego wychodu, czy przychodu, niewiadomo — i oni sami może nie wiedzą, ale czekają z bośniacką mową, w bośniackim stroju.

W uroczysku kozaczem brzmią pieśni o atamanie Lachu [2]) jak kańczugiem, choć nie bockowskim, garbował skórę swawolnym mołodźcom, rozum do głowy napędzał, żydów wieszał byle za co — ze sławą i z czcią imienia kozaczego wodził Zaporoże na wrogów Wysokiej Porty i Sułtana — i zaszywał się w czerwoną szubę, podbitą czarnemi niedźwiedziami, żeby go nikt nie zachwycił bez hetmańskiego dystynktorium. Hetmanił lat trzydzieści i zmarł na hetmaństwie, zaszyty w szubę, i tak został pochowanym. — Brzmią pieśni i o Bondarence [3]) niedawno zmarłym, który przez rok cały

http://rcin.org.pl

z połowu ryb i pijawek gromadził kupy złota i srebra — a przy końcu roku objeżdżał wszystkie sioła i grody kozackie z muzyką; w każdej wiosce, w każdym grodzie tańczył i hulał z bracią kozakami, aż póki do ostatniego grosza wszystkiego nie przehulał — i znowu praca i znowu pohulanka rok co rocznie. Tak przeżył lat sześćdziesiąt i sześć, zmarł, kończąc pohulankę, i nie znaleziono przy nim kopiejki, żeby miał czem prom opłacić, czy do nieba, czy do piekła — a że ani święty Piotr, ani Mefistofel kredytować nie lubią, więc jedna czernica z Tełycy, hulaszcza i żywuszcza, dała trzy kopiejki, żeby go puszczono z muzyką. Benedyktyńskie foliały trzeba by wypisać, żeby wyliczyć wszystkie tradycje Dobrudży od potopu do tanzymatu.

W takiem to mieście major Mucha rozpoczął werbunek kozaczy; główną kwaterę obrał u Abramka żyda, żydowskiego Czorbadżego, obeznanego z kozakami i to na wszystkie sposoby. Dwa główne powody były tego oboru: Abramko miał córkę Zelkę, ni dziewczynę, ni mężatkę, ni rozwódkę, ni separatkę, za którą przepadali i jenerałowie Białego Cara i Paszowie wszechpotężnego Sułtana — bo też była prześliczna ta Zelka, a major Mucha, choć Tatar, lubił śliczne stworzenia, choćby dla tego, żeby popatrzyć na nie. Przytem Abramko handlował skórami, a major Mucha miał namiętność do handlowania staremi rzemykami. Tak się tedy usadowił jak w raju; na Zelkę patrzał, rzemyki rozpatrywał i przepatrywał, a wino, wódkę i wszelkiego rodzaju trunki spijał dzień i noc, to z gośćmi, to ze swoimi podkomendnymi, to z zawerbowanymi. Byłby może przepił z parę kieliszków z zaaresztowanym Feniksem, gdyby mu nie było wstyd Macucha i Białego, dwóch głównych werbowników. Macuch, to było ramię majora Muchy: jak położył na czyim karku rękę, to koście chrupotały, a jak kogo gwizdnął między oczy, to mu świece piekielne zaiskrzały, a potem oślepł. Biały, to był figielman: grać, tańczyć, śpiewać i komedje wygrywać — słodki w rozmowie, do każdego się przyłasił i każdego do siebie przyciągnął, jak gdyby tamten był żelazem, a on magnesem; błyskawicą kołpak na głowę mu rzucił, poskoczył z nim parę razy po izbie karczemnej i rzucił w objęcia

http://rcin.org.pl

Macuchowi — ten go uścisnął po swojemu serdecznie, i już był kozak, albo dragon.

Szło dobrze; w jednym dniu kopa ochotników, jak rybie oko, a to wszyscy z Chersonu, z za Dnieprza, kwiat kozaczy — a u wszystkich policzki, nosy kwitnące jak róże, a nawet jak piwonie — od pohulanek. Bo też to byli hulaki; hulali pod Białym Carem po Bóg wie jakich stepach, po Bóg wie jakich krajach — a teraz idą hulać pod Sułtanem, wielkiego państwa, wielkim panem. Każdy, żeby przeliczył różaniec swojego życia, to by pewnie naliczył dziesięć razy więcej grzechów jak paciórek na różańcu — i to nie grzechów, że jadł zająca, borowego kota, albo ducha świętego gołębie — ale że niejedną duszeczkę posłał na tamten świat, żeby tam jej lepiej było. Ale tacy to zusi najlepsi na kozaków, a dopiero na starość z kozaków na Kapucynów, na Bernardynów, albo na Czerńców, jeśli są prawosławnego wyznania. Z takich to ludzi, przy bożej pomocy i jego świętej woli można mieć i hetmanów sławnych i świętych patrjarchów. Był zadowolniony z takiego nabycia major Mucha, tem bardziej że mu się uśmiechała Zelka, wyciągając jedne po drugich nowe medżidije, a coraz większa przybywała kupa starych rzemyków, czerkieskich, nogajskich, tatarskich i Bóg wie jakich — a Abramko chwalił, że jedne piękniejsze od drugich. Był więc major zadowolniony, i co kilka minut wołał to Macucha, to Białego.[4])

— No bracie, to wypijmy; dobrze idzie, niech Bóg da, żeby tak dalej szło. —

I pili i coraz odmieniali trunek, żeby nie znudził jeden. Przybyli i dwaj towarzysze: Teptysz Kucz, niegdyś porucznik kozaczy, i Grysza Krasnocwietów[5]), takoż porucznik, dziś posesjonat domu i młyna na niemieckiem uroczysku, ożeniony z Niemką, której, żeby się nie szwendała po ulicach między Niemcami, przetrącił nogę, bo dobra gospodyni powinna siedzieć w domu, mężowi zostawić szwendanie się publiczne życia. Ci obydwaj nie wylewali daru bożego za kołnierz, ani go naparstkami pili, ale konewką, jak Władysław Czwarty z domu Wazów — może dla tego nazwanych Wazami, że z waz, a nie z kieliszków wino pili. Więc biesia-

http://rcin.org.pl

dowano, aż miło. Werbunek szedł dobrze, ochotnicy weseli; śpiewy, krzyki — karczmareczka szczodrze napełniała kwarty. Ale na tym świecie dziwnie się plecie! Kuropatwa, porucznik Jeża, zawistnem okiem na to patrzył — i po demokratycznemu, wrzasnął jednemu, drugiemu na ucho:

— Widzisz, bracie obywatelu! Branka jak w Warszawie. Otóż macie, co szlachcic dokazuje, jak margrabia. Czyż nie dobrze przepowiedział pułkownik Jeż: Otóż brankę mamy, będzie i więcej! —

Kilku obywatelom uzwierzęconym przyszli w pomoc Niemcy, krzycząc: branka, branka! Byłoby jak po maślance po tych niemieckich i zwierzęcych, a nawet ptasich wrzaskach, gdyby się do tego nie przymięszali Grecy z nożami. Ochotnicy za pałki — i kiedy major Mucha, na pół zaspany powiedział:

— Rozpędzić tę hałastrę! —

Macuch krzyknął: — Bij, a nie żałuj kija! — zaczęła się bójka na dobre — a ciekawi i nieciekawi zgromadzili się w kupę, po szturchańce i po guzy. Było łomotu i chrapotu, nie żarty — czterech Greków zabitych na śmierć, z piętnastu rannych, jeden z wybitem okiem, bo było kaprawe, drugiemu odbito nosa, bo był kameryzowany. Nowo zawerbowani wszyscy zdrowi i cali, tylko pałki pobite w drobiazgi, bo młócili jak cepami na rozbój, prawi Ukraińce! A cały plac pobojowiska zasłany bebechami, potłuczonem szkłem, narzędziami połamanemi i nożami, które powybijano Grekom. Teptysze i zaptije z za rogu na te bójki patrzyli, ale żaden palca między drzwi a odwierek nie sadzał; przypatrywali się i przysłuchiwali — a dopiero jak Grecy uciekli, a ochotnicy zwerbowani rzucili potłuczone kije i wzięli się do kwaterek, żeby się orzeźwić — wtenczas weszła służba bezpieczeństwa. Sułtańskim ludziom, bo ochotnicy już niemi byli, nic nie rzekła — tylko Abramka i kilkunastu ciekawych, między nimi Zwizdę, Kuropatwę i Skrzynkę, sekretarza Srokszy, jak niepysznych wzięli pod boki i poprowadzili do konaku, do protokółu, jak to było i co to było?[6])

Zwizda, mimo gadań, szedł zapisać się do kozaków —

http://rcin.org.pl

i taka go przygoda spotkała na pierwszym poskoku — widać że mu inaczej sądzono.

Kuropatwa chciałby purchnąć i zaryć się gdzie w komysz, schować oczy, a wystawić fartuszek, bo ma strach, że jak zaczną rozwijać nitkę po nitce, to dojdą do prawdy, że on podiudził do bójki — zawsze dla dobra zwierzęcego świata, demokracji widomej i niewidomej władzy — jednem słowem, dla sprawy — ale na to zważać nie będą. Bał się i trusaka i połoskotania w pięty, bo tanzymat o zwierzętach i ptakach nic nie mówi, więc mogą go wytatarować po dawnemu.

Skrzynka miny nie tracił. Wrzeszczał i protestował przeciwko brance — tu nad Dunajem, w wolnym i bezpańskim kraju takie bezprawia, jak w samodzierskiem państwie — i to wykonane przez szlachcica, który idzie w Bohdanka Chmielnickiego ślady — do zagłady kościoła łacińskiego i butności demokratycznej! I to w chwili, kiedy nasz wielki dyplomata, pan Sroksza, łączący w sobie powonienie Tajleranda, smakowanie Palmerstona i dotykanie Metternicha! Zapisał w szeregi niewidomego wszystkich robotników, katorżników[7]), pracujących na drodze z Odessy do Michalen; kiedy już zrobił o to umowę tajemną a niewidomą z bratem Barona Ungern Sternberga — dziesięć tysięcy katorżników, to nie przylepki, to tak jak słonie króla Pirusa! Nie dość na tem. Ten wielki nasz Machiawel wszedł w stosunki ze Skopcami, ale to w takie ścisłe, że choćby nawet miał poskopić narodowców i siebie, byle dostać się do złota i srebra, pleśniejącego w beczkach tych sekciarzy. Oni musem dobrowolnym zatłumiali w sobie wszystkie namiętności cielesne, żeby duchem gromadzić skarby, na dokonanie Chrystusowego dzieła; nasz dyplomata i tam swoim cienkim rozumem potrafił się dostać, podawał wszędzie zadatki, pozawierał kontrakty — a tu branka niesłychana i niewidziana przychodzi mięszać szyki tej ogromnej pracy! Zaraz o tem doniosę Sroksz y, niech pisze noty do niewidomego, i od niewidomego do cesarza Francuzów, do królowej Anglji, do króla włoskiego, do cesarza austrjackiego, a nawet do prezydenta szwajcarskiego, do kosmopolitów i filantropów, przeciwko tej brance, od której uciekliśmy z nad Wisły,

http://rcin.org.pl

aby napotkać ją nad Dunajem! Ja zaprotestuję w konaku przeciwko brance. Kto ma duszę, kto ma serce, kto nosi imię ptasie albo zwierzęce, ten będzie przy mnie i pójdzie za mną. Nauczymy my, co to branka — nauczymy tak dobrze nad Dunajem, jak uczymy nad Wisłą. Ogromnie rozprawiał, a teptysze go wiedli. W konaku zaprotestował przeciwko brance — ale posiedziawszy przez czterdzieści ośm godzin w kozie i po wywodzie słownym, gdzie mu nie pozwolono politykować o brance, ale nakazano mówić to, co wiedział o bójce, zmiął zapał — wypuszczony, siadł na statek i pojechał do Mołdawy na pomoc wzywać Srokszy i Jeża — we trzech będzie można dać sobie radę, bo to i trójca — i trójka.

Śledztwo skończono — popili i pobili się i na tem koniec. Żaden konsul z kapitulacjami nie wmięszał się do tej sprawy. Grecy byli urwisze — czego szukali, to i dostali; żydów oduczono ciekawości — i to może było potrzebnem; po co się mięszali w nieswoje rzeczy. Werbownicy swoją powinność zrobili i pokazali, że potrafią bronić sztandaru sułtańskiego przeciwko heteriom; więc nie ma nic innego powiedzieć, tylko że dobrze postąpili. Ale majorowi Musze szepnęli, żeby coprędzej wynosił się, póki konsule nie odczumieją z pierwszego wrażenia i nie wysypią z worka kapitulacji, jeśli nie dla czego innego, to żeby pokazać że coś robią, coś znaczą.

Major Mucha, choć był kawał zucha, szczególniej na Żydów i Armianów, ale przezorny Lipka z władzami nigdy nie zadawał się w żadne spory — i w tem okazywał rozum tatarski, zgięty do słuchania i do komenderowania. Zaraz rozpłacił się z Abramkiem co do grosza, z Zelką został w decesie; tatarskie życie, kozackie pohulanki, i czterdziestka, nie ryczałt do wypłaty w miłości; na drugi raz obiecał, będzie lepiej. Zabrał naszachrowane rzemyki, ośmdziesięciu ochotników, odczajduszów, od których dzielniejszych ani pan Sahajdaczny, nieobaczny, ani Doroszenko, który sprawiał wojsko choroszenko, ani nawet sam pan Jan Wyhowski, hetman i wojewoda, na harce i na boje nie wodził. Jeszcze nie na koniach, a już ziemia pod niemi tętniała — jeszcze

http://rcin.org.pl

nie przy broni, a od gwoździ podeszew kamienie bruku iskry sypały.

Ustawił Mucha w szereg swoje wojsko. Sama Zelka każdego po kolei kwatereczką wódki poczęstowała, Szaja trębacz zatrąbił tak radośnie, że gdyby to było na rumowiskach siczy, to całe Zaporoże z grobu z martwych by wstało i poskoczyło za Tatarem; bo to kiedyś za dawnych, dobrych czasów Kozaki chodzili na trzy szlaki, a Tatary na cztery, razem — pan Jan Wyhowski z sułtanem Gałgą, Nuredynem Girajem — tak dawniej bywało, tak by i teraz było. Major Mucha dosiadł bachmata, na czele stanął, a obok niego po prawicy Teptysz Kucz, stare kozaczysko, zawędzone i sztywne — po lewicy Grysza, otucha karczmarzy, kiedy pił i płacił — postrach, kiedy nie miał czem płacić — ale zawsze kozak burłaka, tęgi chłop, prawdziwy łomaka, choć nie zawerbowane, były tam mołodyce i czernice i kilkunastu psów wołokitów; mucyków i cucyków — a w kożuchach wojennego towarzystwa, jak mrówia, bez liku — jednem słowem, choć nie liczne, ale było wojsko i kompletne i śliczne.

Ruszyli w pochód. Szaja trębacz na wytrąbienie duszy trąbi marsza kozaka. Kozaczęta po błocie w hopki i w prysiudy, jak żaby po ulicy kraczą, chołoszniami błoto zgartują — Mołodyce i czernice tropaka biją, w ręce pleszczą, a śpiewy grzmią:

I szumit' i hude
I ktoż mene mołodoju
Do domu zawede.

Kozaczęta szczupakiem w górę podskakują, jak wiuny po ulicy się wiją.

Hulaj, hulaj, moja mołodaja,
Ja tebe do domu zawedu,
Ja kozak na sołodkim medu.

Grzmią śpiewy, psy wyją, a Szaja trąbi a trąbi.

I tak wyszli z miasta, szlakiem na gniły most, ku górze Matce, tej sławnej w dziejach kozaczych Babadag.

http://rcin.org.pl

Z tyłu za tem hulaszczem wojskiem, między dwoma kozakami sułtańskimi na koniach, szedł z związanemi rękami w tył, na sznurku, jak chart na smyczy, Feniks i Margrabia, rozum Żółwia, nadzieja Niewidomego. Szedł na pieszo, leniwo, oglądał się, czy nie podleci Kuropatwa, by go wyrwać z rąk kozaczych — nudno! Marzył bogactwo, sławę, a może hetmańską buławę — a tu go ciągną na kirkorówki, na kozacze pieszczoty, by w ten sposób nawrócić go do wojskowej cnoty.

Jak zajrzeć okiem za wojskiem, szła z nim ochocza pohulanka i na tem się skończyła dobrudzka branka.

Dopiero po odejściu wojska ochotników wypuszczono z ciupasa Zwizdę i Kuropatwę razem. Zwizda rwie się za kozakami — Kuropatwa mówi:

— Czekaj, pójdziesz z nami. Wstyd, byś miał iść z branką i do branki, ty, coś uciekł od branki jak my wszyscy! Trzeba być konsekwentnym, mój bracie! Niech tam sobie co chcą mówią, wszyscy Carowie są z sobą razem — idą ręka w rękę — znają się z sobą jak łyse konie — choć to niby się kłócą, wojują nawet jeden przeciwko drugiemu, ale jedną i tęż samą dumkę mają: lud zaprzęgać w jarzmo i ćwiczyć batogiem. A ich siepacze, to kubek w kubek do siebie podobni. Jaką brankę wyprawili nad Wisłą, taką widziałeś tu nad Dunajem. Jeśli jeden pies, to drugi sobaka — jeśli jeden djabeł, to drugi czort, wszystko jedno — a my lud boży powinniśmy bronić praw naszych, żyć i umierać za swobodę ludu. Czekaj, bracie! Żółw nas, a może i Jeż, poprowadzi z ziemi Wołoskiej do Polskiej — to wszystko jedno, to Włochy, a to Wołochy, jeden ród, jedno pokolenie.

Uśmiechnął się Zwizda.

— Tylko różnica między Dąbrowskim a Jeżami i Żółwiami.

— To może i prawda, ale jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. Nie wiesz, zapewnie bracie, że nasz waleczny Jeż i rozumny Sroksza z księciem Kuzą traktują,

http://rcin.org.pl

a to Hospodar Mołdawy i Wołoszy, dawny lennik polski, jak wiedzieć musisz z historji. Kto wie, może go sumienie poruszyło i zechce na nowo dawnego lennictwa kosztować — a wtenczas pójdziemy górą. Kraj bogaty, obfity wewszystko, a Rumunki to i zalotne i polotne, a takie choć i do rany przyłożyć, szczególniej dla tych, którym nie bardzo się chce na boje narażać — których cywilizacja i postęp ludzkości przekonały, że najpewniej wojować piórem i językiem, a ręce trzymać przy sobie — niech się gbury i ciury i szlachta bije, to ich rzecz — a nasza, świat zdemokratyzować propagandą, wszechwładztwo rozsiać między ludzi i czekać na wypadki. Jak zjednają takiego lennika, będziemy w Wołoszy i w Mołdawie jak pączki w maśle upływać — na mamałydze, na dulczetach, i stać na czatach propagandy, zawsze gotowi do zaprotestowania, ale z najedzonym żołądkiem, ze zwilżonem gardłem. Tak nam obiecali i pan Jeż i pan Sroksza. Czekaj bracie, może dotrzymają — będziesz używał z nami! —

Kuropatwa wpadał w coraz większy zapał; tak ćwirkał, jak mu się nigdy nie zdarzało, i tak ćwirkając, doprowadził Zwizdę do domu Nemolaki.

— Bądź zdrów, obywatelu, bracie! Czekaj na nas, a nie pożałujesz, na mój honor Kuropatwy się zaklinam, do zobaczenia się! —

Kuropatwa leciuchno podskakiwał, bo już mu lżej zrobiło się na sercu; nikt go nawet nie posądził — uszło płazem. Ale zarzekł się wdawać więcej w podmowy i podobne roboty, a czekać na pływanie w maśle rumuńskiem — i wtenczas zmienić gotów z ochotą nazwę Kuropatwy na Pączek, jeszcze zapustny, i to warszawski lub krakowski.

W domu Nemolaki była wielka radość z przybycia Zwizdy. Staremu przypadł do smaku młodzieniec; patrząc na niego, przypomniał sobie i młode lata i błogą Ukrainę — a to już dość by pokochać powód takiego przypomnienia. Jak go znajdzie człowiek, szczególnie przy schyłku życia, to już się go trzyma, jak tonący by się trzymał brzytwy — bo to przypomnienie, to życie starca, a jego zniknięcie, to nuda, choroba wiodąca coraz bliżej a bliżej do śmierci i to na czużynie, gdzie ani swój wiatr ducha w inny świat poniesie,

http://rcin.org.pl

ani swoja ziemia ciało przykryje, i koście swoim własnym potomkom przechowa. Przywitał go, uściskał jak własnego syna i jak o własnym synie zalecił w domu mieć o nim pieczę — w to mi graj! Piękna Praxeda spłonęła rumieńcem radości, a serce zagrało nadzieją szczęścia — o mało co nie skoczyła staremu ojcu na szyję, by go uściskać, ucałować za takie dobre słowa — i zaraz wdawała się w cichą a tajemną rozmowę z młodym Zwizdą, w tę rozmowę półsłówek, gdzie oczy gadają i wiele gadają, a usta tylko szepczą szmerem nierozumianym dla obcego ucha, ale dobrze rozumianym dla serc rozmawiających z sobą. Zwizda rwał się jeszcze do kozaków, ale coraz słabiej — zaczął jak koń tabunny, a przeszedł na konia ogłaskanego; podskoczy trochę, ale wraca do ręki, która cugle trzyma, i nawet chce ucałować tę rękę, za to że je trzyma. Przez nawyczkę i człowiek i zwierzę oswoi się nawet i z niewolą; a mianowicie ze słodką niewolą miłości. Dnie płynęły po dniach, tygodnie nawet upływały, a młody Zwizda już i nie mówi o jechaniu do Kozaków, może myśli, ale nic nie mówi — i było mu szczęśliwie, było mu błogo. Kochali się z sobą. Stary Skorupadzki myśli sobie: Jak przejdą te niespokojne czasy, to ich pożenię; niech nie przepada dobra krew, dobry ród — może się doczekam wnuków, którzy pójdą w ślady praojców. — Cieszył się urodą córeczki i przyszłego zięcia — piękna para, dorodna para — będąż to ładne wnuczęta! — I błogo mu było; nadzieja szczęścia zawitała pod jego strzechę. Choć Nemolaka, modłami Bogu dziękował za nie.

Ciż sami goście, jak dawniej, co wieczór u pana Skorupadzkiego się zbierali, gawędzili i herbatkę popijali. Jednego dnia przyszedł pan Żuk z wiadomością, tej treści: Jenerał Żółw, dowiedziawszy się o zaaresztowaniu Feniksa, tak mocno uczuł, że aż zachorował; zaległ łoże i nie chce nawet ani myśleć o wyprawie, która mu jest nakazaną przez Niewidomego — ciągle woła: Feniksa, mego Feniksa! Wszyscy jego przyjaciele — bo Żółw jest mocno szanowany, na co zasługuje przez swoją dobroduszność i chętność do służby byle jakiej, ale dla ojczystej sprawy — otóż wszyscy przyjaciele, a mianowicie komisarz Sokolik, tak się gorąco wzięli do

http://rcin.org.pl

rzeczy, że wyrobili do majora Muchy rozkaz telegraficzny: Napomnij Feniksa po ojcowsku i puść go do djabła! — Telegram zastał majora Muchę w Warnie. Tatar, i to Lipka, wierny staroświeckim zwyczajom, kazał rozciągnąć kilimek na środku pokoju, położyć na kilimku brzuchem Feniksa, Macuk trzymał za głowę, Biały za nogi, a sam major własną ręką kańczugiem, który otrzymał w darze od pułkownika Franciszka Kirkora, odliczył mu dwie kopy, to jest sto i dwadzieścia oblewanych: — Oto tobie Feniksie abszyt z Kozaków i befel na margrabiego! Na nogi i drała, a dobrze zmykaj, bo jak mi się jeszcze raz w łapki dostaniesz, to będzie z ciebie bigos, i to hultajski, dobrze posiekany i umiażdżony! — Wynieśli nieboraka, bo już stanąć na nogi i w glejt nie mógł. — Wzięli go demokraci, żeby posłać Żółwiowi i Srokszy na pokaz, jakie to skutki branki kozaczej — nie puste słowa, ale czyn dokonany tej nieludzkiej branki.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

IV.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

DAWNE GRZECHY.

Młody Zwizda zakochał się na dobre, i choć świat Metamorfozy za życia, wprowadzony przez rząd niewidomy między ludzi, do których rodu i on należał sercem, duszą i ciałem, ruszał się i do ruchu wszystko i wszystkich, jak mógł i gdzie mógł, pobudzał — on jak Jozue niegdyś rozkazał słońcu: stój! — chciał temu ruchowi nakazać: stój, tu w Tulczy, bo mi tu dobrze! Każde spojrzenie oczów pięknej Praxedy wstecz o ukraińską milę, co to dzień cały trzeba jechać, żeby jeszcze nie dojechać, cofało go od kozaczej zachcianki, udania się do sułtańskich kozaków — a jednak do tego przyznać się nie chce. Pojadę, jutro, pojutrze, za tydzień, z nowiem księżyca — zła droga, błotna, zimno, wiatr północny — statki nie chodzą regularnie ani do Kustendży, ani do Warny — jechać lądem, trud niepotrzebny. Włóczy się tyle Czerkiesów, tyle Tatarów, i tyle Cyganów, okradną, zabiją — Bóg wie na co i po co! Nie spiesz — Kozacy nie uciekną; lepiej zaczekać, co nagle to po djable, a jak nas Włochy uczyli: Qui va piano, va sano! — i dojdzie do celu. Ale i to mu się jeszcze nie zdało do jego kozaczego zakroju dostatecznem, by go wybielić w oczach jego własnych, bo to jakoś dziwnie wygląda, kozak tak oplątany spódnicą, że nie może się wyplątać, by wskoczyć na koń i zahulać z bracią kozakami. Zresztą i cukier, choć słodki, w końcu znudzić może i musi — i kochance kocha-

http://rcin.org.pl

nek, co za nią w ślad jak mops łazi, liże stopy i mizdrzy, musi się stać ckliwym jak lukrecja — zawsze trzeba mieć coś do podsycania ognia. Jadę, pojadę, choćby nawet o wyjeździe nie myśleć. — Więc i młody Zwizda, pronosa, wyrobiony przez kochanie, dwie struny nastroił na swój wyjazd: do kozaków sułtańskich — i na wyprawę z Jeżem, z wilkami, z lisami, z pliszkami i z wężami — i dla tego związał się poufnym pożyciem z Kuropatwą. I Kuropatwę choć raz w życiu na prawdę straszył odjazd od pięknej Praxedy — odlecimy!

Tak nakluczywszy, pan Zwizda, siedział sobie spokojnie w domu Nemolaki, jak u Pana Boga za drzwiami, pod skrzydłem miłości panny Praxedy — i dnie mu bardzo błogo, bardzo miławo płynęły — jak Herkulesowi przy Omfalji — jak synowi Tetydy przy pięknych dziewicach Tessalji — i gdyby Grek solony, Ulises, nie wyrwał z pod spodnicy tego Sławianina — ach! ileż by to matek łez nie wylało po swoich dziatkach, włócznią pokłutych — tego wodza sławiańskiego ludu, którzy Mir mu donosili, wytrzebiając bronią tych, którzy się bili. I jego przyjaciel Patrz-okiem był by nim patrzał na ludzi, a nie szedł do Erebu, skłuty dzidą Hektora — a Ludwik Zwierkowski [1]), zwany Czarnym, Hanka i Palacki, nie mieliby źródła do sławiańszczenia. Ach! ileż Patrz-okiem, Mir-mi-donieś i pół świata bohaterów, walczących pod Trojąo zmuszenie do skruchy i do pokuty pięknej Heleny! Możeby lepiej było nie rozplątywać ze spodnicy młodego Zwizdy, bo choć to Kozak i z Ukrainy, ale djabeł nie śpi. Czytał romanse drukowane w Paryżu, a może i romansował na swoją rękę, bo bywał w Kijowie i w Berdyczowie, w stołecznem Żytomierzu, i w poleskiem Uszomierzu — mogło być licho.

W dzień szło wszystko dobrze — ale w nocy kozaka napadały zmary. To Kijowianka z Padołu, błękitno-oka, kruczo-włosa — Greczynka z krwi i uroku, z tego rodu, dla którego Bolesław Chrobry tak pokochał sławiański Kijów, że gotów był zerwać z Niemcami i z Niemkami, by panować nad Sławianami między Kijowiankami. Oj! te Kijowianki lepiej jeszcze oczarowały Bolesława Śmiałego, króla bohatera,

http://rcin.org.pl

i jego junaków Jastrzębca, Szraniawę, Jelitę, Starego konia i innych olbrzymów polskiej sławy. Król przyrzekł Kijowiankom przy całusach pożegnania i junacy przyrzekli, że wrócą do nich z wschodnią wiarą, w Kijowie założą stolicę wschodu i będą panowali, byle być z Rusałkami, Kijowiankami. Król bohater polityką wiązał swoje zamiary i polityką chciał odpierać klątwy biskupa ze Szczepanowa Stanisława, ale przeniemczonego. Jastrzębcowi było pilno do Kijowa — szlachcic dał słowo, chciał dotrzymać Kijowiankom. Orężem spór zakończył — z biskupa zrobił świętego i męczennika, z króla bohatera wygnańca. Rozciął, zamiast związać węzeł między Sławianami — a wszystko dla czarodziejek Kijowianek. Dla czegoż Zwizda miał by być lepszym albo gorszym od swoich praojców? Jeszcze uczniem uniwersytetu, pokochał Kijowiankę; on dla niej porzucił nauki, bo to na djabła się zdało; ona dla niego męża, bo i ten był djabli wiedzą na co. Czmychnęli ze starego Kijowa, ale nie przejechali Białgoródki — pogoń schwyciła kochanków w alkierzu zajezdnej karczmy jak w klatce. Mąż srogi, rasa z krwi greckiej, w gniewie zażarty, a uparty, nie dał się przebłagać. Kijowianka poszła odsiadywać pokutę między Czernicami w Perejasławskiej puszczy, żeby nie widziała nawet starego Kijowa — a Zwizdę w kozie z ruski miesiąc przetrzymano o chlebie i o wodzie, a potem do matki odesłano. Mamunia ani słówkiem skarciła, rada że synalek tak zaczął. Utuliła, popieściła — wszytko poszło dobrze, ale zmara przed oczami duszy, przed oczami serca została.

W Berdyczowie na jarmarku Onafrejskim z panami Bałagułami pobratał się i duszą i ciałem. Przylgnął do nich jak zwierzątko do kożucha — bo to u niego kozak, burłaka, czumak, hajdamaka. To wszystko razem przeobraziło się w Bałagułę — tam go ochrzczono na Bałagułę, u Rauszera Kalmusówką i Szampanem, a tak obficie, że byłoby w czem wykąpać i zmyć do szczętu grzech pierwotny. A potem żeby już nic nie brakowało nowemu bałagule, ożeniono go z żydóweczką Chajką i uposażono ich kozaczą bałabajką. Wszystko to było na żart, ale Chajka rozkochała się na prawdę — i kiedy młodego bałagułę powieziono do Żyto-

http://rcin.org.pl

mierza do palestry, tegoż samego dnia rybacy wyciągnęli z Hunyłopiatu utopioną Chajkę z przyciśniętą do piersi kozaczą bałabajką — druga zmara przed oczy duszy, przed oczy serca młodego Zwizdy.

Posmutniał Zwizda, ale przy pracy wszystko się zapomina, a przynajmniej nie tak często się przypomina — a do tego u mecenasa była córeczka Karolina, ośmnastoletnia, już nie zielona, a jeszcze nie dojrzała — zalotna, ciekawa, piękności djablej, bo młoda. I o Chajce i o Kijowiance słyszała, bo takie kroniki, choć ich ani Długosz, ani Gwagnin nie kompilował, zawsze do uszu dziewicy dolecą. I pannie Karolinie zachciało się w sidełka złapać kozaka; ot tak sobie na śmiech. Ale jak zaczęła łapać, tak się sama złapała, jak Kijowianka, jak Chajka — bo wszystkie niewiasty, to córki Ewy, a co zrobiła Ewusia, to pewnie zrobi i Jagusia — a czego się dopuści Malwina, to temu nie przepuści i Karolina — wszystkie na jeden kopyt, a nie inny. Kochankowie palestrowali sobie w jak najlepsze, rankami i wieczorami, nad kamionką, pomiędzy skałami recytowali pandekta, korekturę pruską — a nocami szperali w foljałach swodnych zakonów; byliby adwokaturę doprowadzili do najwyższych tonów. Ale ludzie, zawistni szczęścia drugich, jak się to zawsze dzieje na tym świecie, przestrzegali starego mecenasa, że młoda panna zanadto ślęczy w książkach, zanadto często pleśń ociera z kart, druki mogą się zatrzeć, a wtenczas książka stracona, nikt jej nie zechce. Mecenas indukt ze sprawy zrobił i wyargumentował: Zwizda hołysz, jakieś tam dożywocie matczyne na pustyni, to nie wielkie rzeczy — a Karolina jak się poszkapi, a wyjdzie prawda jak oliwa na wierzch, a wyjść musi, to męża nie złapie — więc przez przyjaciół, a tych było nie mało, zastukano do serduszka sowietnika Cwancygiera. Sowietnik to kaziennej pałaty, ma dworki, sklepy, ogrody, karczmy i z procentów nie małe intraty — nie szaławiła, bo siódmego krzyżyka dolicza, młodych buziaków bałamucić nie będzie, bo bez nosa. Mówią, że kiedyś tam przed laty jechał w Berdyczowie Machnowiecką ulicą odkrytą dorożką; jechał z wizyty od panny Maj, bo choć Niemiec, ale urodzony na Rusi, lubił bardzo

http://rcin.org.pl

wiosnę — jechał, jeszcze owiany majowem powonieniem i dumał, aż tu z przeciwnej strony pędzi tabuńczyk Kałmuk i na arkanie wiedzie dzikiego konia. Koń jedną stroną ulicy, tabuńczyk drugą, a w poprzek ulicy sznur arkanu naciągnięty, leciał takoż. Zadumany Cwancygier w czas na w znak na dorożce się przewrócił, żeby nie stracić głowy — a sznur arkanu tak mu zestrychował nosa, że śladu nie zostało. Wówczas w Żytomierzu nie przyprawiono nosów jak w Paryżu — bez nosa więc został. To bynajmniej nie przeszkadzało być sowietnikiem kaziennej pałaty i zbierać majątek z rozmaitej opłaty — miljony liczył, a żony nie mógł znaleźć takiej jak chciał. Miał dorożki, kocze i karety, rysaki, skakuny, winochodźce — miał dom jak pałac, loże w teatrze, dacz na Kodeńce — kawaler dobrze porosły w srebro i złoto, ale beznosek. Otóż pannie Karolinie takiego męża swatano. Panna w płacz, w szlochy, w spazmy, w migreny, i we wszystkie krotochwfile modnej sceny, tak dobrze odgrywanej na scenie żytomierskiej, jak i na paryskiej lub londyńskiej. Ale stary mecenas jak raz wyargumentował, to już indukt przechodził w ukaz, i dla tego był pierwszym mecenasem. — Waćpanna wiesz, że nieprawne postępki doprowadzić muszą do nieprawnych skutków. Ażeby tego uniknąć, trzeba to wszystko pokryć prawym związkiem — tak robią panny wyswobodzone przez siebie, tak i Waćpanna zrobisz. Masz do wyboru: albo klasztor z pokutą do śmierci, albo małżeństwo, z dożywotną swobodą. Jeśli się ma spryt, to wszystko można, tylko ostrożnie. — I panna Karolina została panią Cwancygierową i Sowietnikową — a pana Zwizdę, żeby zachować dekorum i oddalić niepotrzebne gadania, posłano do Uszomierza, spisać inwentarze do przyszłego rozbioru. Nieborak, kozak pojechał jak nie pyszny z trzecią zmarą — a niestety, po czwartą.

W Uszomierzu nuda na śmierć, bo to ani dobra wioska, ani siakie takie miasteczko. Na dobitek nie było nawet popadianek, bo stary pop miał synów gdzieś tam po świecie, a ani jednej córeczki albo wnuczki w domu. Między mołodycami i dziewkami panował gościec, czyli kołtun, gościł jak u siebie — a pan Zwizda, jako kozak i szlachcic, oba-

http://rcin.org.pl

wiał się ogromnie kołtuna i cholery, żeby mu się osołediec nie skołtunił i żeby nieszlachecka choroba go nie opaskudziła. Więc nosił się nieborak po całodziennej pracy, ze zmarą panny Karoliny po bezdrożach i po gajach, w okolicy Uszomierza — ale Bóg litościwy i djabeł litościwszy jeszcze może, nie dał mu się długo nosić ze zgryzotą i z nudą — nie dał żeby młode lata przepadały na żmudze — dość tego będzie na starość. Jednego wieczora dostrzegł cygańskie szatry. Ciekawość nudy wszędzie człowieka zawiedzie — wszedł między Cyganów, wszak i to ludzie. Tam między nimi znalazł cyganeczkę piętnastoletnią, nazwiskiem nie Chira, ale Zaira, jakby z tragedji Woltera. Zwizda w Kijowie uczył się o klasykach i o romantykach — jak dobry uczeń piroga chciał, a chleba powszedniego nie porzucał. Pamiętał o Esmeraldzie, ale nie zapominał o Zairze. Imię zwróciło jego uwagę, a ślicznіutkie stworzenie pociągnęło do siebie i oczy i serce, bo też było ślicznіutkie. Oczy, jak Francuzi mówią, migdała oprawy, a takie czarne, takie błyszczące, takie ogniste, jakby były zwierciadłem całego piekła miłości i zazdrości — usta rumiane i trochę wywrócone wdziękiem lubieżnej roskoszy — nosek mały z nozdrzem rozdętem, trochę arabskiej porody, parska ogniem miłości — na twarzy trochę śniadej, młodość ryczałtem życia tryska — kibić wiotka, polotna, a taka składna, że człowiek, choćby jaki, chciałby ją schwytać i ściskać, ściskać aż do końca życia — rączka i nóżka taka mała, że patrzeć na nią, i Warszawianki i i Krakowianki rozpacz by brała! — Nie był to aniołek wabiący do nieba, ale djabełek ciągnący wprost do piekła. Zwizda o aniołach i o duchach miał jeszcze niewyrobione pojęcia — ale na widok djabełka, i takiego jak Zaira, krew w nim jak woda w samowarze zakipiała. Szlachcic kozak bez wstrętu z cyganami się zapoznał — bo to niedawno jakiś nauczyciel w Kijowie, za czasów feldmarszałka Gudowicza, zdobywcy Anapy, wliczył między koczujące narody cyganów, żydów i szlachtę polską — i dla tego to w szlachcicu polskim jest pociąg do żydóweczek i do cyganeczek. I Zairze przypadł kozak i do serduszka i do buzi. Bez ceregielów, bez fortelów, o północy, przy blasku chłodnym księżyca,

http://rcin.org.pl

przy śpiewie koguta, przy miauczeniu czarnego kota, przysięgli sobie i miłość i wierność — i byli szczęśliwi miłością piekła. Potem Zaira stanęła na nogi, porwała za sztylet, który nosiła u pasa.

— Mój luby, mój drogi! Ja ciebie kocham i kocham, i kochać będę, póki moje usta będą w sile ssać sercem miłości, póki nie zwiędnę na zgrzybiałą babę! Ale jak ty mnie zdradzisz, jak ty pokochasz inną, biada mnie, biada tobie, biada wszystkim! —

I błysnęła żelazem sztyletu, wyciągając rękę do chłodnego księżyca — brała go na świadka swej przysięgi. Kogut po raz trzeci zapiał, a kot zamiauczał kwileniem rozpaczy. Dorodny kozak drżał i słowa mu stygły w ustach. Przyciskał się do cyganki, do dziecięcia ducha, on siłacz ciała — i tak się odbył ten ślub czwartej miłości.

Nic nie ma wiecznego — wszystko doczesne na tym świecie. Powołany nagle do chorej matki do domu, opuścił Zwizda Uszomierz, bez pożegnania, bo to serce rozdziera — a on choć nie bardzo, ale się smucił, że tę straszną miłość porzucił. Porzucił, ale wspomnienie i zmara go nie odstąpiły — i na Ukrainie i na Dobrudży zmara cyganki mięsza się we śnie do trzech innych zmar — i żelazem sztyletu przed oczyma błyska i śpiewa: Biada, biada!

Takie zmary w nocy nawiedzały młodego Zwizdę — zmienił się na twarzy, nawet zdawał się niknąć na zdrowiu. Praxeda mówi: on mnie kocha, miłość z cierpliwością idzie niesfornie w parze, a ojciec każe czekać spokojniejszych, jaśniejszych czasów. — Stary Skorupadzki powtarza sobie: On kocha dziewczynę, ale żmudzi, ale się nudzi — niech poczeka. Lepiej niech się wyszumi przed małżeństwem, jak żeby miał po małżeństwie lecieć na jakieś harce i zostawiać młodą wdowę, a może i sieroty. Czekajmy, wszak to tak zawsze nie będzie — tyle rzeczy przeminęło, i to minie. Z miłości nikt nie ginie, a od nieszczęścia mogą zginąć oboje — trzeba rozerwać dzieci. — I stary Nemolaka ułożył rybołóstwo nad Dunawcem, w swoich własnych zakładach, zaprosił państwo Żuków, Woronę, Osipa Siemienowicza, Kucza, Gryszę, a nawet i Kuropatwę.

http://rcin.org.pl

Dwa tarantasze, kryte skórzanemi budami, malowane, zielono, z czerwonemi pręgami — dwie kibitki odkryte, a wszystkie cztery po trójce koni jednomastnych, duchy czerwone, po środku dzwonek na rzemyku uwiązany, chomonta błyszczącemi blaszkami wykładane, lejce wełniane niebieskie i czerwone — w środku na pościel i materace ponakładane jaskrawe kobierce, i woźniców siedzenia ponakrywane kilimkami.

Do pierwszego tarantasza siadł pan Skorupadzki pułkownik i pułkownik Worona — czyn czyna musi szanować. Więc oni przodem — trzy kasztany z konopiatemi grzywami.

W drugim tarantaszu siedziała pani Skorupadzka, bo i ją wzięto na te gody. Obok niej pani Żukowa, a w środku panna Praxeda. Młody Zwizda za woźnicę — trzy konie wrone jak kruki, a u każdego biała gwiazdka na czole, i u każdego tylna noga lewa nad kopytem biała, jakby trzy bliźniaki jednej matki.

Na trzeciej kibitce z rzędu, ciągniętej trzema myszatemi, o czarnych grzywach i o czarnych ogonach, zasiadł Osip Siemienowicz binbaszy, i pan Żuk major — wygodnie się obsadzili i do gawędy i do drzemki.

W ostatniej kibitce ciągniętej trzema pstrokaczami, siadł Kucz i Grysza, a biedak Kuropatwa, żeby się nie tłuc na koniu, podjął się zwoszczykować trójkę. U nóg tej to pary był ustawiony ogromny butel oplatany z winem odobeskiem, a każdy miał na sobie przewieszoną na rzemyku oplatankę z wódką i tą okowitą, która wyglądała niby perspektywa sztabowca. Widoki okolicy piękne, dalekie — więc sięgali do perspektywy, ażeby była jaśniejszą, odwilżali ją więc w ustach. Kuropatwie po brodzie ciekło, a w gębie nic nie było.

Siodłane konie prowadziła służba — i tak się zebrała karawana nawet poważna dla Dobrudży — a takie wszystko było ukraińskie, że zdało się jakoby wyjeżdżano z Romna, Łebedzian, albo do Pułtawy, albo do Kijowa.

Pierwszej trójki zwoszczyk siadł na kozieł, rozebrał lejce w rękach, nadział czapkę na bakier, przeżegnał się trzykroć

http://rcin.org.pl

razy krzyżem świętym, posadził pod pachę zebrany knut, trącił cuglami i ruszyli z miejsca. Rysak z krocza w kłus przechodził; poboczne, jak darty orzeł, obrócili głowy w strony i wkrótce zaczęły w galop wyskakiwać. Dzwonki zadzwoniły, pomału, pomału, coraz urywanym bardziej głosem. Tak przejechali przez miasto, a za miastem rysaki kłusem wyciągały, poboczne aż do czwału wyskakiwały. Zwoszczyki przemawiali: Ach, wy kocięta! ach, wy rozbójnicy! — Dzwonki tylko dygotały — pomknęli się i ponieśli w step.

Pierwszy spoczynek był na Supruna mogile [2]) Kraj dziki; step i step — po nad stepem ziemskim siwe sokoły wartko latają po stepie niebieskim; to pławią się prosto jak wytkniętym szlakiem, to kreślą koła, to w zygzaki kąpią się w powietrzu, a wciąż zaglądają na Supruna mogiłę, jakby go wywoływali z grobu, żeby im sprawił biesiadę, jak sprawiał za życia. Po stepie w prawo, w lewo biegają tabuny koni wolnych, swobodnych, bez jeźdźców, a ciągle podbiegają do Supruna mogiły, żeby jeźdźców zmarłych z grobu wywołać, wsadzić na siebie i poskoczyć na boje i sprawić biesiadę braciom orłom, braciom sokołom.

W dali, bardzo w dali, jak smugi kryształowe, lśnią się odnogi Dunaju, a jeszcze dalej kiciaste oczerety spławniów, to się kłonią, to się podnoszą, jak lud boży na pokłonach przed niewidzianem obliczem Boga. Może to pomniki tych tłumów, które od potopu aż do naszych dni na tem stekowisku wyginęli od żelaza, od ołowiu, od morowych zaraz, od pożogi i od głodu — za grzechy pokutują i jak który odpokutuje, z wiatrem się unosi w niebo. A za temi spławniami morze szerokie, dalekie — ale na niem nie widać czajek kozaczych, a na Supruna mogile ani zamku, ani krzyża, ani kamienia grobowego nawet — tylko pieśń ludu została, żeby przechować pamięć z wieków w późniejsze wieki.

I stary Skorupadzki opowiadał z pieśni, jak młody Suprun, kozak z nad Dniepru, po dziesięciu latach wysłużonych na Nizie, nudził się z młodą żoną, zatęsknił za Nizowcami, za bojami. Nie wiedział jak sławy nabyć — rzucił młodą

http://rcin.org.pl

żonę i dziecinę małą, zebrał młodźców nizowych, przeszedł Dunaj na Dobrudżę, żeby bić hordy tatarskie. Z sobotnej nocy na niedzielę spotkał się z Ordą, a w niedzielę w godzinę służby bożej uderzył na hordę i dostał się w niewolę. Traktował z hanem o okup, pisał do starej matki i do młodej żony. Czekał han miesiąc i drugi, na tem samem miejscu, gdzie była mogiła — czekał, karmił i podejmował Supruna i jego kozaków, jesyrów, a okup nie przychodził — aż nareszcie czaty tatarskie dały znać, że ciągnie wojsko kozackie, ale nie ze złotem, nie ze srebrem, nie z bursztynem, ale z żelazem, z jasnym żelazem — że je prowadzi stara niewiasta i mołodyca z niemowlęciem u łona, że obydwie zbrojno i konno, a wojsko same Nizowce, same Zaporożce. Han dobrodziej widział, co to się święci — kazał Tatarom stanąć w półksiężyc, młodego Supruna i jego kozaków wyprowadzić przed środek. Widział młody Suprun w dali wojsko kozackie, czerwieniało jak mak kwitnący — widział i serce mu do niego skakało, a łza stanęła w oku. Han krzyknął: To taki ty mi okup sprowadzasz! Wprzódy tobie, a potem mnie! Ałłach Ekber, Boże silny! — Skinął na Tatarów i w mgnieniu oka ani jednego kozaka nie zostało przy życiu — sam han przebił jataganem młodego Supruna, żelazo damasceńskie dżgnęło w same serce a wyszło przez żebra, tak, że łzawej radości z widoku swoich z lica nie starło.

Nizowcy i Zaporożce wówczas taborem ku zebranym wrogom ruszyli, a Tatary hała, drała, w step uciekli. Kozacy zastali tylko swoich, ale już nie przy życiu. Płacz, rozpacz! — Młoda Suprunowa na trupie męża ostatni dech życia oddała, a stara matka wziąwszy niemowlę na ręce, prosiła Nizowców i Zaporożców, by sypali wysoką mogiłę, dla Supruna i dla jego kozaków — a niemowlę na tę robotę ciągle patrzało i ani razu nie zapłakało.

Stanęła mogiła wysoka i szeroka. Stara matka krwią Suprunową supruńskie niemowlę namazała, jasne włoski ziemią z mogiły jak popiołem przysypała i wziąwszy na ręce takiego namazańca zemsty, siadła na koń, Nizowce poszli dwoma szlakami, Zaporozce trzecim, przez Ukrainę aż do Dniepru, do Chertycy i do kochania kozaczego.

http://rcin.org.pl

Mogiła stoi i Tatarzy, już nie Tatarzy, i Kozacy, już nie Kozacy, przychodzą już nie wojować, ale przypomina dawne czasy, a imię Supruna stało się sławne — i może sobie gdzieś tam na tamtym świecie powiedzieć, że sławy wiekuistej nabył.

Kiedy tak stary Skorupadzki rapsod kozaczego życia rozpowiadał swoim gościom na posiłek duchowy — i w swej starości był jeszcze piękny licem rozognionem wspomnieniem dawnej sławy, ze srebrzystem włosem wianym ku Ukrainie — pan Żuk z panią Żukową myśleli o pokarmie cielesnym. Na rozesłanym kobiercu stawiano kraśne misy drewniane, ozłacane, osrebrzane, jak obrazy świętych pańskich z Kijowa; zwanemi są Kacapskiemi czy Filipońskiemi, a pochodzą z przemysłu wielko-rosyjskiego. W tych misach był kawiar wiłkowski[3]), tak urządzony że ikra od ikry się oddzielała, z szmelcowanym połyskiem czarnym, przysrebrzonym trochę. Sławny to kawiar Wiłkowa, który kozacy tej osady tylko umieją przyprawiać i wysyłają w dalekie kraje lądem, do Berlina i do Paryża. Pan Żuk powiada, że Napoleon III., wiele tej jesiotrzanej ikry pożywał, a jak został cesarzem, znalazł ją za słoną — i teraz w porównaniu daleko większy odchód do Berlina, gdyż król Wilhelm mocno się w kawiarze rozmiłował, czy dla tego żeby szumiący szampan nie był mu tak słodkim, czy żeby po ikrze słonej popijać szampana. Pan Żuk miał dostateczną wiedzę, bo był dyrektorem rozmaitych przedsiębiorstw handlowych, komunikujących z zagranicą — i aptekarzem komisji dunajskiej, do której należeli i Francuzi i Niemcy.

Dalej jesiotrzyna smażona i marynowana, i bałyki jak bursztyn przeźroczyste, podobne do węgierskiej słoniny; pirogi z podkrupnej mąki, ze świeżym serem i przysmarzane i przypiekane, zwane na całej Ukrainie i na Dobrudży stulnie. Pani Żukowa dowodzi, że do robienia tych pirogów tylko mołodyce, i to młode i pohoże, mogą być użyte — że tylko one mogą stulać i rozstulać ciasto i przyrządzać prawdziwe stulnie — a pani Żukowa była kiedyś mołodycą, co to nie lubiła, żeby chłopcy stali pod oknami i machali rękawami, i klamsali zębami, ale zaraz zawołała:

http://rcin.org.pl

Jak będę miała czas, to ja wyjdę do was! — I nikt od Bohu aż do Dniestru lepiej od niej stulniami nie częstował, a zatem wykwintniej ich nie przyrządzał. Przypomniała sobie młode lata, a to miło, choć wspomnienia. Pogroziła palcem Kuczowi i Gryszy, i spojrzała na Praxedę: Oj, niechaj ta zostanie mołodycą, to ona was poczęstuje stulniami!

Były tam i indyki pieczone, a nadziewane, a takie wielkie jak barany, jak rumuńskie oficery z piersią wywatowaną — a rumiane jak pomarańcze. Pan Żuk patrząc na nie, palce sobie oblizywał.

Przy ogniu piekły się prawdziwe baranki, w misach świeże masło, żółtawa śmietana i ser jak śnieg biały. Kołacze z pytlowanej mąki i chleb żytni dorodnemi bochenkami. Widelców, nożów i łyżek stosy i miseczek drewnianych w miejscu talerzy.

Grysza i Kucz pieścili się z oplatankami, jak z kochankami — i pan Grysza, który w górnej kozaczej fantazji przetrącił nogę żonie, bo Niemka cudzoziemka — tej zbrodni by się nie dopuścił względem oplatanki, póki pełna; wypił by wszystkie roskosze aż do kropelki, a potem by z nią postąpił jak z Niemką; gdyby w nią nie było nalać co innego oprócz wody.

Dla dwóch braci w Bachusie, dla poruczników Kucza i Gryszy, te wszystkie strawy i napitki, to była święta tradycja kozacza, cała historja dawnych czasów. I państwo Żukowie byli tego zdania — dobrze jedli i dobrze pili, a wiatr z boku szeptał: i dobrze bili — ale Kucz mu zaraz odśpiewał: Jak my podjemy i podpijemy, to zobaczymy!

Wszystko było gotowe.

Osip Siemienowicz żegnał się a żegnał do każdej potrawy, do każdego napitku po trzy razy — więc było dość świętości. Skorupadzki z córeczką proszą gości, bo przynuka to konieczna, nawet dla tych, którym głód ściąga żołądek, kiedy jadło przed nosem stoi.

Zasiedli do koła i dalej do roboty, a nie brakło nikomu ochoty. Jedli, pili, a przez ten czas nic a nic nie gawędzili, ani słówka nie słychać, tylko chrapot i mlaskanie. W powietrzu było milczenie szerokie. Orły i sokoły nad mogiłą

http://rcin.org.pl

się zleciały i wciąż nad nią wiankiem latają — myślą sobie: To przybyli mściciele młodego Supruna i gryzą koście tatarskie — dla nas resztki, będzie biesiada, Suprunowe czasy! — i z radością pokrakują i pogwizdują — a biedny Kuropatwa obawia się, by te drapieżne nie wzleciały na niego, żre ze strachu i popija, żeby strach wyganiać.

Tabuny koni ze stepu zleciały się do trójek, kopią nogami, rżą — wołają na jeźdzców: Nuże na nasze karki i dalej w pole — a Kuropatwa odpowiada: My ptaki i zwierzęta demokratycznego wyznania, wszystkim chcemy dać swobody. Bieżcie sobie z Bogiem, używajcie bożych darów, a dajcie nam święty pokój. Swoboda, swoboda! —

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

V.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

RYBNA ŁÓWKA.

Koło Prysława, święto-jurska gałąź Dunaju, zwana przez krajowców Hedrylez, toczy mętne wody ku Czarnemu morzu; w prawo oddziela się od niej smuga czystej, przezroczystej wody, a tak sinej jak w Dnieprze albo w Dniestrze, a tak szerokiej, jak najszersze czarne szlaki, któremi chodzili Tatarzy i Kozacy po bożej Ukrainie; zwą ją Dunawcem; jakby młodym synem starego Dunaju. Po prawicy wzgórza, orne pola, gaje i sianożęcia — po lewicy spławnie pokryte szuwarem i oczeretem, a poprute wąskiemi ścieżkami wody. Dunawiec wpada w jezioro Razina, Stenka Razina, które Huny Tatary, Huny Wołgary i Huny Madziary zwali Sary Giol, a sławiańskie plemiona Żółte Wody — a jakiś tam Niemiec bazgracz jeograficznej karty dla uczonego świata, ochrzcił Raselm-See — i pozostało Razelmskie jezioro. Tak to potwierdziła pozanarodowa komisja sławiańskiego Dunaju, którego pan Żuk był aptekarzem. Sławianin nie zaprotestował, choćby solucią soli angielskiej, i prawnie zostało i zostanie Raselm-See, czyli Razelmskie jezioro — i może pociągnie za sobą przechrzciny Tulczy na Tausenburg, Suliny na Salcenburg, Kara-Ormanu na Szwarcwaldendorf, a Prysławy na Burgenhof. Protestanci, żarliwsi apostołowie na swoją wiarę, niż byli święty Piotr i święty Paweł razem — i na wielkie sposoby gotowi i maluczkiemi nie pogardzają

http://rcin.org.pl

byle tylko chrzcić a chrzcić po swojemu. A Niemcy, to gorszy bicz boży, czy djabli na Sławian, niż był Atyla, Batu han, Mamaj han i wszystkie hany złotej i kipczackiej hordy, bo ich ciężko niemczą, biją, mordują, ciemiężą i po sławiańsku płakać nie dają. Nad Elbą i na całem Pomorzu, w tej sławiańskiej dziedzinie, już nie dosłyszysz ani sioła, ani grodu sławiańskiej nazwy, wszystko burgi, dorfy i hofy, a ludzi tak poniemczono, że słowa od nich się nie dowiesz. Ten szwargot i w Poznańskie się tłoczy, bo na co tym biednym Sławianom poznanie, kiedy go tak licho używali, żeby między sobą braćmi Sławianami się waśnić, a sławiańskie karki pod finf und cwancig niemieckie nadstawiać. Od dawna już zęby ostrzą na ujście Dunaju, z parlamentem angielskim powtarzając: Huny Tatary, dzisiejsi Turcy, nie mają dość siły żywotnej, samoistnej, brzęczącej, ale sztuczną, pożyczaną, żeby się oprzeć Sławianom Rosjanom, barbarom! Dla równowagi świata, trzeba ten węzeł szlaków schwycić w łapy niemieckie czy saksońskie, zawsze germańskie, a wtenczas świat będzie tańcował, jak mu Niemcy na skrzypkach zagrają: ajn, cwaj, draj!

Smucą się Huny Tatary, ale między sobą zowią jak zwali, Sary-giol — i Sławianie, jak się zbliżą, a zaczerpną żółtej wody, mówią i mówią: Niech tam sobie co chcą plotą Niemcy, zawsze to Żółte wody — i Kozacy, dońskie starowierce, mówią: Myśmy tu pierwsi przyszli na opustoszone wybrzeża, pobudowaliśmy sioła i zaczęliśmy łowić ryby — i z naszym Atamanem Ihnatem Nekrasą, na cześć Stenka Razina, nazwaliśmy ją córą Razina [1]). Niech sobie Niemcy i łby pokręcą i języki pomącą, my zostaniemy przy swojem. Oni, golono — a my, strzyżono. Nie budujemy karcianych zamków, jak to robią inni bracia Sławianie. Jakiemiśmy wyszli z Donu z Razinem, takimi jesteśmy i teraz, takimi będą i nasze dzieci.

Tak gadali kozacy, a pan Żuk pokręcał głową: Tak nie będzie! Na protokóle podpisali: Fon Kuczkowski, Fon Malinowski, Fon Podrygalski — i niestety, ja Fon Żuk, choć słowa po niemiecku nie umiem, ale jako aptekarz komisji zanarodowej, jezioro Razelm-See zwać się musi, choćby

http://rcin.org.pl

miało i czerwone i zielone wody. Tak chce parlament angielski, i tak być musi.

O ćwierć mili od Prysławy, zawsze na prawym brzegu Dunawca, były rumowiska wsi Raja, gdzie zamieszkiwały haremy Zaporożców, i ci z Zaporożców, którzy wychlustawszy siły życia na bojach i na pohulankach, szli do babińca, na pastwę i pod opiekę bab. Dziecięciem od tego zaczynali, i starcami na tem kończyli. Niewieście życie, to pielęgnowanie niemowlęctwa i zgrzybiałości. Jeśli idzie drogą bożą, to słodzi — jeśli drogą djablą, to pieprzy, ale zawsze pielęgnuje.

O ćwierć mili za Rają rumowiska takoż, ale Zaporoskiej Siczy. Wewnątrz tego kosza zaporoskiego, choć dopiero został opuszczonym w 1829 roku, równie jak wieś Raja, same tylko doły i kopce małe, kupy kamieni i cegły z kominów. Ale ani jednego zwaliska budynku, któreby można nazwać zwaliskiem. Chwast i bodiaki zarosły tę wertepową przestrzeń, po której konie i ludzie by sobie nogi powykręcali, żeby chcieli po niej brodzić, jak po stepie. Tylko na placu zborni sterczą dwa ogromne słupy i na nich poprzecznica. Mówią że to szubienica, na której pan Lach arędarzy, karczmarzy żydków wieszał, i pod którą z nowemi kontrahentami o arędę kontrakty podpisywał. Ale do koła wały i przekopy, choć zarosłe jeszcze wielce, i gruzy baszt i podmurowania, gdzie zataczano harmaty. Wszystko to jeszcze wybitne i znaczne.

Przed stu laty tam założyli osady Dońce Ihnata Nekrasy, ludzie porządku i ładu. Wtenczas Zaporoże miało swój kosz za Dunajem, nad Prutem, w Kagulu. Pan Lach dowodził trzydziestu i dziewięciu kureniami, a w kureniach było pełno szlachty polskiej, a z nią razem swawoli i fantazji. Panu Lachowi nie podobały się brody strzyżone Nekrasowców, bo sam nosił wąsy tylko — a panom szlachcie podobały się bardzo mołodyce i dziewice dońskiej drużyny, bo sami ani żon, ani kochanek nie mieli — a pan Lach trzymał w ryzie, rozchodzić się i burłakować nie pozwalał. Wojsko powinno być wojskiem zawsze zebrane, pod ręką, gotowe do służby — a z panem Lachem nie było co żartować.

http://rcin.org.pl

On jak Stefan Batory: kto z obozu bez rozkazu, na pal albo na szubienicę — chłop czy szlachcic, nogami chyc, chyc — i koniec. Otóż jednego dnia pan Lach tak się udobruchał, tak się rozruchał, że kazał w dzwon zadzwonić, w bęben tarabanić, sprawił Zaporoże: Panowie mołodce, ruszajmy na strzyżone świnie, niech nam nie paskudzą Dunajowej wody. — Poszli na noc całą, nadedniem na osadę Nekrasowców napadli, co tylko w szarawarach i w czekmenach, w pień wyrżnęli, a co w spodnicach, na rozpłodek zostawili; bez pracy zjadali kołacze; jedną osadę Sicz, drugą Raja nazwali — i tam sobie na dobre zamieszkali. Z dalszych wiosek Nekrasowce aż nad Białe morze się wynieśli — nad Siedm jezior w greckiego Enos okolice.

Przed zmierzchem przybyła karawana do Siczy, gdzie była Kiszła i rybne zawody pana Skorupadzkiego Nemolaki. Mnóstwo już tam było kozaków, rybaków, różnego stroju i różnego kroju, w kożuchach, w opończach, w kaftanach, w szarafanach — ale wszyscy mieli sine szarawary i baranie czapki na głowie, a krasne zasciężki u załojonych i zadziegcionych koszul. U brzegu czołna, czołenka, tratwy nawet, na wiosłach, na oszczepach pozawieszane siatki, siateczki, więcierze i wietkie niewody. W ziemlance, tuż przy brzegu, żyd i żydówka wódkę szynkowali i podwójną kredką mazali, kto wiele wypił, bo mało który gotówką płacił. Ruch jak w mrowisku, każdy koło roboty, łyknął byczek jeden, drugi, i dalej do pracy — i robota szła żwawo, wódka paliła gardła, ale i pod ręką paliła się robota. I to był Kosz, podobny do Zaporoskiego Kosza, albo do kozaków Płatowa, kiedy po rabunku w Sekwanie ryby łapali i po dońsku sobie hulali. I pieśni grzmiały, bo ryba się tem nie płoszy — niejeden i do żydóweczki hołubec wyciął i w zasmarkany buziaczek cmoknął, bo na bezrybiu rak ryba, a to kozacza sprawa — kto na placu, z tym rozprawa.

Pan Skorupadzki z córeczką i gośćmi, nie jak Niemiec, ale jak Sławianin, nosa nie darł do góry przed rybakami, choć im jurgield i trynkgield i rzetelnie i szczodrze wypłacał. Każdego witał, do każdego słówko dobre przemawiał, i panna Praxeda, ojcowska dziecina, pytała o żony, o córki;

http://rcin.org.pl

sercami wszystkich serca uczęstowali i za to też ich i szanowano i miłowano. Ostatek to tej szlachty ukraińskiej, co to stuknie i puknie, i gwizdnie i grzmotnie — ale po bratersku przyhołubi i po człowieczemu człowieka polubi. Dzisiejsza szlachta nie taka; pisze Złote hramoty, a broi wszelkie niecnoty. Jak potrzeba: to miły bracie, serdeczny kumie — a jak nie: to cham, bydło, śmierdzi dziegciem o dwie mile — i dla tego im lud nie wierzy i do nich się nie kupi, a jak się zdarzy gratka, to i po swojemu wyłupi. Źle się dzieje, synkowie nie idą ojców torem. Jakaś głupia fuma. i jeszcze głupsza duma, hultajstwo, szachrajstwo — birbantki, okpiwanie, płaszczenie się niskie, byle nie przed swoim, wiara i miłość kraju śliskie — a nie ma ani górnej fantazji szlachcica dawnego — i szlacheckiego serca nie ma.

Ciemny zmrok spadł na ziemię, a na niebie świeciło tylko gwiazd kilka i to nie całem okiem. Księżyca ani widać było; świecił Ameryce. Po wybrzeżu Dunajowem pozapalano ogromne ognie i z jednej i z drugiej strony — oczeret trzeszczy, a łuna ogniowa oświetla na daleko. Na wszystkich ścieżkach spławni widać łódki z kozakami, więcierze stawiają i wiosłami pluszcząc po wodzie, gonią ryby do światła. Po niejakim czasie łódki kozacze z małemi siateczkami i siatkami rzuciły się we wszystkie załomy Dunawca, a potem z wielkich łodzi kozacy rzucili niewód od brzegu do brzegu rzeki i ciągnęli wzdłuż koryta.[2])

I pan Nemolaka i wszyscy jego goście byli na łódkach i na łodziach, jak kto chciał. Panna Praxeda zę Zwizdą, niby już zaręczona para w myśli i woli ojca, była na jednej łódce — Zwizda wiosłował, a Praxeda sterowała. Jeden tylko Kuropatwa został na brzegu — ptak nie wodny, nie chciał piór zamaczać; wolał zostać przy żydowskiej ziemlance, koło której wciąż z prawa w lewo i z lewa w prawo. Pan Kucz z Gryszą holowali i zajeżdżali mówić tajemnice rybie, karczmarzowi i karczmarce zdawać raporta i odbierać nie duchowy posiłek, żeby się wewnątrz moczyć dla równowagi, kiedy się człowiek na zewnątrz moczy.

Łódka z młodą parą chybko ślizgała po przeźroczy — to się skrywała w olbrzymich cieniach nadbrzeżnych wierzb, to

http://rcin.org.pl

razem ze spłoszonemi czaplami z drzew wypływała na światło. Dziewczynie słodko, roskosznie, widzieć kochanka przed sobą, u swoich nóg prawie, i nim sterować, tym sternikiem miłości, okiem przymglonem powieką, żeby przysłoną wątpienia rozbudzać kochanie. On zapomniał o zmarach, utopił i wzrok i serce i duszę w dziewczynę.

— Oj! Rusałko, czarodziejko, powiedz żeś ty moja!

— Jak będę twoją, to ci powiem i raz i dwa, i mówić będę do naprzykrzenia.

— Albożeś teraz nie moją? Jam twój duszą i sercem, jam twój niewolnik — tyś moja pani!

— Jeszczem ja nie twoja pani, tyś nie mój pan. Jak się pobierzemy, to będziemy nad sobą panowali.

— Więc bierzmy się, Bóg nas widzi, a nasze serca będą nam świadkami. —

I chciał rączkę ucałować, a może i śmielej jeszcze, bo to Ukraniec, co nie pyta, czy to atłasy, czy to kitajki, czy aksamity nawet — byle piękne liczko a składna kibić, to kochać i kochać, aż na śmierć zakochać. Łódka się przechyliła i o mało co nie wpadli w wodę oboje — ale szczęściem że łódka oparła się o wierzbę i stanęła w miejscu. Kiedy oboje śmiali się z uniknionego przypadku i poprawiali się w siedzeniu, rączka Praxedy znalazła się w ręce Zwizdy, i nie wiedząc jak, przyciągnęli się do siebie — bynajmniej się nie ciągnąc. Może byłby i pocałunek, bo już usta do ust się zbliżały, kiedy w pobliżu zapiał kogut i kot zamiauczał, ale żałośnie. Zwizda zasiadł w łódkę i zadrżał; w niedali między drzewami światełka migały i przy światłach widać było cienie olbrzymie, jakby jakicheś gmachów. Zwizda porwał za wiosło i wracał między rybaków, na oświetlone przeźrocze. Ale był smutny, zadumany; chciał mówić, i słowa się w ustach rwały — chciał patrzeć, i oczy mimowolnie z dziewicy w bezdnię wody się spuszczały. Był nie swój, a kogut wciąż mu piał w uszy, a kot miauczał — i między światełkami widział straszną zmarę, z błyszczącym sztyletem w dłoni i z wzrokiem błyszczącym więcej jeszcze.

Połów był obfity — jesiotry, sudaki, sumy, karpie, sandacze, biługi — na setki, na tysiące ók, na korce — wszystkie

http://rcin.org.pl

dwadzieścia kierhanów należące do pana Skorupadzkiego, po obu brzegach Dunawca, były zapełnione rybą do jutrzejszej płataniny i soleniny.

Biesiada była suta, ryby, mięsa, kaszy i hałuszek, a dobrze okraszonych skwarkami ze słoniny; wina i wódki do sytu — hulano, śpiewano, a potem wszyscy się spać pokładli, spocząć do jutrzejszej roboty.

Zwizda przez cały czas był jak nie swój — czegoś mu brakowało. I biedna Praxeda, serce miłosne, zawsze litosne — szczerze żałowała, że mu pocałunku nie dała. Nieboraczka myśli sobie: To mu serce zmitrężyło, a byłby taki szczęśliwy — a cóż by to mnie kosztowało! — I ciągle odchodziła na stronę, a tak, żeby Zwizda to widział. I widział — ale ile razy za nią chciał podążyć, kogut zapiał, kot miauknął i sztylet błysnął przed oczyma — i na miejscu został; zmara nie puszczała.

Wszystko ucichło, a młodemu Zwizdzie sen uciekł z powiek — uciekł i zabrał ze sobą wesołą swobodę i nowe kochanie, a zostawił przypomnienie dawnych grzechów. Nie chce się Zwizdzie zostać z niemi na miejscu i czekać snu, który przychodzić jak nie chce, tak nie chce. Wstał i poszedł błądzić między rumowiska zaporoskiej Siczy.

Księżyc tylko co wypływał z za ziemi, a widać że z Ameryki, bo płynął prędko, gorączkowo, jak wszystko co dotknie tej młodej ziemi, tego młodego świata; niebiańskiego wędrowca rój ciekawych gwiazd oblata — wypytuje, co tam się dzieje na tym nowym świecie. I obłoki się rozjaśniły przybyciem srebrnego a miłego gościa. Zwizda już w Siczy, trącił nogą o kupę gruzów. Pomyślał: Może to chata mnicha-atamana, kijowskiego Moroza, A tu śmiech mu zachichotał w uszy, śmiech znany, niegdyś kochany, Kijowianki, kochanki. Przypadł na kolana i on nie modlący się i modlił się i żegnał krzyżem świętym, jakby starowierze przyjął — żeby odpędzić widmo kochane niegdyś, a straszne teraz.

Wstał i idzie dalej — trącił o drzewo szubienicy — spojrzał w górę. Nie masz na niej żyda arędarza, ale żydóweczka Chajka, taka, jaką wyciągnęli z Hnyłopiackiej topieli — cała w bieli, a na twarzy taka blada, taka przeźroczysta, że

http://rcin.org.pl

kiedy spojrzał w nią, przez nią księżyc widział, jak za mgły zasłoną, jak za muślinu oponą. Nie żegnał się krzyżem świętym, bo to nie chrześcianka, ale bił się w piersi: moja wina, moja wielka wina — i czoło w piasek tłoczył i znowu wstał na nogi i szedł dalej.

Nie wyhulknęły mu przed oczy hufce Zuporoża strojne i zbrojne — ale z burzanu wyskoczyła Żytomierzanka i kontradansa do niego, po nad burzany sunie — już, już dotyka, i ramię w koło wygina do walczyka! Dawna to Karolina, śnieżna i lubieżna — żywa, ognista, zwyczajnie szlachcianka, dobra krew, leci w objęcia kochanka. On w bok odskoczył — Jezus, Marja, Józef! Ona klasła w dłonie, jakby rzekła: A tuś mi, niewierny paniczu! On odwraca oblicze i umyka, a w tył się nie ogląda — strach nim goni. Wyleciał za Sicz, za wały i ku Dunawcowi pędzi — w pędzie na jakieś sznury się natknął i padł na ziemię — padł jak bez ducha, ale słyszy pianie koguta, miauczenie kota. Czuje że jakaś ręka rozpina mu kozaczkę, pod nos jakieś wonie przytyka, skronie ociera — zdaje się nawet, że żelazo sztyletu przeszło mu chłodem śmierci po czole, a dreszczem po całem ciele. Słyszy to, czuje, a ocucić się nie może.

Już i ranek, nadbrzeżne czaple po drzewach zakrzyczały: na nogi! — a dzikie kaczki i gęsi zahomoniły gęganiem i kwakaniem, tak, że całe spławnie homonią jak w żydowskiej bożnicy na szabas, przed sądnym dniem. I małe ptastwo zaświergotało: opar ze spoconej ziemi we śnie powlókł się na wody, na oczerety, a step zajaśniał. Niosą się na paszę runiaste barany, a za niemi psy i czobany — ryczą stada siwych wołów, a krowy biegną z cielętami w przegony; hasają tabuny koni, klacze po przodzie; za niemi rżą ogiery, a łoszęta to w szwadrony się szykują, to pojedyńczo na harc po stepie się rozsypują — a orły i sokoły temu ruchowi się przypatrują i jak strażnicy nadpowietrzni nad niemi polatują. Czasem i kruk, ptak sławiański, przeleci z Budżaku w Bałkany, przejrzeć sławiański kraj i zakrakać na swoje Sławiany,

Po kierhanach kozaczęta z zakoconemi rękawami aż za łokcie, z tasakami i z dołbeszkami w dłoniach ryby płatają,

http://rcin.org.pl

solą i dołbeszkami przybijają; inni w stosy jedne na drugie układają, na wiatr, na słońce — rybki już posolone, żeby zawiędły; inni ikrę wyprawiają i w nieckach przyrządzają na kawiar; bałyki drą w pasy i niżą na sznurki. Ciągła robota, a szybka, bo z rybami trzeba się uwijać, żeby nie było zgnilizny; pośpiech nakazany — po robocie będzie suto szumówką oblany. Szynkarz i szynkareczka zabiorą zarobek cały, dla dobra zakładu, żeby rybacy wolni od troski pilnowania groszy i noszenia się z niemi, do nowej pracy mieli więcej ochoty, byli leksi i zwinniejsi. Tak się to działo od najdawniejszych czasów w rybnych zawodach, tak się dzieje i tak dziać będzie — bo to taki zakon, dziecko zakonu Zaporoża; tylko co tamci robili z bożymi ludźmi, to ci robią z bożemi rybami. Ale zakon ten sam w zasadzie, człowiek wesoły, bo goły — jak przyszło. tak i poszło, a jak przyjdzie, tak i pójdzie. Ani się rozboju, ani śmierci nie obawia, bo i na tamtym świecie być gorzej nie może — a może będzie lepiej.

Wszyscy goście pana Skorupadzkiego już się zebrali i dobrze śniadali, jak gdyby nic a nic wczorajszego dnia nie jedli. Pana Zwizdy nie było, więc na niego hukano a hukano, ale dla tego śniadano. Kuropatwa mówi, że poszedł na polowanie, Worona, że poszukuje relikwie kozacze, a pan Żuk z panią Żukową przyśmiechują się do siebie, jak za dobrych dawnych czasów, jeszcze w Adamówce, i pomrugują na pannę Praxedę:

— Błądzi po stepie jak astronom albo wilk, paproci szuka. —

Pani Żukowa z ukosa pannie palcem grozi, a biednemu dziewczęciu serce ze smutku i ze strachu aż się mrozi.

Prosi pana Kuropatwy, żeby poleciał poszukać zbłądzonego. Kuropatwa, ptak nie waleczny, jastrzębi się boi, i wymawia się zupełną nieznajomością kraju.

Prosi pana Kucza, pana Gryszy — pierwszy obiecuje wysłać teptyszów na poszukiwanie, ale za powrotem do Tulczy; teraz powstać nie może, bo jeszcze w oplatance bełkocze odobeskie wino i to nie mało.

Grysza powiada, że ma przetrąconą nogę; przy winie za-

http://rcin.org.pl

pomniał, że to nie żona jemu, ale on żonie Niemce nogę przetrącił — a tak mu się to poplątało, bo od odebskiego żal i sromota wstawać było. Człowiek, który lubi początek, chce dotrzymać i do końca.

Nie ma rady, nikogo uprosić nie może. Jak człowiekowi trwoga, to do Boga — a jak dziecięciu, szczególniej dziewczęciu jaki frasunek, do ojca najpewniejszy ratunek. Więc jak w dym do ojca, przymiliła się, pięknie poprosiła, żeby szukać pana Zwizdy, bo będzie głodny — droga daleka, na czczo nie zdrowo, tak mówią doktorzy i pan Żuk, który jest z doktorstwem dobrze obeznany.

Pan Skorupadzki pod brodę pogładził dziewczynkę, huknął, stuknął na służbę: Dalej w tropy za panem Zwizdą, żeby go tu migiem przyprowadzić! — I służba ruszyła raźno, ochoczo, jak ogary ze sfór puszczone. Już w Siczy, w szuwarach i na stepie.

I pół godziny nie uszło, kiedy przyleciał jeden ze zwoszczyków zaziajany — ledwie mógł odetchnąć, parsknął by nachwytane powietrze wyrzucić.

— Już niosą, ot tam za budiakami.

— Jakto niosą, cóż się stało?

Panna Praxeda pobladła, a pani Żukowa ją pod ramię pochwyciła i przytuliła do siebie:

— Moja lubko, jeszcze nic złego nie ma — i obrócili się de zwoszczyka: — Mówże!

— No, co tam mówić! Znaleźliśmy go pod szatrami cygańskiemi, tak jak każdego z nas znachodzą, kiedy nad miarę człowiek u Abramka sobie pociągnie. I pan Zwizda człowiek, a takie rzeczy po ludziach chodzą.

Ofuknął Skorupadzki: — Co ty tam pleciesz!

— Ja mówię to, co jest. Zaraz go zobaczycie, ot już wychodzą z burzanu — a może go i cyganie oczarowali, bo oni to umieją. A jest tam między nimi jedna, co dalibóg grzechu warta, a mówią że to z Waszecia cygańska królewna. Wczoraj jeszcze gadali z naszymi, że idą do Serbji z Budziaku, żeby tam przystać de konnicy i zostać Serbami, danami, ot takimi, jak Osip Siemienowicz albo pan Nemołaka — a ta królewna, to młoda narzeczona jenerała

http://rcin.org.pl

serbskiej konnicy, pana Tanasza, wojewody czy beja. To nam wszystko mówiono, kiedyśmy poszli do cyganek w zalecanki i dano porządnego odkosza. Może i pan Zwizda dostał cygański odkosz — po nim może długo człowiek poleżeć, nim się koście rozprostują. —

Prawił zwoszczyk, ale nikt go nie słuchał, oprócz Kuropatwy, bo Kucz i Grysza, choć nie wstali, żeby pokazać że nie ciekawi, to winko dopijali. Zresztą wszyscy poszli na spotkanie niesionego Zwizdy, a panna Praxeda szła po przodzie, a tak szparko, że pani Żukowa nie mogła jej dopędzić; ścigała i wołała:

— Czekaj, nie spiesz się, czekaj na mnie! Co to ludzie powiedzą?

Ale Praxeda już była przy niesionym. On leży na noszach, nikogo nie poznaje, a bredzi jakieś koszałki, opałki. Panna Praxeda za rękę go chwyta — on nie wyrywa, ale wyraźnie nie poznaje, a plecie o jakimś sztylecie, o przysiędze. Oczy błyszczące, twarz pokraśniała, a ciągłe drganie. Zbliżył się pan Żuk, wziął za puls, liczył, zegarka dobył i liczył na minutę, wiele — przyłożył dłoń do czoła:

— Gorączka, gwałtowna gorączka! —

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

VI.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WRÓŻBA.

W sercu, które czuje i czuć umie, nic bardziej nie roznieca i nie usila zacnej miłości, jak choroba pokochanej osoby. Im większe cierpienie i niepokój, im większe niebezpieczeństwo, tem większe miłość przybiera rozmiary — i to się najsilniej odbija w sercu niewieściem. Matka najwięcej kocha to dziecię, które ją darzy nocami bezsennemi, i dniem i nocą, niepokojem, obawą o zdrowie i o życie swoje. Zawsze dziecko najsłabsze jest najukochańsze. To niemowię, którego duszy nie chce się zostać w wątłem ciele, ale chce się lecić do aniołów, matka chce zatrzymać na ziemi, pieści, pielęgnuje: zostań, zostań! — i kochaniem go trzyma przy sobie — i ta miłość coraz wzrasta, a wzrasta i nigdy nie maleje. Z jakąż to macierzyńską chlubą powtarza: Ja go zatrzymałam tu na tej ziemi, i dla czegoż go nie mam kochać, kiedy on dla mnie tylko tu został? — Toż samo siostra dla brata, póki nie dostanie męża; toż samo i jeszcze więcej kochanka dla pokochanego, bo u tej oprócz macierzyńskiej czułości niewiasty, jest żądza niewieściego serca choćby najlepszego: Jam go zachowała — on będzie moim, nie panem, ale rozkochanym, bo mi wszystko będzie winien, szczęście, zdrowie i życie. Ale macierzyńska miłość trwa lata i z życiem dopiero się kończy, jeśli się kończy wszystko, z wyjściem duszy z ciała — jeśli nie, to i po śmierci jeszcze kocha — a miłość kochanki jak się

http://rcin.org.pl

uprze, to przetrwa i wieki, a jak się zakaprysi, to nie przetrwa i chwilki. Dziwne to serce ludzkie, a szczególniej kobiece; ale też i dziwne położenie i przeznaczenie ludzi na tym bożym świecie. Czy są oni rzuceni na prawdę do wysługi jakiej, do zasługi na potem — czy za śmiercią jest nowe życie, cel jaki, czy też dla prostej zabawki i czyjej? Tajemnica i gęsta i głęboka to wszystko okrywa. Ani Kopernik, ani święty Augustyn przeniknąć, odgadnąć jej nie zdołali — ani Wolter szyderstwem prawdy nie wykrył — ani Trentowski zawikłaną mową, zawikłańszą jeszcze myślą, najzawikłańszej tajemnicy nie rozwikłał. I może w tem leży szczęście jakie takie — tak leży w nieodgadnięciu, jak na niewiedzy spoczywa nadzieja Polaka. I co Bóg związał, tego człowiek nie rozwiąże.

Młody Zwizda mocno chorował; doktorowie Tulczy, różnych narodów, jak mieszkańcy miasta, wyrzekli: Tyfus, i to tyfus azjatycki, podobny do Dżumy; tylko cywilizacją i postępem wieku w ciasne obręby wzięty, żeby nie mordował ludzkości, tak jak dawniej, i nie przechodził w morową zarazę. Jeden chce krwi upuścić, drugi rozwalniającemi solami działać, rozwalniać gorączkę; trzeci chiną wzmacniać, klin klinem wybijać, gorączkę gorączką, homeopatycznie. Między homeopatami i aleopatami nie ma zgody. Pan Żuk, choć aptekarz, przypuszczony do rady, żeby uniknąć medycznej zwady, radzi zostawić naturze i pannie Praxedzie — młody, zakochany, natura siły wydobędzie, nastąpi przesilenie, a potem wyzdrowienie — z łaski bożej i panny Praxedy starania. Na to też się zgodzono; nawet recepty nie pisano, co dowodziło i uczciwości pana Żuka, i dbania o dobry stosunek z Nemolaków domem. Tylko wszyscy trzej doktorowie, prawdziwe Eskulapy, czy Hypokraty, wychodząc, na jedno się zgodzili i to pannie ogłosili:

— Jak zechce pić, to mu dać pić — jak zechce spać, to niech śpi! —

Bogu chwała, chory naturze i pannie Praxedzie był oddanym. I panna Praxeda go pielęgnowała, jak siostra brata, ale nie siostra miłosierdzia, lecz prawdziwa — jak matka dziecię, nie jak żona męża, ale jak kochanka kochanego.

http://rcin.org.pl

I na niczem mu nie brakło — ale on nic nie żądał, w niemocy leżał, nikogo nie poznawał, nawet nie marzył. Dziewczyna go czule pilnowała, ale w sercu gorzko rozpaczała; modli się do Boga jedynego, bo w nim jedyna nadzieja. I ona nieboraczka marzeniem nadzieję pije i jedynie nadzieją tylko żyje. Tak czekała przesilenia choroby — cierpliwość niewiasty wielka, ale też i cierpienie nie małe.

Kiedy młody Zwizda w swojej ciężkiej chorobie przesilenia czekał, w Tulczy gotowało się na wielkie wypadki. Pan Sójka, jako dowódzca piechoty, najstarszej broni, a zatem pierwszy po panu Jeżu, w znaczeniu, w honorze i w starszeństwie, odebrał dwa zawiadomienia, rozkazy czy befele.

W pierwszem z Istambolu, sławiańskiego Carogrodu, komisarz nadzwyczajny Sokół czy Sokolnik, zawiadamia: Że można zbierać w hufce do wyprawy lud boży, który tylko zechce iść do walki pod chorągiew Niewidomego; że on posyła i posyłać będzie statkami wszelką hołotę, mającą do boju ochotę; że jest zapewnionym, iż Wysoka Porta będzie na wszystko patrzyła przez szpary, że takie rozkazy zostały wysłane do kajmakanów i do Mutasarifa, i że tak bezpiecznie będzie się można zbroić, musztrować i srożyć na Dobrudży, jak w Galicji; że on wyrobił tak wielkie rzeczy i wielce się sprawie zasłużył, że jego zachodom przypisać trzeba wyzwolenie Feniksa i jego odesłanie do zasiadania w wojennej radzie — a jeśli siedzieć nie może, to niech leży. Przysłał raport czy tajną komunikację do pana Srokszy czyli Sroki, pełnomocnika dyplomatycznego rządu niewidomego.

Druga ekspedycja była z Bukaresztu od pułkownika Jeża, że za pośrednictwem pana Sroki cała wyprawa ułożona z księciem Kuzą, jak ma być prowadzoną i do czego doprowadzoną — idzie tylko żeby znaleźć ludzi do wyprawy i wyprowadzić ją z Dobrudży; że jak to się stanie, wszystko jak po maśle pójdzie, bo pan Sroksza w tej negocjacji pokazał znajomość rzeczy tak szeroką, rozum tak głęboki, a dowcip tak wysoki, że Kuza z Rumunami gęby porozdziawali i bełkotali: A, a, a! — i więcej żaden nic wymówić

http://rcin.org.pl

nie mógł, a na wszystko się zgodzili. Wielka nadzieja na tym dyplomacie; przejdzie wydawców Pszonki, Żurachwinkę, Kalinkę, a nawet Zmartwychwstańców. Dodał o zdarzeniu, które się przydarzyło na posiedzeniu, a które może być wielkim prognostykiem dla sprawy i obudzić nowe zaufanie, nowe nadzieje w jej sługach. Pan Sroksza na naradzie, chcąc usiąść w fotelu jak inni, znalazł go za ciasnym; chciał się gwałtem wcisnąć i jak pocisnął, rozłamał go na dwoje. Jednogłośnie krzyknięto, że tak rozłamie na dwoje państwo Rosyjskie — dobra to wróżba i prawdziwa. A w przypisku dodał, że Feniks, ten prawdziwy ptak rajski sztabowców, przybył do Bukaresztu, ale był przyniesiony na noszach. Tatarska bestja tak się na nim pastwiła, że go na gniłe jabłko zbiła, bez litości, bez miłości. Dobrze że ten ludożerca opuścił Dobrudżę, bo jakby taka przygoda przytrafiła się panu Srokszy, to by było bigosu pełne worki — a tak chwała Bogu na jednym się skończyło. Sroksza i Feniks idą ręka w rękę — przy takiej parze i przy mnie, Jeżu trzecim, musi górą pójść krajowa sprawa i zobaczycie, jaka to będzie ta z Dobrudży wyprawa.

Dobroduszny Sójka, jak kot z sadłem, nosił się po mieście z tą nowiną, i jak prawdziwa Sójka potakiwał o wszystkiem, szczególnie o rozłamanem krześle. Kuropatwa nawet nabundiuczył się: będzie wojna na zabój! — każdemu mówił na ucho, kogo tylko zdybał.

Ale drugi wypadek naszły na miasto, równoważył pierwszy. Cygańskie szatry stanęły pod samem miastem, jak drugie miasto. Pojawienie się cyganów w Dobrudży i pod Tulczą nie było nadzwyczajnym wypadkiem. W tym różnorodnym i różnowierczym kraju nie masz miasta, nie masz wioski, nie masz karczmy, czy to Wygnanki, czy to Zadrypanki, pod którą nie napotkać kilka albo kilkanaście szater cygańskich; kowalstwo i doktorstwo, znachorstwo i aktorstwo, są ich rzemiosłami. Upośledzeni i odrzuceni przez prawo, bo ani ich świadectwo przed sądem nie jest przyjętem, ani nawet Mahometanom nie wolno wstąpić do służby wojskowej; nawet pułkowi z ochotników Chrześcian głównym zakazem przepisano, żeby cyganów nie przyjmować. Ale

http://rcin.org.pl

oni odrzuceni, narzucają się temu towarzystwu. Nie masz biesiady u żadnego Paszy, Beja, Efendego piśmiennego, Agi nie umiejącego pisać, u żadnego Czorbadżego Armianina czy Sławianina, żeby nie było na niej muzyki cygańskiej. albo baletu cygańskiego. Ktokolwiek zachoruje, zaraz posyła po cygana, albo po cygankę — nawet po Niemcu, po Polaku doktorze, trzeba na poprawkę cygana lub cyganki. Leczą ludzi, leczą zwierzęta. Ludność za jednego cygana nie wzięłaby sześciu Kumbarhańców, choćby jakich Hekimów, a dwunastu Bajtarów, to jeszcze za mało, choćby wyszli z Maczki albo z Harbije — a o znachorstwie, to ani mówcie. Główny astrolog nie ma tyle nauki w swojej głowie, co każdy cygan w małym palcu od lewej nogi. Rozum przeniósł się pod szatry i koczuje po kraju; mści się za niesprawiedliwość prawa — więc Dobrudża i cała Turcja zna się z cyganami, są oni w niej tubylcami koczującymi.

Ale tu przybyli cyganie gdzieś z dalekich krajów, z za Dniestru, za Bohu; trzysta rodzin razem i ćma bydła rogatego i nierogatego, chartów i sokołów, dzieci na pół gołych, psów kudłatych, koty i koguty. Panowie szlachta koczująca — łowy, tany, śpiewy i gawędy, a pracy ani dojrzeć; manną z nieba i przepiórkami z ziemi żyją, a jednak żyją wesoło i szczęśliwie, bo swobodnie. Jednak z tego niekontenci, ciągną do niewoli, pod prawa, do jarzma społeczeństwa — ciągną do Serbji. Na całym świecie, sławiańska Serbja jedna cyganów przyjęła do swojego prawa, do swojego obywatelstwa. Rzucają złotą wolność i idą pod żelazną niewolę, żeby mieć to nieszczęśliwe obywatelstwo. Piętnaście tysięcy cygańskich rodzin już się osiedliło w Serbji i są obywatelami serbskimi. Przy wojsku serbskiem stają w piętnaście tysięcy konnicy; po huzarsku się noszą, ale nie jak huzary poniemczone, lecz jak huzary dawne Madziary Huniada, Tekielego — a wszyscy w amarancie ze złotem, jak szlachta amarantowa — i wszyscy na tych dżametach bośniackich z Kulen Bega Wakufu, z których pochodził i Szarak królewicza Marka i Zieleniec Skander Bega — i wszystkie te bieguny skakuny, na których lekka jazda Akindych pod Beglerbejami plądrowała szwabskie kraje.[1]) Oni jedni ten

http://rcin.org.pl

ród koni sławiańskich przechowali i na nich harcując, Sławianami się stali — a kiedy jenerał Tanasz Bej na swoim wrońcu, strojnym w szkarłaty, złoto i diamenty, i sam jak kometa jasny od złotych szamerunków i brylantowych guzów i szpinek, stanie przed tymi szwadronami, zdaje się, że Akindżowie Issa Beja, Ali Beja i Kara Mustafy z grobu powstali i wskoczyli na zmartwychwstałe akindżowskie konie — drżą Madziary, Niemcom w piętach od strachu strzyka — i Bóg wie, gdzie te szwadrony nowych Akindżych serbskie orły zaniosą i jak daleko pozabijają słupy graniczne odnowionemu cesarstwu Duszana i Stefana, tych Nemanów! Bóg to wie, jak się oni rozprawią ze Szwabami i zakończą tę wschodnią sprawę! Ciągną cyganie do tej przedniej straży sławiańskiej, bo i oni chcą zakosztować wojennej sławy.

Między nimi jest królewna Zaira, najpiękniejsza między najpiękniejszemi. Ojciec i matka zostali w Białowiejskiej puszczy z żubrami — tam stolica królów cygańskich całego świata — tam groby tych królów na mateczniku żubrów. I jednych i drugich już nie masz w świecie, tylko w Białowiejskiej puszczy. Za ukazem tylko carskim można ubić żubra i króla cyganów. Tak tedy żyją sobie i królują jak u Pana Boga za plecami, a jak pomrą swoją śmiercią, to ich koście zmyją deszcze, a wiatr je suszy i bieli. Tam tedy zostali, a córkę jedynaczkę do Tanasz Beja na małżonkę wysłali, a na orszak dziewicy dali trzysta rodzin i z nich trzysta konnicy. Którędy tylko przechodzili, wszyscy się patrzali, jak oni jechali. Zaira na śnieżnej klaczy, na aksamitnym, amarantowym pałanie[2]) złotem wyhaftowanym, jechała po przodzie; obok niej kilkunastu konnych dziwnie strojnych i w dziwne barwy; u nich na berłach lotne sokoły, a przy nich rącze charty, przy końskich ogonach. Dalej szła karawana, kto pieszo, kto konno — kto na ośle, kto na krowie, szatry na jukach — trzody krów, baranów, koni nawet, a wszystko pod strażą psów kudłatych.

Tak przyjechała królewna ze swoją karawaną pod Tulczę. Wszyscy mieszkańcy wyszli na spotkanie, jak na spotkanie rzytulnego Paszy, albo pułków Padyszacha.

http://rcin.org.pl

Ale dziwna była to królewna! Cała w brylantach i w szkarłatach, w atłasach i tyftykach. Jak tylko zobaczyła tłumy ludu, zeskoczyła ze swojej klaczy, porwała za bębenek w rękę prawą, na lewą nałożyła grzechotki i poczęła w taniec, w skokach na prawo, w skokach na lewo; gięła się, wyginała na wszystkie strony, jak wąż się wiła — to kotkę udawała, to niby lwica broni lwiątek, to jak gazella ucieka spłoszona, to do ludzi bieży i mili się, jakby im chciała serce z łona powyciągać magnesem oczów, te żelazne serca rycerskiego rodu. I cyganki młode przybiegły do niej w skokach, w pląsach i otoczyły ją wiankiem — dzieci takoż. Zaczęła się muzyka i śpiewy, ale takie niesforne, jak wycie wilków, jak kraczenie kawek. Ale lud tulczański górnej fantazji, polubił tąką burzę szału i był cały w podziwie. O niczem nie mówiono, tylko o pięknej królewnie, a o Jeżu, o Srokszy ani słowa. Sam dobroduszny Sójka gapił się i o wyprawie zapomniał — a Kuropatwie tak się to cygańskie hulanie podobało, że wolał je stokroć razy więcej od zapowiedzianej wyprawy, i gdyby nie ta dziwolężna myśl pisania się do serbskiej konnicy, gotów by zostać cyganem i iść z cyganami.

I do uszów Praxedy doszły wieści o cyganach tych nowych i o królewnie cygańskiej. Pan Zwizda już był w siedmnastym dniu po przesileniu się choroby; miał się lepiej — poznawał, za rączkę łapał i ściskał. Chciałoby się czegoś więcej, pocałunku kochanki — kto wie, czy go dostał, czy nie dostał — świadków nie było. Najczęściej byli oboje, a żadne się ani pochwaliło, ani z niczem się wymówiło. Nawet odbiegły z myśli i we śnie i na jawie owe nieszczęsne zmary; po chorobie odradzał się na nowe życie — zapomnieniem tego co było, a pamięcią tego, co widział, co było przy nim. I kochał, a zdało mu się, że tak kochał, jak jeszcze nigdy nie było, po swojemu — co z pamięci, to i z serca, a co przed oczyma, to i w sercu. A dziewczyna kochała, jak dziewczyna kochać umie — całem sercem, całą duszą. Kochanek był dla niej światem, niebem, Bogiem nawet, a przynajmniej zaraz po Bogu. Stary Skorupadzki tem się cieszy; myśli sobie: Wiem że młodość szumi, jak

http://rcin.org.pl

szampańskie, jak temlańskie [3]) wino — ale się kochają teraz, będzie szczęśliwe małżeństwo. Z miesiąc miodowy, a potem dzieci — przywyczka, gospodarstwo, doprowadzą błogo do końca żywot.

Wszystko się dobrze wiązało pod szczęśliwą gwiazdą życia; zdaje się, że w tym łańcuchu miłości i przyszłości wszystkie ogniwa szczęściem były polutowane.

Pan Żuk przy herbatce powtarzał:

— Trzeba by to koniec położyć tym wszystkim ceregielom; lata płyną, a jakby to ślicznie było mieć w późnej zgrzybiałości wnuczkę szczebiotuszkę, którąby przyszła popieścić, pożałować chyrlawego dziadka!

— Masz Waćpan prawdę' Niech tylko wyzdrowieje, zaraz ich pożenimy, bo mi pilno wnuczkę zobaczyć, zastąpi matkę. —

Worona zażył tabaki.

— Czy czekać nie będziemy na zupełne wyjaśnienie się wypadków? Czy nie odłożyć małżeństwa aż do odzyskania kraju?

— Mój Panie, kraj czy się odzyska, to w woli bożej. A coś na to się nie zanosi! Rządzimy się jak szare gęsi; trudno żeby z tego nieładu można co postawić. Zburzyć, to co innego, a odkładać — to Waćpan wiesz, że tylko pirogi z sercem odkładane i odgrzewane dobre, nie małżeństwo. Niech się biorą, niech ich Bóg błogosławi! —

Osip Siemienowicz potakiwał:

— Niech się biorą póki młodzi. I ja młody się ożeniłem; wprawdzie baba stara, ale synowie już chłopami; nie zostaną żebrakami na cudzej łasce, mają dość swojego. Nauczyłem ich zarabiać, żeby umieli grosz szanować. —

Kuropatwa nic nie mówił, ale myślał sobie: Jak się tylko Zwizda ożeni, to ja pójdę za jego przykładem; ożenię się choćby z Gryszy siostrą, żeby się już nie włóczyć po świecie i nie biegać za wojaczką, jakby to było co dobrego.

Jednego dnia, kiedy młody Zwizda już mógł się przechadzać po komnacie i mógł zostać sam, panna Praxeda, zaproszona do żony Dymitrakiego Beja, uprosiła pana Kuropatwę, by został przy chorym, a sama z ojcem i panią

http://rcin.org.pl

Żukową udały się na zaprosiny. Był natłok gości rozmaitych narodowości, tak jak się to zawsze działo w Tulczy, w tej stolicy zbiegowiska ludów. Królewna cyganów tańcowała, a potem śpiewała jakąś baladę o niewiernym kochanku, jak mu kochanka oczy powypalała, żeby swojej zdrady nie mógł widzieć oczyma; jak mu uszy poprzewiercała rozpalonym ćwiekiem, żeby nie mógł słyszeć głosu tej, dla której zdradził dawną miłość i wiarę — a potem mu serce wydarła, spiekła i zjadła razem ze współukochaną, dla której była zdradzoną — i obydwie poumierały i obydwie były pochowane razem z niewiernym. To balada cygańska, bo takie kochanie i taka zemsta u cyganów.

A potem wróżyła, kto przyszedł z kolei. Praxeda nie chciała, może się bała; ale ją pani Żukowa zmusiła, że podała swoją dłoń. Cyganka drgnęła, jakby ją co ubodło, oczy jej się zaiskrzyły, dziko, gniewnie — ale wnet spuściła je ku ziemi i posmutniała; nawet porwała była dłonią za rękojeść sztyletu, który był u pasa, ale wnet rękę opuściła, zadumała się i po niejakim czasie, jakby z ocknienia, przemówiła:

— Żal mi ciebie, żal, choć moje serce odpycha ciebie od siebie! Nienawidzę ciebie, ale żal mi ciebie, żal! Tak zostaniesz, jak ja zostałam — płacz, narzekanie! Nie będziesz ze swojem kochaniem, tak jak ja z niem nie byłam i nie będę. Po czasie cię oddadzą, jak mnie oddają; czarno przed tobą, jak czarno przedemną. Ja mam sztylet i nim potrafię rozciąć i życie swoich i życie drugich. Ale ty, nieszczęśliwa! co masz łzy i łzy, i nic więcej, żałuję ciebie! Nieszczęście, zbrodnie, wszystko, wszystko będzie! Idź sobie, bo mi nie dobrze! —

Prawie odepchnęła Praxedę, a sama padła na sofę, zacisnęła zęby — chwilę i długą chwilę tak przetrwała, potem wstała, wzięła swój bębenek, swoje grzechotki i wyszła z komnaty bez pożegnania.

Biedna Praxeda sama nie wie, co się z nią stało. Czy to był sen, czy marzenie jakie, bo nie wierzy, żeby to było na jawie. Pani Żukowa tuli do siebie biedaczkę, jak umie, tak pociesza.

http://rcin.org.pl

— Nie wierz temu, moja lubko! Ktoś namówił cygankę; sama nie wie, co plecie. Ale najpewniej ktoś namówił — Kucz, Grysza, Kuropatwa, a może i mój Żuk, bo to on na figle zawsze gotów. Nie uważaj na to, że stary, ale jeszcze jary; choć opasły i chrapie i sapie, ale paliwoda do każdej psoty! Jakbym ci o nim zaczęła opowiadać kroniki figlów i figielków, tobyś musiała słuchać i rok cały i więcej! O, mój kochany Żuczek — jak pan Fon Malinowski mówi — ein fligelman — i swojej Zosieńki nie pożałuje; ile razy się zdarzy gratka, to nie przepuści. Żebym ci opowiadała, co to on za figle wyprawiał z moim nieboszczykiem, z Jasieńkim — niech mu ziemia lekką będzie! — to byś się rozśmiała do rozpuku. Ja ci to opowiem w domu, jak same będziemy. Ja nie wiem, zkąd się to bierze w tej głowie, bo to człowiek pracowity, oględny, w służbie jak dobry zegarek akuratny — a zawsze jakiegoś figielka wypłata; jak puszcza bańki mydlane, to jeszcze drugiego nie ma. Sam pan Worona tego zdania, choć i u tego starca djabeł w piecu pali — i Osip Siemienowicz; i na tym mam już nie jedną kondemnatę, a taki świętoszek! Oj! to trójka łysych, którzy się znają między sobą! Oj! kto wie, czy się nie zmówili między sobą, żeby ciebie naturbować, a potem się śmiać! — Bo to mężczyzni tacy wszyscy — jeden od drugiego nie lepszy! —

Pani Żukowa jak kołowrotek prawiła, ale z dobrego serca, bo była i dobra i poczciwa, jak wszystkie kobiety, które za młodu nie skąpią bożego daru, miłosierdzia dla bliźnich; na starość mają o czem i myśleć i mówić, więc nie zrzędzą, ani nudzą.

Biedna Praxeda wszystkiego słuchała, czy nie słuchała, ale rada była że Żukowa prawi; nawet się uśmiechała, żeby pokazać przed ludźmi, że nie zraniona. W naturze kobiecej jest to, że przed ludźmi choćby jaką zgryzotę, choćby jaką tęsknotę, rada pokryć uśmiechem — choć cierpi, rozpacza nawet, uśmiecha się, by pokazać że nie dotknięta.

W całem towarzystwie ogólnie powtarzano:

— To rzecz namówiona! —

A stary Skorupadzki wąs pokręcał:

http://rcin.org.pl

— Ale widzicie że dziewczyna tęga, prawdziwa kozaczka! Ani mru, mru! — nie spłoszyła się! —

Tylko żałowano, że królewna tak prędko zniknęła, bo Turkasze i Czorbadżyje, choć to lud wyklęty i prawem i Bogiem, lubili patrzeć się na to liczko, i na te oczy, i na tę kibić polotną i zwrotną. Osip Siemienowicz żegnał się trzykroć razy krzyżem świętym:

— I w Paryżu i w Londynie nie widziałem takiej dziewczyny, a wszędzie się włóczyłem i mam dobre oczy. Djablica, ale z taką djabliczką można by się pobawić. Pewny jestem, że pan Skorupadzki, żeby koniec położyć tym wszystkim wróżbom, wkrótce nam wyprawi wesele. Pan młody, jak pan Żuk powiada, za kilka dni będzie gotów, a panna zawsze gotowa; ale zamawiamy sobie, żeby uprosił królewnę na wesele — niech się zarumieni swojej wróżby, a nas starych i młodych porumieni swojemi oczkami i swojemi pląsami. Najlepiej ją tak ukarzemy. —

Wszyscy chórem powtarzali:

— Zamawiamy i prosimy!

— Kiedy tak chcecie, niech i tak będzie. Proszę moich przyjaciół, pana Woronę i pana Żuka, żeby całą rzecz ułożyli, na przyszły tydzień będzie wesele; a ciebie, Osip Siemienowiczu, proszę byś zaprosił królewnę; jesteś człowiek stateczny, ojciec synów z brodami i dziad wnuków, którzy w koszulkach podpereżonych chodzić przestali, a już jak kozaczęta łażą; krzyżem świętym odgonisz czary, a z czarodziejką bez czarów dasz sobie rady. —

Osip Siemienowicz uśmiechał się.

— Pójdę, nie nastraszę się. Tak jak z wami teraz gadam, gadałem z cesarzową Francuzów, z Eugenią, i to czarodziejka — i z królową angielską. O, co ta, to mi dała trochę strachu, bo to, jak wiadomo, wielka pani; ale nie powabna, nie ciągnie człowieka do siebie, jak cesarzowa — ale i to królowa. Nie zadrżałem ani przed jedną, ani przed drugą; dla czegoż bym miał się bać cyganki, choć królewny? Pójdę i przyprowadzę! —

I Mutasarif i Kady nawet poklepali Osipa Siemienowicza po plecach.

http://rcin.org.pl

— Pójdź, pójdź i przyprowadź! Zabawna dzieweczka!

— Że zabawna, to zabawna; ale jacy wy jaśnie wielmożni! Żadnego z was królem nie zrobi i na króla nie zechce; dawniej nie mówię, ale teraz tanzymat, bez kija do niej ani przystępu.

— A ze złotem? — pogładził sobie brodę Dymitraki Bej.

— Widziałeś, co ma na sobie złota i drogich kamieni; kupiła by za to wszystkie twoje czyfliki i magazyny. Zresztą te cyganki to dziwne istoty! Pójdzie za hołyszem choćby na kraj świata, jak jej w serce się przykroi — a bogaczowi figę pokaże, jak się jej do gustu nie przymarzy. —

Mutasarif i wszyscy dygnitarze tulczańscy, Muzułmanie i Chrześcianie, oświadczyli panu Skorupadzkiemu, że będą na weselu. On dziękował nisko, uprzejmie, ale myślał sobie: Nie tak by to było, gdybym ja był na ojcowskiej Ukrainie! Na swojem śmietnisku lada kundys to hardy, a tu i hart mopsa udawać musi; bogdaj to nigdy nie być wędrowcem z musu na czużynie!

I panna Praxeda dziękowała dygami, jakich się nauczyła w Krasnych Jasach i Bukareszcie. Dawniej to tam panowie mołodce na Multanach i na Wołoszy rej wodzili, pałamarowali jak u siebie, bo przychodzili zbrojno i konno od siebie i do siebie wracali. A teraz kozaczki, i to hetmańskiego rodu, od Mołdawanek, od Wołoszek uczą się jak żyć z ludźmi i między ludźmi, a to wszystko za karę wędrówek, bo i Bóg i rozum nakazują, by swojej ziemi za lada czem nie opuszczać — lepiej ginąć i umierać u siebie, jak żyć na czużynie.

Jak tylko przyszła do domu Praxeda, natychmiast pobiegła do chorego. Zastała go grającego w kończynę z Kuropatwą; zdrowie mu wracało, więc wróżba była wymyśloną. Poszła do siebie, uklękła i modliła się Bogu na podziękowanie, o odwrócenie złego, jeśliby jakie wisiało nad nim — modliła się o uproszenie prędkiego wesela i końca niepokojom, obawie i tęsknocie. Jak będzie moim, a ja będę jego, to wszystko będzie skończonem. — Nieboraczka myślała, że mój, twoja, to kabalistyczne zaklęcie szczęścia, by im wierne było — to odegnanie nieszczęścia na wieki wieków. I tak

http://rcin.org.pl

się z każdym dzieje i w każdej rzeczy, dla tego, który gorąco pragnie, aby co się stało; a jak się stanie, to wszystko będzie dobrze i szczęście przykuje się na wieki.

Kiedy tak Praxeda widokiem uzdrawiającego kochanka i gorącemi modłami odganiała od siebie troskę i obawę — Zaira wróciwszy pod szatry, rzuciła się na bogate dywany i dała znak żeby wszyscy wyszli i ją samą zostawili.

Sama puściła wodze swemu żalowi, a raczej swojej rozpaczy.

— On tu, niewierny! Wszystko wiem — on moim być nie może, bo taka wola Boga; ja muszę być żoną tego, komu mnie mój ród przeznaczył. Och! ja nie przyniosę szwanku naszej koronie, choćbym miała cierpieć, jak cierpię. On moim mężem być nie może — ale i jej nie będzie; będzie moim niewolnikiem. — Zamyśliła się i długo była uśpiona w tem milczeniu; ocknęła się. — Ale czy mój nowy pan na to pozwoli, bo on zostanie moim panem, ja jego niewolnicą. Takie nasze prawo; a co raz powiedziano z góry, to u nas istnieć musi wiecznie. My, jak inne narody, nie zmieniamy naszej barwy — zawsze ciż sami. Raz żoną, przestaję być panią i królewną; inaczej być nie może. Ale ona nie będzie jego żoną; ona ładna i zdaje się dobra — gdyby to była brzydota i jędza złości, z chęcią bym go jej oddała. Z djablicą niech by żył w parze, ale z aniołem nigdy, nie, nigdy! Moja zemsta miałażby być chrześciańska? O nie, ona będzie cygańska, długa, powolna, ale będzie karą niewiernego! —

Klasnęła w dłonie. Weszli dwaj starcowie, jej namiestnicy, skłonili się aż do ziemi i stali jak wryci.

— Jutro, ani pojutrze, ani popojutrze ztąd nie ruszymy; powiem, kiedy. —

Skłonili się i wyszli.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

VII.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PRZYBORY.

Kiedy w Tulczy pan Skorupadzki przygotować kazał, co potrzeba, aby wszystko się odbyło według starego, ukraińskiego obyczaju — bo pan Skorupadzki, szlachcic nie dzisiejszy i herbowy, liczący niejednego przodka w starszyźnie kozaczej, i na Nizie, i w Koszu i między Rejestrowcami — byli i asawułami, i pułkowodzcami i pisarzami, a dziad ozdobił rodzinne imię hetmańską buławą — chciał tedy, aby i na Czużynie tak się odbywało, jak na bożej Ukrainie. Kiedy on sam i przyjaciele i domowi oraz służba brali się do roboty, nie na żarty, ale na prawdę — wtenczas w Bukareszcie odbywały się inne przygotowania.

W hotelu francuskim, w świetnej komnacie, ozdobnej w zwierciadła i w palisandry, w kobierce i w meble artystyczne od aksamitów i bronzów — z przed biórka, na którem było mnóstwo papierów, z fotelu, w którym by siedziało wygodnie ludzi dwoje, usiłował wyleźć mężczyzna jeszcze młody, ledwie mający trzydziestkę, o czuprynie jasno-płowej, o oczach barwy niebieskiego farfuru, ale takiej preponderencji, że gdyby był Adamem, pierworodnem stworzeniem Boga jedynego, mógłby Bóg z jego uda stworzyć z tuzin, a przynajmniej z pół tuzina Ewulek, bez uszkodzenia tej bogatej korpulencji tego Adama — i byłby od razu harem. Ale widać, że Bóg nie był ani za Muzułmanizmem, ani za Mormonizmem, kiedy stworzył Adama tak chudego, jak prawdziwy szlachcic Lach jednokiszki, że nie mógł dać

http://rcin.org.pl

tylko na jedną Ewulkę. I tej było dość, bo gdyby było więcej, to by wszystkich djabłów z wężami i jabłuszkami i z rogami sprowadziły do raju, i kto wie co by się stało z rajem, z aniołami pańskiemi, a nawet z samym Panem Bogiem, Stwórcą świata i wszech rzeczy. Otóż ten nie Adam, ani pierwszy człowiek, przy wielkiem usiłowaniu, z krakaniem poręczy i z potrzaskami, wylazł nareszcie i stanął na nogi na kobiercu. Popatrzył się w zwierciadła, przyśmiechał się i pomalutku zacierał rękę o rękę, przybierał pozycję, która z porządku była szóstą, bo dotąd tylko pięć używano w nauce do tańca.

— Tak mi do twarzy, taką powinien mieć postawę prawdziwy dyplomata! A dalibóg, ja nim jestem, ja Sroka od farfurowego oka! To dobrze dla Niewidomego — ale dla świata dyplomatycznego trzeba żebym był baronem, ale nie Sroką, bo to strasznie ornitologicznie, ale nie dyplomatycznie. Niech będzie baron Sroksza, a jak trzeba, to się zrobi mała zmiana, żeby zatrzeć ornitologję, o której nie wspomina w dyplomacji ani Machiawel, ani Martens, a nawet mistrz Lojola. Litera docet, litera nocet, nic nie znaczy. Nie wyjdę ze świata metamorfozy Niewidomego, a wejdę, jak się przynależy, w otwarte podwoje dyplomatycznego świata — i już wszedłem. Zamotałem po swojemu, będą mądrzy, jak rozmotają. Bóg na to dał język, żeby gadać, a rozum, żeby nigdy prawdy nie powiedzieć. Szlachta to zowie obelgiwać, u nas dyplomatów to się zwie finesować. —

Bardzo był zadowolniony z siebie; to się przeszedł parę razy po komnacie na paluszkach, o tyle, o ile mu ciężkość dośrodkowa pozwalała udawać trochę. Wziął jakiś papier z biurka i czytał:

— Pliszka przywiózł tę ekspedycję. Dziwna rada! Wsadzić na koń trzystu Polaków zmięszanych z Kozakami, których dostarczyć mogę snadnie — Kucz z Gryszą — przeprawić Dunaj, do Nekrasówki, ztamtąd do granicy piędziesiąt kilka wiorst, nocą przejść Kubej i wtargnąć do Konstantynówki, może się uda pociągnąć dawnych kozaków Dunajskich, a uda się, czy nie uda, iść dalej i wołać Besarabów i Ukraińców do broni — za swobodę i dawną hetmańszczyznę! —

http://rcin.org.pl

Zaczął się przyśmiechać do zwierciadła i pocierać ręce:

— To zakrawa na Doroszenkę, na Bohdanka — wpadniem z ogniem, z mieczem, wszystko wytniem, wysieczem! Szkoda że nie dodał: na łój, na masło! O, biedny ten Sokolik! Nie ma sokolego oka, kiedy tak się dał w pole wyprowadzić; wart być cielęciem, albo baranem! Bić się na kiełbasy — a w cóżby poszła dyplomacja i wydatki na operacje sprawy? To mi głowa, jak Towiańskiego krowa, ale nie jak Minerwy sowa.

Otworzył drzwi i wszedł do drugiej komnaty. Tam na miękkiej sofie leżał boczkiem młody człowiek jasnowłosy takoż; zdrzymał się, ale ocucił się za przyjściem barona.

— Świeczniku naszej dyplomacji, co za okropny miałem sen! Tatar, ta okropna poczwara, trzyma mnie jak na jawie i nie puszcza, a ta jego dzika tłuszcza już się do mnie zabierała, żeby odnowić warneńskie biczowanie. Jeszczem się tamtego nie wydychał — to byłoby zanadto!

— Nie bój się, mój margrabio! Sroka Feniksa obronić potrafi, choćby tam jakie tatarskie naleciały na nas szulaki.

— Mój baronie, z nimi nie ma co żartować; to ludożercy bez serca i bez duszy! — Popatrzył z ukosa na korpulencję dyplomaty. — Żeby oni barona zacapili, to by jak w poduszkę palili a palili.

— Kto oni? Śmiej się z tego, ale dajmy pokój temu; co się upiekło, to się nie odpiecze — kartoflami chyba odśwież. Ale ot czytaj — co na to mówisz? —

Margrabia sylabizował, bo czytać gładko nie umiał; w szkole fechtunku go tego nie uczono. On był, jak pewien Polak, hrabia, ale prawdziwy. Zarekomendowany wielkiej damie angielskiej, jako arystokrata, bez pieniędzy i miejsca, odebrał od niej propozycję, zajęcia się ułożeniem jej bibljoteki. Hrabia był pierwszy fechmistrz wielkiego księcia cesarzewicza Pawłowicza. Ukłonił się grzecznie i odpowiedział: Jeśli idzie o sztychowanie bagnetem, to nikt mi nie wyrówna!

Feniks przesylabizował:

— Ten Sokolik to już nam drugi taki plan przesyła. Żółw, dobroduszny, zwierzył się Sokolikowi, jako dawnemu przyjacielowi i towarzyszowi broni, o wielkiej wyprawie na

http://rcin.org.pl

Wołyń — a Sokolik mu odpisuje, że mu wyraźnie powiedziano, iż ta wyprawa nie doprowadzi, tylko do śmiechu i ciężkiej klęski; że Niemcy pozwalają się szwendać, zbierać, a o wszystkiem zawiadamiają Rosjanów. I ta wyprawa, jak wszystkie inne, wpadnie od razu w matnie Rosjanom. Wyprawa klapnie, bo inaczej być nie może, a z was będą się śmiać, jak z dudków. Radzono mu, aby pisał do Żółwia, że jeśli mają pieniądze, żeby zorganizowali trzy tysiące konnych, przybrali ich w mundury i to świetne; a nie w siermięgi; żeby byli w oczach ludu żołnierzami, a nie chłopami jak oni; żeby ich dobrze uzbroili, podzielili na oddziały, po dwadzieścia pięć koni każdy, z dobrym oficerem i z trębaczem; żeby się zbliżyli do granicy, rozstawiając oddział jeden od drugiego na milę albo dwie mile — i jednego dnia, jednej godziny wszyscy przekroczyli granicę i szli każdy drogami, jakie mu rozum jego komendanta wskaże, do wskazanego punktu, jak poleskie puszcze, pińskie bagna lub innego; zabierali, co tylko z nimi zechce pójść i szli wojując. Tym sposobem mogliby rozniecić ducha w kraju, a oszołomić nieprzyjaciela. Połowa, dwie części oddziałów mogłyby wyginąć; ale ta, coby pozostała i doszła do punktu, jeszczeby więcej zrobiła, jeśli lud nie zamartwiał, albo nie poszedł w inną stronę, jak wyprawy zbierane i na pierwszym poskoku rozbijane i łapane. I na to powiedziano, to kozacze wyskoki; my tą drogą nie chcemy, a naszą wytrwałością wszystko przeprzemy.

— O tem coś słyszałem, choć dobrze nie wiedziałem; ale teraz jestem na tropie — z jednego źródła wszystko to płynie. Ogniem, mieczem, wytniem, wysieczem, na łój, na masło — a co z tego, to nic nie będzie. Oj! gdyby dano temu szaleńcowi miecz w ręce, to on by nas na dobre, na jakąś rzeź, na jakąś koliszczyznę zaprowadził. —

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł brodaty Jeż i powitał bardzo grzecznie. Baron uścisnął go za rękę.

— Proszę siadać, panie pułkowniku! I jakże dzień nam się zaczął?

— Widziałem księcia, wszystko zostało ułożonem. Jest on nieborak między młotem a kowadłem; z jednej strony

http://rcin.org.pl

konsulowie, choć nie wszyscy, napierają, żeby miał baczność, na nic nie pozwalał — z drugiej strony demokracja, nasze frankmasoństwo, nakazuje żeby nam sprzyjał. Kiedym widział, że się wacha, czego mu za złe brać nie można, bo to idzie o jego skórę, na ucho mu szepnąłem, że jeśli my nie przybędziemy pierwsi do Michalen, to major Nieczuja wkroczy na nasze spotkanie. Zaraz pochwycił: Więc przechodźcie i idźcie co prędzej — tylko sobie zastrzegł, żeby nie było zabójstw, choćby dla formy nawet; żeby strzelać pustemi ładunkami.

— Winszuję Panu! Jesteśmy teraz panami i sytuacji i wypadków. Marsz ceremonjalny wzdłuż Multan, przy odgłosie dzwonów, wywrze wrażenie nie tylko na kraj nasz, ale na Europę całą — co mówię, i na Amerykę i na Australję, gdzie panuje i cywilizacja i nasi emigranci. To wielki uśpiech dla sprawy.

— Ale czy w Michalenach spotkam się z obiecanemi dziesięciu tysiącami — zająknął się — robotników?

Uśmiechnął się baron:

— Czemu nie powiedzieć po prostu: katorżników? To najlepszy żołnierz! Zastaniesz pan ich może i więcej; posłałem znaczne fundusze w gotówce, i dla tego jestem trochę wyszeptany.

— Ale nie tak, żebyś pan baron nie mógł mi dziś wypłacić na wyprawę, bo chciałbym jeszcze tej nocy z Pliszką odjechać, nie tracąc czasu.

— Nie jestem bez grosza; dam trochę w gotówce, trochę w papierach, a resztę zbiorę i dam w drodze. Proszę pana, oto dwieście czerwonych złotych węgierską monetą — oto piętnaście tysięcy rubli srebrnych biletami — a po resztę poszlesz pan do Jass do komisarza Dropia; wyliczy pieniędzy jaką zechcesz monetą. —

Jeż obracał bilety.

— Ależ to bilety bankowe! Cóż ja z niemi zrobię, i jeszcze podskrobywane i podmalowane?

— Panie pułkowniku, to pieniądz narodowy. Naszą powinnością żeby kursował i dobrze kursował. Martens mówi, nie pamiętam, na której kartce, że ten rząd dopiero jest

http://rcin.org.pl

rządem, który monetę bije, monetę drukuje i którego moneta i papiery kursują po całym świecie. Jeśliś o tem nie wiedział, mój ty panie Jeżu, to wiedzże o tem na potem. Co zaś do podskrobywania i podmalowywania, to jest arcydzieło przyszłego polskiego Wandyka, a może i Rafaela — i o tem pan wiedz, bo na pańskiej drodze i w pańskim stopniu możesz zostać naczelnym wodzem, choć niewidomym, i w twoich atrybucjach będziesz nie tylko się znać na artystach, ale ich używać, tak jak ja to robię dyplomata; bo naczelny wódz powinien być stratega, taktyk — dyplomata, publicysta nawet.

— Wszystko to dobrze i ślicznie! Pan baron mówisz jak święty Paweł, jak Jan Złotousty, jak sam wielebny ksiądz Semeneńko! Ale to wszystko nie da mi pieniędzy na potrzeby wyprawy, ludzi karmić, żołdy płacić, statki nająć do przeprawy.

— Widać szanowny Jeżu, że nie jesteś dyplomatą! Zaraz panu rzecz wytłumaczę przez induktę analityczną, a priori. Rząd turecki przez szpary patrzał na zbiór pańskiego wojska, ale nie może zostawać bez pewnego strachu, żeby na siebie nie ściągnął odpowiedzialności, gdyby corpus delicti zostawił dłużej na gruncie. Pan przychodzisz usunąć go z gruntu, więc dadzą statki do przewozu gratis, nie będą żądać zapłacenia żadnych długów, ani prywatnych, ani publicznych — tylko trzeba szepnąć na ucho Mutasaryfowi, że już nas doszły posłuchy o nocie; jako prawdziwi i wdzięczni przyjaciele, nie chcąc narobić kłopotów, sami się wynosimy to na gwałt. W ten sposób, Jeżu szanowny, wyjdziesz, nie dawszy grosza jednego. Powiedziałeś że książę i Rumuni zastrzegają sobie, żeby nie było zabójstw w tym ceremonialnym marszu. Więc powiedz, że będziecie zabijać, jak nie dadzą żywności, odzieży i pieniędzy. Dadzą wszystko, żeby uniknąć grzechu śmiertelnego zabójstwa. Tak dójdziesz do Michalen, a ztamtąd już kraj zajęty przez nieprzyjaciela, ludność nam nieprzychylna, buntownicza, więc kontrybucje, grabieże, zabranie kass nieprzyjacielskich — jednem słowem, wojnę wojną żywić — i złamanego szeląga nie wydać na całą wyprawę, ale jeszcze obłowić się, bo i to można, tylko

http://rcin.org.pl

przezornie. Czy zrozumiałeś mnie, szanowny panie Jeżu? Jeśliś zrozumiał, to ot taki będzie rachunek: Sześćset karbowanych w gotówce, bo taki kurs dwustu dukatów węgierskich — piętnaście tysięcy rubli w papierach, rewers czyli oblig do Dropia na czternaście tysięcy czterysta rubli, co razem wynosi trzydzieści tysięcy rubli, na polską monetę dwakroć sto tysięcy złotych. Piękny pieniądz, panie Jeżu! Z tego ani grosza wydać na wyprawę nie powinieneś, prowadzić rachunek, a zachować grosz na inne potrzeby — pro bono publico.

Jeż najeżył cały swój rozum, żeby pochwytać wszystkie te kombinacje dyplomatyczne. Zdały się one i logiczne i matematyczne, nie było można zarzucić im niepraktyczności — a jednak nie było w kieszeni jak dwieście dukatów. Ale lepszy rydz jak nic. Zresztą Jeż znał Srokę i przez siebie przez drugich; wiedział że prawda nie chodziła z nim nigdy w parze, że taki miał wstręt od prawdy, jak pies wściekły od wody — i że był prawdziwym prawdofobem, a jego szkoła prawdofobją. Wiedział że z owych miljonów przywiezionych do Wołoszy, o których i on, Sroka, i jego sekretarz Skrzynka głosili, może miał przy sobie ze drugie dwieście dukatów węgierskich — i miljony, czy też krocie, w biletach, uartystowanych przez przyszłego polskiego Wandyka. A że przytem miał jakieś fundusze na broń i ze składek przez plenipotenta Sokolika, który, co złożyli, to oddał święcie, jak wdowi grosz do narodowej opieki — wiedział że nic nie utarguje, więc kiwnął głową.

— Niech i tak będzie. —

Sroka zaraz zawołał sekretarza Skrzynkę, polecił mu sporządzić oblig do Dropia i kwit, żeby nie było żadnych bałamuctw w rachunkowościach. Był po prostu napisany, że pułkownik Jeż wziął od nadzwyczajnego komisarza Sroki dwakroć sto tysięcy złotych polskich, na wyprawę z Dobrudży przez Multany na Podole — i to zostało podpisane i w rachunkowościach z Niewidomym położone jako wydane.

Śniadanko było wyśmienite, wykwintne: ostrzygi, polędwica sarnia z Maderą, muszle z farsem z drobiu, szparagi homar, słodycze, zwyczajnie jak u dyplomaty, który musiał

http://rcin.org.pl

być uczony w gastronomji, jako jednej z najważniejszych gałęzi dyplomatycznej sztuki. Wina były wyborne: madera, burgundzkie, szampan. Wszyscy byli rozweseleni, nikt ani się krzywił, ani się dąsał; na tem polega dyplomatyczna sztuka. Potem wieczek z dziadkiem, bo Feniks w takie gmatwaniny się nie wdawał; ale Skrzynka za to grał jak sam Choil. Grano, póki nie zajechała bryka brodzka, żydowska, jak na Wołyniu, i nie zabrała Jeża z Pliszką. Pojechali dobrej myśli, w dobrym humorze: Jakoś to będzie! —

Jak został sam Sroka, przechadzał się po komnacie, rad z siebie.

Dobrze mi się udało! Pieniądze oszczędzone, ceremonialny pochód przez Multany trudny, niepodobny; więc i w Michalenach nie może być spotkania. Nie moja wina, że hufiec katorżników nie przyjdzie, kiedy nie będzie miał spotkać kogo. Jam dyplomata, nie dowódzca wojny; dopełniłem powinności, wojna skrewiła — nie moja wina! Czysty będę jak bursztyn, żadnej odpowiedzialności, a krocie zostaną, bo chcąc świata użyć i sprawie służyć, trzeba mieć pobrzękacze, bo bez tego nie będą posługacze — a trzeba posługaczy i siepaczy! [1])

Panna Praxeda, mówiąc językiem szlacheckim, a nie pańskim, była całą gębą dobra dziewczyna; gospodarna, uprzejma, bogobojna, miłosierna. W tem sercu było pełno dziewiczej miłości i pełno dla bliźnich litości. Ojciec ją ze wszystkiemi naukami po trosze obeznał, ile trzeba było dla kobiety, ani mniej, ani więcej; nauczył nawet muzyki i języka francuskiego, na fortepianie grała i od czasu do czasu jakiś romans francuski przeczytała, najwięcej Aleksandra Dumasa, bo to był z Gogolem i powieściarzami kozackiemi, najulubieńszy pisarz pana Skorupadzkiego. Historyczne rzeczy pisał, historji uczył, bo historyczna powieść, to coś na kształt kronik dawnych czasów — i bawi i uczy i w pamięci zostaje. Historja filozoficzna, to na kształt filozofji — jak zacznie, a priori i a posteriori, analitycznie i syntetycznie rozum ludzki mitrężyć i bałamucić, tak człowieka

http://rcin.org.pl

odurzy i znudzi, że książkę rzuci. We śnie będzie rozmarzenia szukać — nic w pamięci nie zostanie, wszystko ze snem uleci. Takie było zdanie pana Skorupadzkiego — i takich może byłoby wielu, żeby tylko mieli odwagę przyznać się do prawdy swojego sądu.

Panna Praxeda tedy, jak na kobietę, nemolaczkę i kozaczkę, wiele umiała, nawet trochę świata w Bukareszcie i w Jassach widziała — ale ten przed nią skakał jak wertepowe lalki, a ona do niego nie należała. Jak mięszanina Kalejdoskopa przeminął przed jej oczyma, nie zostawując nawet sądu o sobie, ani w sercu, ani w duszy, bo w nim, ani z nim nie żyła — i może to dobrze dla niej było. I dla tego była dobra dziewczyna, bez fochów, bez spazmów, bez migreny i nerwowych ceregieli. Ale że natura wilka do lasu ciągnie, i bez nauki, wychowany w domu w największej czystości i niewiadomości, karmiony do syta, jeszcze sam z siebie umie udawać trupa, żeby zwabić do siebie ciekawe kury i chwytać jednę po drugiej, bawić się, a potem dla zabawki dusić — tak i kobietę, i wszystko, co żyje na tym świecie, natura każde stworzenie żyjące w swój prąd poprowadzi, i bez nauczyciela, bez nauki, nauczy.

Panna Praxeda była sama jedna w swojej komnacie; drzwi na klucz i na rygiel zamknęła, okna pozakrywała z cienkiego muszlinu firankami, z takiego jak dzisiejsze Turczynki noszą jaczmaki, żeby światłu jasności nie ukraść, a przyćmić wzrok ciekawy z nadworu — i dwa wielkie zwierciadła ustawiła naprzeciwko siebie. Uczesana, umuzgana, przybrała się w suknię, którą miała przywdziać na swadźbę. Stanęła, podniosła się na palce i patrzy w zwierciadła — a uśmiech zadowolnienia upiększył całe lice. Obracała się w lewo, w prawo, trawersem podeszła w jedną stronę, a potem w drugą — przegięła się kibicią i głowę odwróciła w przeciwną stronę, jakby miała lecieć w objęcia czyje na oślep; odskoczyła od zwierciadła i znowu się do niego skrada, jak kotka do myszy, a ciągle w zwierciadła patrzy. Brwi trochę zmarszczyła, bo fałd jakiś nie pasował do składu ciała; poprawiła i znowu uśmiech — i znowu posuwanie się to w lewo, to w prawo, to ślizgiem, to cieniem

http://rcin.org.pl

poskoku — to poważnie, to odważnie — to nieśmiało, to płochliwie — to oczy spuszczone w dół, to przed siebie, jakby w czyje oblicze — a wzrokiem tak igra, jak fałdami sukni — a takie ruchy kibicią, żeby i Taglioni i panna Elsner jej mogły pozazdrościć. I tej chorografji Kozaczka nigdy nie widziała, ani jej się uczyła — ale natura, to wielka mistrzyni. Uradowana z siebie, ukłoniła się każdemu zwierciadłu z osobna, z tak słodkiem przymileniem, że gdyby tam był Zwizda, to by ze skóry wyskoczył, żeby ją pocałować, zacałować, taka była zalotna — i taka przylepka i do oczów i do serca.

Zdała egzamin między zwierciadłami — teraz będzie śmielszą między ludźmi. I tak każda kobieta zostawiona sama sobie, pomału się wyrobi, bez nauki, bez przykładów, bez przynuki, z samego natchnienia, z dobrej woli. Broń kobiety, to zalotność i słodycz. Kiedy kogo chce zwalczyć wstępnym bojem, to używa pierwszej — kiedy kogo chce rozbroić, to drugiej; pierwszą wojuje i zawojuje na śmierć nawet, drugą wraca do życia. Dobrze powiedzieli ludzie różnych narodów i różnych czasów: kobieta bez zalotności, to kwiat bez woni, to hortensja, to piwonja; kobieta bez słodyczy, to roślina bez owocu, albo z gorzkim owocem. Tak Bóg przeznaczył i wszystko musi iść na tym świecie według swojego przeznaczenia.

Po tej małej próbie panna Praxeda już była w zwyczajnej sukience, czy w szarafaniku, z kluczami po domu się pora; rozkazy daje, rozporządza, wydaje wiktuały ze spiżarni — wszystko urządza z rozwagą i powagą. Jest dobrą gospodynią; męża od kłopotu głowa boleć nie będzie — będzie sobie spoczywał i używał, jak bojar rumuński; niech pszczoła i kobieta pracują, a on będzie jadł miód, i gwiazdy na firmamencie, albo muchy na suficie liczył, leżąc do góry brzuchem na miękkiem posłaniu. Wtenczas dopiero odpoczynek, próżnowanie, dobre rzeczy, kiedy komu staje na nie.

Zwizda już zupełnie wyzdrowiał, ale udaje chorego; nie wychodzi z domu. To, co mu się zdarzyło nad Dunawcem, jeszcze w jego pojęciu się nie rozwidniło. To była ona — i ten kogut, i ten kot, i to pianie i to miauczenie, i sztylet,

http://rcin.org.pl

żelazo chłodne jak lód; jeszcze mu od niego zimno przechodzi po za skórą — i taki błysk stali, że aż mu dotąd w oczach miga. Ale czy to było na jawie, czy we śnie — czy ta zmara, tak jak i inne, schorzałą imaginację przyszły nawiedzić — z tego sobie zdać sprawy nie może. To, co mu opowiadano o cygance królewnie, jeszcze bardziej mu w głowie myśli mąci. Jego cyganeczka, Zaira, była biedna, ze wszystkiego obdarta, oprócz z wdzięków natury, te były śliczne — a ta w złocie, w atłasach, w drogich kamieniach, jak prawdziwa królowa. Tamta bała się wszystkich, na schadzki z nim wykradała się z pod szater, a tak drżała ze strachu, aby jej nie dopatrzono, nie dośledzono — a ta rozkazuje i wszystko się przed nią kłoni, panuje nad swoją hordą, jak caryca nad ludem. To, co mówi Kuropatwa o licu, o oczach, o postawie królewny, to podobne do jego Zairy; ale to podobieństwo rodu, mniej więcej wszystkie na jeden kopyt. Po kilka razy chciał pójść przekonać się, ale strach; tak mu tu dobrze, na błogie szczęście się zanosi, a on choć młody, przez kochanie ostygł w zapale włóczenia się po świecie i szukania guza, jak to ludzie mówią.

Zwizda mimo woli, a może mimo wiedzy, przez przypadki został Don Żuanem ukraińskim, mało co różnym od Don Żuana hiszpańskiego, tylko że u hiszpańskiego była krew gorętsza, a u ukraińskiego było więcej zimnej rozwagi. Pierwszy nie myślał o jutrze, drugi żył z jutrem — ale u obydwóch, co na placu, to nieprzyjaciel. I jeden i drugi nie rozumiał tęsknoty, zgryzoty, rozpaczy opuszczonej i zdradzonej miłości. Wszystko to u nich były fraszki, nie dla prawdy, ale dla igraszki. Ale obydwaj mieliby sobie za ubliżenie czci i dobremu imieniowi, żeby ładny buziaczek bezkarnie puścili, żeby serduszka, pocałunku i jeszcze, a jeszcze u ładnej kobiety nie zdobyli. Nie mówili: kochajmy się póki żyjemy i żyć będziemy — ale kochajmy się póki z sobą jesteśmy; a jak nas los lub ludzie rozłączą, to im na przekorę, nie smucić się, nie rozpaczać, tylko każde ze swojej strony powinno szukać pociechy i roskoszy, żeby pokazać i losowi i ludziom, że nie tyle tylko w Bożym świecie światła, ile w ich oknie świeci. Hiszpański Don Żuan byłby

http://rcin.org.pl

poleciał i padł do nóg królewnej, czy to ona, czy nie ona — ale podobna i ładna kobieta; jeśli nowa, tem ci lepiej. Ukraiński, choć to mówią, humański niezdara, ale humański, co to z cudzego woza bierze i na swój kładzie, a nigdy ze swego na cudzy, powiada: lepszy wróbel w kieszeni, jak indyk w powietrzu — lepiej djabła nie budzić; kto wie, czy to nie ona — byłoby licho! Rozum każe, żeby go nie zaczepiać. Jak się ożenię i już wszystko będzie skończone, zapewnione, wtenczas zobaczymy. I jedna ładna i druga ładna — wszystko można, tylko ostrożnie; piroga chcę, a chleba powszedniego nie porzucę — tak uczą w szkole i taka też jest nauka moralna Don Żuanów całego świata.

Zwizda też dla tych powodów nie wychodził z domu — przy fortepianie śpiewał dumki ukraińskie z panną Praxedą, czytał w głos poezje Bohdana Zaleskiego i Szewczenka, albo Marję Malczewskiego i Grozy Ulotne rymy; rozpowiadał o Ukrainie i o starym Kijowie, pierwszym grodzie całego świata znanego i nieznanego — i o Kijowiankach, które porównywał do Praxedy, ale Praxeda zawsze od nich piękniejszą była, bo ona prawdziwa Rusałka czarodziejka. Posługiwał jej i był zawsze na jej zawołanie, na jej skinienie. Wieczorami grał w marjasza z panem Skorupadzkim i z panem Żukiem w pulę, z szóstkami i bez szóstek, jak chciano; jak było więcej gości, to i w ćwika — a jak grała panna Praxeda, to jej oczami pokazywał, czy w hazardzie są kozyry, czy ich nie ma — czy ma ćwikować, czy ma remisować, czy może pomagać. Jednem słowem starał się podobać wszystkim i podobał, nawet Osipowi Siemienowiczowi, bo z nim rozmawiał i o cesarzach i o królowej, i o Nazyrze Mukaty, i o Wielkim Wezyrze, i o Czamasyr Adze Kapudana Paszy — i Osip powtarzał: Choć młody, ale ma Iwana w głowie; nie taki jak inni, co to ze wszystkiego się śmieją, a nic słuchać nie umieją. — A u pani Żukowej na taką zasłużył łaskę, że mu sama napiekła korzennych pierników, z imbirem, z pieprzem i innemi zaprawami, i oddając, rzekła: Jak się ożenisz, to na dzień po dwa, po trzy zjadaj, to zastąpi winną polewkę. Zobaczysz jakie to skuteczne; spy-

http://rcin.org.pl

taj mego Żuka, to ci powie — i uśmiechnęła się pani Żukowa, trochę złośliwie, ale nie bardzo.

Kuropatwa, jak mógł, to wymykał się od Sójki, a raczej od wojaczki, a biegł do nowej gwiazdy, do ukraińskiej Zwizdy, i do niego na adjutanta się zapisał, bo to lepsza taka wojaczka przy kominie, o dobrem jadle i o starem winie. Używał Kuropatwa, ale też i jego używali; słali za tem, to za owem — i Kuropatwa latał, jak gdyby był kurjerem gabinetowym Sroki, albo koniem pocztowym na żydowskiej stacji. Był on gazetą brukową dla starych, konkurentem pana Żuka, a powiernikiem pana Zwizdy, który nie tłumacząc się dla czego, słał go prawie co dnia pod szatry cygańskie, żeby dowiedzieć się, co robią cyganie, co robi ich królewna.

Od czasu wieczoru u Dymitrakiego Beja, królewna nie wyszła z pod szatry; nie woła do siebie ulubione sługi; nawet niańka, stara Chira, nie przesiaduje ciągle, jak to bywało. Sokół siwy napuszony siedzi na berle, ani go pogwizdnie do siebie, ani popieści, jak to dawniej bywało. Chart nawet czarny, towarzysz nieodstępny, nie śmie do niej się zbliżyć — tylko kot czarny pomiaukuje i w koło panię swoją obchodzi, a kogut przed szatrą po trzykroć razy śpiewa, jak starowierzec trzykrotnem znakiem krzyża szatana odgania. Na bogatem kobiercu to leży, to siedzi, a czarna opona ją osłania.

Już była o tem kochanku pierwszej młodości zapomniała, tak jak zapomniała tej pierwszej młodości, biedę i niedostatki. W bogactwie jedzie poślubić dzielnego męża, junaka, szczęśliwą gwiazdę cygańskiego rodu — na cześć i na sławę swojego potomstwa. To głaszcze jej dumę i nie odstąpiłaby od tego, nawet gdyby ów kochanek przyniósł jej w hołdzie i w darze dawną miłość — o! nie odstąpiłaby od tego, bo już nawykła być królową. Ale kiedy w drodze, nie szukając, zdybała tego kochanka i nie może go mieć dla siebie — o! niechże on nie będzie dla drugiej, dla żadnej. To jej myśl, to jej żądza — i nad tem się biedzi, jak postawić na swojem.

Wyciągnęła sztylet i bawiła się z żelazem, z ostrzem; ale

http://rcin.org.pl

jej na myśl nie przyszło, żeby nim przewiercić serce dawnego kochanka. Nie — tak tylko sobie nim się bawiła. Niech żyje, ale niech nie będzie przy niej.

W Tulczy nie robiono żadnej tajemnicy z przygotowania do wyprawy. Stu i kilkunastu Polaków musztrowało się kijami po hanach. Sójka tem wszystkiem kierował — człowiek sumienny, choć dalej od swego nosa przed sobą nie widział i widzieć nie mógł; ale wziął w karby swoich podkomendnych, i szło to jakoś po wojskowemu, choć po pijanemu. O tem wiedzieli i niecyganie i cyganie.

Kuropatwa ciągle posyłany przez Zwizdę do obozu pod szatry, zaprzyjaźnił się z kilku cyganami i cygankami, którzy mieli pociąg do Polaków, bo szli z Litwy i tak wędrowali po świecie bożym, jak długi i szeroki, jak wędrują biedni Polacy. Koczujące narody zawsze mają sobie coś do powiedzenia, czy to na przestrogę, czy na pociechę. Kuropatwa nie bardzo się wypytywał, co tam za Dunajem, bo już miał postanowienie, nie chodzić w tamte strony. Ale cyganom powiedział o wyprawie, i o tem, że ani on, ani Zwizda iść nie myślą, bo to ni w pięć, ni w dziewięć, a on choć Kuropatwa, ale jak stary wróbel w samotrzask złapać się nie da. O tem królewna zasłyszała, nie słuchając. Osip Siemienowicz nie mógł widzieć królewnej, bo go nie puszczono; rozmówił się tylko z Chirą, a ta nie dała żadnej odpowiedzi. Ale królewna już wiedziała o swadźbie i o weselu; reszty się domyślała. Jednego dnia zawołała Dżyhana, najpierwszego powiernika, i jak ten wszedł, tak do niego przemówiła:

— Wiesz że litewskie puszcze były kolebką mojego rodu i że co tylko Litwę obchodzi, to i mnie obchodzi; a Polacy i Litwini to jedno. Słyszałam że gotują wyprawę, że mają tu naczelnika; chciałabym go widzieć — może duch naszego rodu natchnie mnie dobrą dla nich radą. —

I była weselszą i przypuściła wszystkich wiernych do ucałowania krawędzi swojej opony. I godziny nie wyszło, jak Dżyhan przyprowadził Sójkę, a za nimi z daleka szedł Kuropatwa, jak na zwiady. Sójka był chłop dorodny, łomaka jasno-włosy, łysy od kaszkietu i mozolnego rachunku, jak

http://rcin.org.pl

grosz do grosza składać w kaletę, procenta przyrabiać, ale prawnie i sumiennie; oczy jasnego błękitu, ale niefarfurowe, tylko porcelanowe, wypukłe, błyszczące. Był poczciwy, Polak dobry; ten, co jego pieniędzmi robił, kazał mu być demokratą i był demokratą. Piosnek Honoratki nie śpiewał, blichtrami pobratymczemi nie okpiwał; ale kiedy kazano bić się, to bił się, choćby na drągi, choćby na kułaki, byle za dobrą sprawę. Nie potrzeba było mu gadać, gdzie jest nieprzyjaciel i wiele go jest — tylko przyprowadzić, pokazać — huż! dalej po nim — i swoje zrobił.

Królewna już była przybrana w purpury i drogie kamienie; na jej ramieniu siedział sokoł siwy, pod rękę podsuwał się kot czarny, u nóg leżał chart kudłaty, a na poduszce, jak na śmietnisku, nabundiuczył się kogut pstrobarwny z koralowym grzebieniem — a sama królewna była śliczna, piękna, groźna zarazem, jak bogini, jak święta. Sójka mitologji się nie uczył, więc o Djannie nie słyszał; ale był czas jakiś we Francji łowczym u jakiegoś hrabiego, urzędowego tępiciela wilków, i polował w dzień świętego Huberta. Pomyślał sobie: To żona świętego Huberta! — zdjął czapkę i stanął jak wryty; łysina, jakby w głowie się paliło, oparem parowała. Wytrzeszczał oczy, już i tak na wierzch wylazłe, podziwem rozdziawił gębę: a! a! — Królewna ręką wskazała: siadła! — a on padł na kolana.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

VIII.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SWADŹBA.

Dzień przed swadźbą pan Zwizda wyniósł się na mieszkanie do państwa Żuków — tak wymagał porządek rzeczy. Ale i tam nie było mu źle. Pani Żukowa karmiła go piernikami takiemi samemi, jak karmiła pana Żuka — i uśmiechała się, jak na każde wspomnienie imienia Praxedy czerwienił się młodzieniec, oczy mu iskrzyły się jak djamenty, zwane karbunkułami w staropolskiem narzeczu, a do których w powieści dawnej o Meluzynie i o Koleandrze i Leonildzie, porównywano ogień miłośny spojrzenia kochanków. Przechadzał się po pokoju niespokojny, pił zimną wodę i wciąż w okno patrzał. Pani Żukowa tem się bawiła — przypomniała sobie młodsze lata: Tak mnie Żuk kochał w Adamówce, biedny Jasieńko przybiegł do mnie! Jakaś chandra napadła pana Żuka, na miejscu nie usiedzi! On tego nie zrozumiał, prostaczek! Ale ja zrozumiałam; pierniczki te moje tej chandry nabawiły — choć była czasem i bieda, ale było kochanie. Teraz to już chyba czasem na święty Józef dobrze popatrzeć na drugich i przypomnieć sobie, jakiemi byliśmy i my kiedyś. — I dokładała starannie, żeby na niczem nie zbywało; możeby chciała i wszystko zrobiła; żeby mu nie zbywało i na Praxedzie, ale niestety! to być nie mogło. Daremne chcenie, daremne życzenie!

Zjawił się też w Tulczy pan Jeż z panem Pliszką i wprost zajechali do Abramka; tam zastali pana Czyżyka, jak ciął

http://rcin.org.pl

koperczaki do Zelki. Czyżyk rudawy, brodaty i kudłaty, ale czupurny; wiele świata zwiedził i jak żyć jutro, tem się nie biedził — gdzie się kurzy z komina, tak jak w dym, trafi na obiad albo na śniadanie. Dobre słówko dla każdego, jak mówił do niego; jakaś potwarz, nagana, jak mówił o nim do drugiego. Był więc i słuchanym i dobrze uważanym, a co najbardziej, gościnnie przyjmowanym. Miał talentów, więcej jak palców na rękach i na nogach; telegraf, inżynier i lądowy i wodny, czyli akwatyczny, ujeżdżacz koni czyli dżambas, marszałek dworu do wydatków, agronom doskonały; wszystkowiedz polityczny, nowinki po ulicach zbierał i do domów roznosił, w demokracji prezesował i był oratorem, w pojedynkach sekundował i strzeliste artykuły po gazetach pisał. Gotów by zostać przeorem, czy u Kapucynów, czy u Bernardynów, byle go karmiono sztokfiszem, oblewanym kapucyńskim miodem, albo pieczenią bernadyńską z jesiotra, a dla przełknięcia i strawności podawano starego węgrzyna albo pontaka — pościłby jadłem dla chwały bożej, zapustowałby trunkiem na chwałę djablą, a byłby zawsze czyżykiem piosnki ludowej — czyżyk, czyżyczek, czerwony sapażok, co znaczy wiercipięta; ale nie był w poniewierce, jak inne ptaki i zwierzęta Niewidomego.

Jeż, choć pułkownik i dowódzca, powitał go z wielkiem zachowaniem i z oznaką ukontentowania — a on go odwitał w części rubasznie, w części protekcjonalnie. Zaczęła się między nimi rozmowa o publicznej sprawie, a Pliszce nie dano nawet rozprostować kości; posłano go, by natychmiast bez straty czasu sprowadził majora Sójkę.

Sójka przybiegł zadyszany, ale dobrej miny.

— Chwała Bogu, że pana pułkownika witamy! Wszystko dobrze!

— Jakto dobrze? Wieleż pan major masz ludzi?

— Stu i ośmnastu, ale z tych ośmiu chorych, między nimi Kuropatwa; piętnastu takich, że jak tu przybyli, to jeszcze dotąd się nie wytrzeźwili; z rana jak ich można złapać na czczo, to się musztrują i dość ochoczo — ale potem to ani rady złapać; prawie każdy pijany; ledwie dziesiąty

http://rcin.org.pl

trzeźwy, który się co dzień nie upija. Ja nie wiem, jak my ich ztąd wyprowadzimy?

— Na to poradzimy! A broni wiele?

— Piętnaście karabinów, siedm dubeltówek, jedenaście pałaszy żołnierskich, dwadzieścia piechotnych tasaków i jedna janczarska szmigownica. Oficerowie wszyscy zbrojni w pałasze, a niektórzy mają i dubeltówki i pojedynki, a wszyscy czerkieskie nahajki tu posprawiali. Broń przez pana pułkownika obiecana jeszcze nie przyszła i nie mam o niej ani słychu, ani wieści.

— To bez niej się obejdziemy. Ułożyłem rzecz z nadzwyczajnym komisarzem Sroką i z panującym księciem Multan i Wołoszy, czyli Rumunji. Wszystko jak po maśle pójdzie; kiedy nie można przeskoczyć, to trzeba podleźć. Rozumem, dyplomacją wszystko nadrobimy. Ale czegoż pan major masz tak minę uradowaną?

— Mam ważną rzecz do powiedzenia, tylko na osobności!

— Nie powinna być tajemnica przed panem Czyżykiem; to mój doradzca, dawny przyjaciel, mąż w demokracji znany i kochany. Niech pan major mówi.

— Kiedy taki pański rozkaz, niech i tak będzie, choć przyznam się, wolałbym na osobności. —

Czyżyk zaperzył się i zabierał się do wyjścia, ale Jeż za rękę go zatrzymał.

— Zostań, trzech lepsi do rady, jak dwóch — jeśli co ważnego, a spodziewam się że ważna rzecz, kiedy tak zajęła szanownego obywatela Sójkę.

— Zajęła i to bardzo — bo to wiedzą panowie, od tygodnia przyszli pod miasto cyganie i stoją obozem za ruśniackiem uroczyskiem. Jest ich bardzo wielu. Mówiono mi, że prowadzą trzysta rekrutów do serbskiej konnicy — a piękne chłopy, sam ich widziałem; cygańczuki, ale praworne, jeżdżą na koniach jak opętańce — i mają konie a dobre. Otóż między tymi cyganami jest ich, jak zowią, królewna, czy królowa, która im rozkazuje i oni jej słuchają. Widać, nie demokraci; jeszcze do nich światło obywatelskie nie zaszło — i choć z Litwy idą, bo po litewsku mówią, tak jak

http://rcin.org.pl

ja Sójka Litwin mówię, jeszcze centralizacja nie dostała ich w swoje ręce. Otóż ta królowa chciała mnie poznać i widzieć się ze mną; przysłała cygana. Dla dobra sprawy poszedłem; myślałem, może jaką dobrą wieść przyniosła z Litwy, albo chce zapisać swoich cyganów na wyprawę. Aż tu zastałem królowę tak piękną i tak strojną w brylanty, jak była Matka Najświętsza Berdyczowska, Ojców Karmelitów bosych, pod przeorstwem księdza Romańskiego; bo tam byłem z panem Bukształ, geometrem radziwiłłowskim, wysłanym do poznania berdyczowskich dóbr. Gdyby nam dała te brylanty, to byśmy mieli za co kupić i Warszawę i Kraków. Ja się na tem znam, bo jakieśmy brali drogie kamienie w zastawy za pożyczane pieniądze, to ja zawsze nosiłem dla ocenki do jubilerów Armianów, a to znawcy; nauczyłem się oceniać na rzut oka. Wielkie bogactwa miała na sobie, a przy niej był i chart i sokół, i kot i kogut. Ja, co byłem we Francji i w departamencie Dordony z pułkownikiem Paczkiem polowałem na każdy święty Hubert; myślałem, że to żona świętego Huberta, bo piękności nadludzkiej, takiej ani na Pera, ani na Galacie, ani tu w Tulczy nie znaleźć. Choć Nemolaczka niczego dziewczyna, ale daleko kusemu do zająca; a taka bogata, że jak się dowie mój patron, mój pan Józef, to gotów porzucić i handelek i lichwę i tu przylecić. Możeby za zegarki i za tombaki wyszachrował brylanty; może się ona na nich nie zna, bo taka młoda jeszcze. A może nawet i źle nabyte, bo to cyganka, choć królewna i jedzie poślubić jakiegoś jenerała. Otóż ta cyganka mnie bardzo serdecznie utraktowała i powiedziała że kocha Litwinów jak braci, bo sama urodzona i wychowana na Litwie, w Białowiejskiej puszczy, na pograniczu Augustowskiego, zkąd jestem rodem, więc sąsiadka. Po różnych zapytaniach i odpowiedziach, powiedziała: Idźcie na wyprawę, chcę wam powróżyć. Prosiłam ducha mojego rodu, ducha wielkiego, ducha niepojętego, by mnie natchnął prawdą przyszłości, byście mogli iść z wiedzą i do niej stosować wasze kroki, dla mojej, dla naszej Litwy! — Zaczęła się modlić po swojemu, robić jakieś zaklęcia, wyjęła sztylet z pochwy, aż mnie trochę strachu nabawiła. Kot ciągle miauczał, sokoł skrzy-

http://rcin.org.pl

dłami trzepał, chart skumlał. Kiedy kogut zapiał raz, drugi i trzeci, wtenczas oczy obróciła w górę i przemówiła głosem, takim jakby nie z jej piersi wychodził: — Wielkie potężne siły nieprzyjaciół, trudno je zwalczyć, ale walczyć można z chwałą. Jest między wami dziecko Ukrainy, niedawno kraj swój opuścił i dąży do żołnierki, ale nie waszej; albo tu się osiedli, ale nie z wami. Nie dajcie mu spełnić ani jedno, ani drugie; niech idzie z wami, niech wam będzie gwiazdą przewodniczką do swej ziemi. A ani grad kul, ani ostrza żelaza, was ugodzić nie potrafią; dojdziecie z chwałą dokąd zamierzacie. Tylko niech on będzie wam przewodnikiem. Jak jego nie będzie, jak on zniknie, biada wam, biada! — I na tem zakończyła. Spamiętałem każde słowo, bo ten głos tak mi brzmiał w uszach, jakby nieludzki. Prosiłem o objaśnienie; nic mi nie umiała odpowiedzieć, na wszystko mówiąc: Nie wiem, com mówiła — i kiedy ja jej opowiadałem jej własne słowa, zdała się ich nie rozumieć. I nic więcej dowiedzieć się nie mogłem. Prosiła o tajemnicę przed wszystkimi, oprócz moich starszych. Przyrzekłem, i dla tego prosiłem pana Czyżyka na osobność, bo on kapitan, ja majorem jestem.

— I on będzie majorem i pułkownikiem — z uśmiechem rzekł Jeż. Ale któż to jest, to dziecię Ukrainy?

— Ja tego nie wiem; od cyganki czy królewnej dowiedzieć się nie mogłem. Posłałem Wilka i Sikorę na posłuchy i na zwiady i powiedziałem im, co tylko mogłem powiedzieć; ale dotąd nie mam raportu.

Czyżyk pokręcił się po izbie.

— A ja wiem, panie Sójko! Więc nic złego, że słuchałem pańskiego opowiadania, i dobrze mówił pan Jeż: co rozum trzech, to nie dwóch. Bylibyście szukali jak wilka w stepie i kto wie, czy znaleźli, a ja go dam w kniei, w ostępie, na heco!

— Mówże, kochany Czyżyku, bo nam pilno; chciałbym, jeśli można, jutrzejszej nocy wyruszyć. Mów, bo tyle rzeczy jeszcze jest do roboty.

— Panie Sójko, niedomyślny jesteś! To ten młody Ukrainiec, nazwiskiem Zwizda, prawdziwy Ukrainiec. Przed

http://rcin.org.pl

kilku dniami do Tulczy przyjechał, żeby się do Kozaków sułtańskich zapisać. Namowy Kuropatwy i branka Muchy od tego go odwiodły. Ale teraz się zakochał w Nemolaczce i wydają za niego hołysza, bogatą dziewczynę — bo to dziwne to kozactwo. Jutro swadźba, pojutrze wesele.

— Trzeba go zawerbować, bo choć to ja w zabobony nie wierzę i jako demokrata w nie wierzyć nie powinienem, tylko w centralizację; jako poeta — bo nim jestem, tego mi nikt nie zaprzeczy — wierzę w znachorstwo, a szczególnie cygańskie; to ród dawny i dawna wiara, jeszcze Zoroastra. A są rzeczy na świecie, o których ani obywatelom, ani centralizacji ani się śniło, ani marzyło. Trzeba wezwać Kuropatwę, może on się z tym panem rozmówi. Proszę go kazać poprosić.

— Z Kuropatwą nie ma co robić; jemu zmiękły rury, odmawia posłuszeństwa. Dał abszyt i iść nie myśli — do wyprawy nikogo namawiać nie będzie, owszem odmawiać. Jak lis, któremu ogon ucięto, będzie namawiać inne lisy, żeby sobie ogony poucinały. Kiedy on nie idzie, niechże lepiej i nie będzie wyprawy. —

Czyżyk wyśpiewał i rad z siebie, bo się wykręcił na jednej pięcie.

— Jakże tu zrobić? Ja znam pana Skorupadzkiego, poszedłbym do niego i zapoznał się z tym panem Zwizdą. Ale w ostatnich czasach wydawałem wojnę na ostrze, strasząc kozaków szlachcicem; a pan Skorupadzki szlachcic i zacięty szlachcic, płazem mi nie puszczał, stawał w obronie tego nowego Bohdanka. Zerwaliśmy z sobą!

— No, to teraz trzeba się pogodzić, powinszować swadźby i zięcia, i mnie tam wprowadzić; za drzwi gości, choć nieproszonych, nie wypchną — to nie w zwyczaju kozackim. A jak się raz tam zaintromitujemy, to swoje zrobimy. Na tem rzecz, żeby się dostać do twierdzy.

— No, to i pójdziemy, choćby nas mieli nie spyszna wyprosić, bo wszystko przypuścić trzeba. Pójdziemy! Czego człowiek nie zrobi dla tej świętej sprawy? A teraz, panie Sójko, czy będziemy mogli wyjść jutrzejszej nocy?

— Jak się ludzie nie popiją, to możemy. Ale bądź co

http://rcin.org.pl

bądź, to się niejednego nie doliczymy. Nasi ludzie po karczmach, po szynkach kwaterują, wprawdzie z oficerami, ale oficerowie z nimi piją, dla zachęty, żeby nie uciekali i kupy się trzymali — i inaczej nie można. Chwała Bogu, że Żydzi borgują i sprawdzają, że jak bieda, to do żyda; inaczej byśmy ich nie utrzymali. Ale trzeba się rozrachować, długi popłacić. —

Jeż chodził po izbie, to brodę pogłaskiwał, to ręką wymachiwał, a po cichu mruczał sam do siebie: Sroka to wielki dyplomata, mąż stanu. Pójdę wskazaną przez niego drogą, bo widzę jasno że nią iść można. Stanął.

— Majorze Sójko, dziś przed wieczorem, o jedenastej po turecku, bo jesteśmy w tureckim kraju, wszyscy a wszyscy żołnierze i oficerowie mają być zebrani po karczmach i po szynkach, gdzie mają kwatery. Obrachunki z tego, co nabrali, mają być jak najakuratniej zrobione; na każdego żołnierza po dwieście dram wódki, a na oficera po oku całem, albo po dwa oka wina, wydać na moje konto i do rachunku dopisać — i tak niech czekają, póki rachunki nie będą zapłacone,a potem zobaczymy. Obywatelu Sójko, racz się tem zająć niezwłocznie!

— Obywatelu Jeżu, wszystko będzie wykonane do joty. Będą pili i czekali, to praktycznie. — I wyszedł.

Jeż obrócił się do Czyżyka:

— Najprzód pójdziemy do Mutasaryfa, żeby mu piotra napędzić, strachem not dyplomatycznych, aby go zniewolić, żeby całą wyprawę pod areszt w jeden jaki gmach zapakował, jutro dał statki i wywiózł za Dunaj, żeby się pozbyć kłopotu — i jak przyjdzie zapytanie, odpowiedzieć, że nikogo nie ma, żadnej wyprawy nie widziano i o żadnej nie słyszano, że to karczemne donosy.

— To będzie i sprytnie i praktycznie. A długi kto zapłaci?

— Kto? Mutasaryf karczmarzy i szynkarzy powsadza do kozy! Za co z buntownikami sąsiedniego a sprzymierzonego państwa w konszachty się wdawali i im w zachętę do buntu na kredyt borgowali. Jeśli im nie każą dobrze się opłacić, będą szczęśliwi.

http://rcin.org.pl

— I to rozumnie! Jeśli tak cię, obywatelu Jeżu, obywatel Sroka wyuczył, to i ja przyznam, że wielki dyplomata, jakich Polska nie widziała. Przeszedł i Żurachwinę i Malinę; nie wyrówna mu żaden z mężów stanu — pójdzie on daleko, zobaczysz, a kiedyś wysoko. Jak tylko się skończy wojna, sam pójdę terminować do niego, bo w taki sposób można świata użyć bez kosztu i bez pracy. —

Poszli do konaku, i tak się stało, jak przewidział baron Sroksza, a jak prowadził rzecz obywatel Jeż. Mutasaryf kawą, cybuchem częstował, za przestrogę i za radę po stokroć dziękował. Zaraz wydał rozkaz teptyszom i zaptijom, żeby wszystkich Polaków, należących do wyprawy, po karczmach i po szynkach przytrzymano, zaaresztowano, zabrano i do rządowego hambaru zaprowadzono, gdzie mają czekać na dalsze rozkazy. Następnie zawołał Arslana, greckiego lwa, z pod Białego Cara opieki, bicza bożego na kozackie pieniądze, oraz na kozackie dziewczęta — i na ucho mu szepnął, żeby był statek na jutrzejszą noc do przewiezienia wyprawy na drugą stronę rzeki. Arslan poskoczył szybko, żeby wykonać wolę Mutasaryfa, a przytem obwieścić do Ismaiłowa, pułkownika Kalineska, dowódzcę siły zbrojnej rumuńskiej, o mającej wyjść wyprawie — i przez Ismaiłów władze pograniczne rosyjskie o tymże samym wypadku — niech będą na pogotowiu.

A kiedy wspomniano o długach, Mutasaryf rzekł:

— Ja to zaspokoję, to moja rzecz; każę jeszcze dać, żeby mieli co jeść i pić, przez jutro, przez noc i na dwa dni marszu. To wszystko pójdzie na jeden i tenże sam rachunek. —

Ślicznie dziękowali Mutasaryfowi i wyszli uszczęśliwieni, uradowani.

O dwunastej godzinie po turecku wieczorem, już wszyscy Polacy siedzieli zamknięci w hambarze; żadnego nie brakowało do apelu. I pan Sójka był z nimi; tylko wymknął się Kuropatwa, gdzieś się przyczaił, w Żukowych, czy w Nemolaki krzakach. A obywatel Jeż z obywatelem Czyżykiem pocieszali tych polskich junaków, że to jakaś pomyłka, że poślą telegramy do Welkiego Wezyra, że to się wszystko

http://rcin.org.pl

ułoży, i że jeśli im skóra świerzbi, będzie dość czasu, żeby ją podrapali; a teraz niech jedzą, piją i śpią, żeby się dobrze wyspali. A wyszedłszy, z sobą rozmawiali: Co to za rozum, co to za przezorność, co to za obrachowanie tego Sroki! On by potrafił wojnę bez pieniędzy prowadzić i nie odpowiadałby, jak ów jenerał Napoleona Wielkiego: Czego mu potrzeba do prowadzenia wojny? Pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy! On by odpowiedział: Obełgania, obełgania i jeszcze obełgania! O wielki dyplomato, prawdziwy świeczniku niewidomy niewidomego świata!

U pana Skorupadzkiego gości pełno; wszystkie izby jak nabite — mężczyzni, kobiety. Obok wysokiego dygnitarza Turka siedzi czorbadży Bulgar, obok Kozaka starowierca Czerkies, obok konsula Mirza tatarski — i Niemiec, i kapitan rosyjski, i Dalmata, i Grek, i Armianin nawet — mozajka narodowości, mozajka strojów. Kozacy, rybacy przybrani czupurnie, służą, noszą kawę, cybuchy, słodkie, kołacze, likwory i trunki różnego rodzaju — co kto lubi. Pan Skorupadzki wszystkich po staroukraińsku gości — i prośbą i przynuką. Kobiety w innych izbach.

Idą przez ulicę Osip Siemienowicz, pan Żuk i pan Worona, a każdy z nich ma pod pachą prawą bochenek chleba, a pod lewą kurkę czubatą — za nimi muzyka, skrzypki, cymbały, bębny i piszczałki — i tłumy bożego ludu tropaka w takt muzyce wybijają.

Panowie swatowie weszli do komnaty, panu Skorupadzkiemu kłonią się nisko, a Osip Siemienowicz żegnał się po trzykroć razy krzyżem świętym.

— Ojcze Watażko! Przyleciał sokół z Ukrainy, z naszej Ukrainy, z nad Dniepru samego — przyleciał i waszą kukułkę pokochał, a dalej już lecieć nie chce. Jeśli takie kukułki życzenie, jeśli taka wasza wola, nie chce on po świecie szukać ani kaliny, ani maliny, bo znalazł wszystko u waszej dziewczyny. Tu chce gniazdeczko usłać pod twojem skrzydłem. Ojcze Watażko, czy taka wasza wola?

— I ja z Ukrainy, i on z Ukrainy — swój swego rad

http://rcin.org.pl

widzi. Jak się swoi znajdą z sobą, to nie tak łatwo się rozłączać. Ale ja nie będę mu chuchać pisklęta na gnieździe, tylko moja Zuzula; jej się trzeba pytać, czy chce, czy nie chce? — I podszedł do drzwi, za któremi były kobiety. — Donia, moja donia, przyszli swatowie, nasi swojacy, od młodego Ukraińca, naszego ziemlaka, szukać ciebie na mołodycę temu mołodźcowi. Czy będzie wola, czy dasz ręczniki? —

Drzwi się otworzyły na pół i piękna rączka, mała i biała, trzy ręczniki jednego po drugim ojcu oddawała — ręczniki jak śnieg białe, u końca czerwonem mereżone. Wzięto z pod pachy i kurki i kołacze, na stół położono, a swatów w ręczniki jak w szarfy przypasano.

Niebawem przybył młody Zwizda, hoży, zdrowy, po kozacku strojny, a siwa czapka z kraśną wstęgą na głowie; z nim razem Kuropatwa, Jeż i Czyżyk, jako drużbowie.

Jeż podszedł do pana Skorupadzkiego i coś mu szeptał na ucho. Ten go powitał:

— Co było, a nie jest, tego nie pisać w rejestr. Jedliśmy ze sobą chleb i sól, i w Bogu nadzieja, że będziemy go jeść jeszcze. Przyszliście, bądźcie pozdrowieni! Czem dom wład, tem dla was rad! —

Pani Żukowa, jako matrona, wyprowadziła pannę Praxedę. Ta dla przypodobania się ojcu, była przybrana po ukraińsku. Byndy we włosach, wstęgami tęczy spadały na plecy; na batystowej koszuli kaftaniczek z aksamitu perłowej barwy, suto złotem haftowany, w dziwne arabeski, jakby hieroglify, jakby w talismany, od nieszczęścia do szczęścia; sznury prawdziwych pereł, korali i między niemi sznur wielkich djamentów, zabytek wyprawy hetmanowej Skorupadzkiej, z domu Koczubejowej; spódnica z karmazynowego aksamitu, obrzucona potrójną falbaną ze złocistej lamy; fartuszek biały z muślinu, obrzucony koronkami; podpereżona była szarfą białą muślinową w złote palmy narzucaną; na nogach buciki z czerwonego safjanu, z podkówkami złotemi, wywracanemi na obcas; na głowie miała róże z drogich kamieni, w jakie się zdobią bogate Turczynki.

http://rcin.org.pl

Ale od tego stroju piękniejsza była krasa jej lica — od tych drogich kamieni jaskrawsze było światło jej oczów.

Kiedy stanął obok niej młody Zwizda, piękna to była para i do tańca i do różańca. Nawet w Pułtawie i w starym Kijowie cieszono by się taką parą.

Przyniesiono na dwóch tacach srebrnych staroświeckiej rzeźby, dwie srebrne obrączki świętej Barbary, z kijowskich pieczarów, święcone w kijowskiej Ławrze. Nie było księdza, ani popa, bo Nemolacy nie przypuszczają ich do obrzędów. Przyszła matka. Oboje młodzi przyklękli — matka z ojcem po trzykroć razy zmienili pierścienie z palców zaręczonych.

— W imię Trójcy świętej, niech was Pan Bóg błogosławi, niech wam szczęście świeci — miłość, wiara i nadzieja niech was nigdy nie opuszcza. Niech swoją trójcą będzie z wami do końca żywota, boście zmieniali wasze pierścienie w imię miłości, że będziecie ją żywili jedno ku drugiemu — w imię wiary, że ją dochowacie wzajemnie — i w imię nadziei, która w was i wiarę i miłość utrzyma. —

Zwizda był szczęśliwym, zapomniał o cygance i o wszystkich zmarach. Myśli sobie: Jak już będę jej, a ona moją, wszystkie dawne wspomnienia i utrapienia odemnie odlecą, jak odlatują gołębie od spalonego dachu, bo moje serce już będzie przez nią spalone. Ona mi będzie i zmarą i jawem, i wszystkiem. — I on szczęśliwy roił sobie, jak będzie szczęśliwym jeszcze i jeszcze!

Kuropatwa żerował między niewiastami, żeby wypatrzeć sobie jakąś czorbadżyjownę, albo sarafownę, albo po prostu jaką kozaczkę, zamożnego kozaka córę, żeby tak zrobić jak pan Zwizda, dla przyjaźni pójść w jego ślady i już przestać włóczyć się, jak się włóczą żebraki dziady.

Zaczęły się tany, muzyka brzmiała, i tropaki i hołubce; nawet hu ha! muzyce wtorowały — kiedy się wszczął zgiełk i wrzawa na ulicy: znać dano, że królewna cygańska przyjechała. Weszła, ale tym razem bez bębenka, bez grzechotek, tylko jak wielka pani, bogato przybrana, w jaskrawe barwy, cała świecąca i błyszcząca od złota i drogich kamieni: w kruczych włosach słońce djamentowe wciąż się obracało jak w sprężynie i takim blaskiem migało w oczach

http://rcin.org.pl

że wszyscy spuszczali oczy z podziwienia, jak poddani przed monarchinią; a ona witała wszystkich poważnie jak prawdziwa królowa.

Stanęła obok Praxedy i powitała ją uśmiechem — ale tym uśmiechem mroźnym, co to wszystkie inne uśmiechy i uciechy warzy i z ust i z serca odpędza — jak młody krogulec, który zleci igrać między synogarlice; on igra, ale one igrać przestają. Zmierzyła od stóp do głowy młodego Zwizdę.

— Piękna panno, to dziś twój zaręczony, a jutro twój małżonek? — I nie czekając odpowiedzi: — Ładny młodzieniec, pewnie będzie ci wierny! Niech będzie, ja ci życzę z całego serca i jeszcze życzę. Ale żeby ci jego wierność zapewnić, dam ci dar, według naszego rodu zwyczaju — ten sztylet. Mam dwa takie, oto dwa sztylety, oprawne w złoto i rubiny, misternej roboty — wybieraj!

I Praxeda mimo swej woli, jeden z nich wzięła, a królewna mówiła dalej:

— Teraz będziemy jak dwie siostrzyce: kto nam złamie wiarę, tego niech to żelazo dosięgnie. I ja wkrótce będę miała męża, do niego czy po niego jadę; wiozę mu sztylet, a ten tobie zostawiam. Niech będzie przestrogą kochającemu, a zemstą i potępieniem niewiernemu; bo kto przysięgę złamał, albo złamie, ten nie ma ani szczęścia, ani czci na tej tu ziemi; kiedy on zdradził, to go losy zdradzać będą i mścić się za zdradę, za wiarołomstwo. Jak tak cierpieć, lepiej skończyć tem żelazem; kiedy kto musi być potępionym po śmierci, niech przynajmniej nie będzie potępionym za życia. Ten mój dar i dla ciebie i dla niego. —

I tak stały obok siebie — cyganka z dłonią na sztylecie, kozaczka ze sztyletem w dłoni. Obydwie siostry pięknością i młodością, ale odmienną: słodycz na obliczu jednej, ogień piekła w oczach drugiej. Niebo ładne, urocze, duszę nieznaną roskoszą napawa; ale i piekło nie bez powabu, nieznanym ogniem serca rozżarza.

Stały obydwie — i wszyscy goście w oniemieniu stali, muzyka grać przestała i nikomu na myśl nie przychodził ani taniec, ani swadźbiane uciechy.

http://rcin.org.pl

Zwizda stał jak w odrętwieniu; oparł się o ścianę, tak, że ścianę wypierał, przygryzł usta, wpoił paznogcie w dłonie, nogi sprężył, dla nadania sobie postawy — a drży jak liść osiczyny, a serce mu dygoce nierównym pędem, w głowie jak zawrot. To ona, to taż sama, ten sam sztylet, toż samo oko, tenże sam dźwięk mowy — to ona! O niewiernym, o niewierności mówi — zbrodnię knuje, zemstę radzi! Och! to ona — biada mi, biada! — i te kilka minut wiekiem mu były, a ona nie spuszcza z niego oka, i on podnieść ku niej oczu nie może.

Praxedzie przyjść do siebie trudno, a Zairze żal się widać zrobiło młodego Zwizdy — bo dziwne serce kobiece w nienawiści, w zemście. Za zdradę, za niewiarę, jeszcze przychodzą chwile litości — i wspomnienia dawnej miłości jak błyskawice one przechodzą, ale przychodzą do serca i do duszy. Cyganka wzięła za rękę kozaczkę i poprowadziła ją do drugiej izby; a ta dała się prowadzić i z tego wszystkiego nic a nic nie zrozumiała.

Czyżyk zauważał tę jakąś nadzwyczajną scenę swadźbnego dramatu, ale ani mu do głowy przyszło wpaść na ślady prawdy; pod trop gonił, jak ogar fałszywy zławiacz, ale gonił — takiemu czasem zdarza się zwierza wypędzić. On sobie zaraz rzecz po swojemu ułożył, Cyganka na Litwie urodzona i Litwę kocha, a zatem kocha i Polskę, tak jak każda kobieta w tej błogosławionej a nieszczęsnej ziemi — z wiatrem, z promieniami słońca i brylantami rosy nasiąka miłością ojczyzny. Ona tam się urodziła, tam wychowała, kocha Polskę — a że Bóg ją obdarzył duchem znachorstwa, wiedzą podwójnego widzenia co jest i co będzie, wierzy że obecność tego Ukraińca wsławi wyprawę i polską sprawę. Więc przyszła po swojemu, fantastycznie, humorystycznie wywrzeć wrażenie na tego kozaka — i wywarła. Teraz musimy skończyć jej dzieło, kuć żelazo póki gorące. Skinął na Jeża i obydwaj postąpili do młodego Zwizdy; wzięli go za ręce po przyjacielsku, jak bracia.

— Jesteś cierpiący, ostatki choroby cię nie opuściły; szczęście wzruszenie w naturze ludzkiej sprawić musi, tak jak nieszczęście — bo to niezwykły bieg życia. —

http://rcin.org.pl

Tak mówił poważnie Jeż obywatel, a Czyżyk obrócił się na pięcie:

— Mój drogi kozaku, wiesz, ukraińskie czy tam polskie przysłowie mówi: na frasunek dobry trunek; ja dodaję: a na szczęścia zbytek nie zawadzi napitek! —

I zaprowadzili zaręczonego do stołu, gdzie były napitki, przy którym Kucz na stołku, jak Bachus na beczce siedział, a Grysza jak Eudymion brodaty i wąsaty Hebę zastępował — z butlów, z butelek, w szklanki i stakany wino i wódkę nie cedził, ale nalewał. Tam było zgromadzenie liczne. Od czasu do czasu Worona z Żukiem przystępywali, żeby się zasilić, gardłu nie dać zaschnąć. Kuropatwa piórka moczył, żeby się uniezdolnić na jutrzejszą wyprawę. Osip Siemienowicz i Dymitraki Bej, dwaj przyjaciele od serca, jak pies z kotem, nalewali w kubki srebrne wino stare, i podnosili wszystkim wyznawcom Proroka, począwszy od Mutasaryfa i Kadego, aż do ostatniego Agi i Efendego, częstując: Pijcie, to szerbet! I ci ludzie dobrej wiary, smakowali, pili i serdecznie ten szerbet chwalili. Wojskowym, choć Muzułmanom, ale wyszłym ze szkoły, mówili: Pijcie, to Bordo! Pijcie, a od razu będziecie jak pruskie jenerały; bo i oni Bordo piją, a szampana za kołnierz nie wylewają. — I Turkasze ochoczo pili, przez patrjotyzm, przez miłość sławy, żeby takim kordiałem wojskowy rozum wlać w głowę i być strategicznym i taktycznym bez praktyki, jak pruski jenerał — jak każdy Niemiec, który się do szabli przypasze.

Zasiedli we trójkę panowie Polacy; Grysza im w kociołki nalewa, bo szklanki, stakany, to dla nich naparstki. Oni praszczurowie tych, co z Władysławem Wazą i z obydwoma Sasami pili z kielicha o jednej nodze, który ludziom odbierał obie nogi. Zwizda nie wymawiał się, nie krzywił się, ani ust sobie obcierał; pił duszkiem, co mu nalewano, z takiem pragnieniem, z takim zapałem, jak Wallenrod, kiedy chciał zapomnieć o Aldonie, a pójść na wyprawę. Jeż i Czyżyk byli jego Wajdelotami; wciąż mu przypominali obowiązki, sławę, Polskę, Ukrainę i jutrzejszą wyprawę. On słuchał i pił — już mu się w głowie i w sercu kręciło, a dusza het, precz daleko leciała.

http://rcin.org.pl

Cyganka to wszystko widziała z drugiej izby. Czoło jej się rozjaśniło, wesoły uśmiech po licu przelatywał i biorąc za rękę Praxedę, prosiła by z nią razem dla pana Skorupadzkiego kozaka potańczyła, jak tańczą na Ukrainie. I tańczyły obie, tak gładko, tak posuwiście, tak zalotnie, tak ochoczo, że stary Skorupadzki o mało co w prysiudy nie posunął, a tropaka wciąż wybijał nogami, na miejscu w takt muzyki.

Ale większej części mężczyzn już nie było ani do tańca, ani do muzyki. Pijani, albo na pół pijani; jednego po drugim wynoszono z izby i z domu; do tego była służba osobna. Wynosili biesiadników i po szerbecie i po Bordzie — a wszystko grzecznie, pięknie i prawornie.

Żuk się kłopocze, co tu robić ze Zwizdą; już się nie utrzyma ani na nogach, ani na krześle; ale jego towarzysze jeszcze siedzą i piją, a tak, jakby byli po wodzie. Mówi pani Żukowej, właśnie w chwili, kiedy stawała potańczyć Byczka i Barynię, których się w Odessie nauczyła. Odpowiedziała: — Odprowadź go do domu, ja go wytłómaczę — nic dziwnego, słaba głowa! Kiedy się kto kocha, lada czem się zaszołomi. —

Żukowi odchodzić się nie chce — i gawędka i wino przytrzymują. Obrócił się do Jeża i do Czyżyka:

— Może byście panowie go do naszego domu odprowowadzili i sami się wywczasowali na jutrzejszą sprawę; tam wszystko gotowe. Sam zaraz przyjdę; muszę się jeszcze zatrzymać, obiecałem panu Skorupadzkiemu być mu pomocą — jeszcze nie wszystkich wyniesiono. —

W to i bij tym panom! Zaraz wzięli pod boki pana Zwizdę i raczej go wynieśli jak wyprowadzili z komnaty i z domu. Tylko Kuropatwa coś bełkotał pod stołem — a muzyka grzmiała i kozaczka z cyganką znowu tańcowały kozaka, na prośbę pana Skorupadzkiego. [1])

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

IX.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WYPRAWA.

Już i dzień biały i koguty od dawna pobudkę prześpiewały, a po obszarze wrzaskliwej Tulczy cicho, głucho — ledwie od czasu kto z ludzi przesunie się po ulicy i to milczkiem. Po karczmach, po szynkach, nie ma gwaru jak zwyczajnie. Między karczmarzami, między szynkarzami rozmyślanie — i kredką po stole i głową rachują, a w pejsy się drapią — istna rekolekcja w zakonach wstrzemięźliwości od wody!

Hambar, gdzie byli zamknięci Polacy, próżny — drzwi na rozcierz odemknięte i wiatr po nim plądruje — ani znaku, że tam byli. Sójka ze wszystkiemi ptakami, zwierzętami i żołnierzami uleciał, jeśli nie za morze, to gdzieś za wielką rzekę, bo z tej strony nikt ich nie zdybał, choć dniem i nocą, co godzina, co minuta, do Tulczy i z Tulczy włóczą się kozaki. Że w nocy słyszano i wycie i warczenie machiny parowej, a nadbrzeżni strażnicy wyraźnie uchem zachwycili wioseł chlupotanie i widzieli w czerni nocy czarniejsze jeszcze łodzie z ludźmi przesuwające po korycie rzeki, więc ludność, i stara i mała, która tylko rano wstawała, żeby stwierdzić przysłowie, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, ruszyła nad brzeg rzeki; ale tam już nic nie zastali. Dunaj jak płynął, tak płynie do Czarnego morza. Dunaj sławiański, chrześciański, marszczy się, że go chcą poniemczyć, oderwać od kościoła świętego Cyryla i świętego Metodego, a rzucić

http://rcin.org.pl

mu na kark odszczepieństwo Lutra i Kalwina — zrobić z niego niemotę i niecnotę. Pędzi do Czarnego morza, skryć się pod opiekę Białego Cara i modli do sławiańskiego Pana: Panie nad pany między Sławiany! Nie daj zrobić ze mnie niemoty, zachowaj mnie od tej sromoty!

Tłumy zaoskomione, ale niezadowolnione w swej ciekawości, z nad brzegu po za miastem runęły na obóz cygański; bo kiedy już sobie z rana powiedzieli, nie pracować, to trzeba w próżnowaniu gapić się z miejsca na miejsce — to, co w modnym świecie, tak dobrze paryskim, jak i bukarestkim, zowią flanować, czyli przechadzać się bez celu i wytrzeszczać oczy na wszystko, co się pod nie nawinie. Ale i obozu cygańskiego nie ma. Szatry zebrane, tylko śmietniska zostały na poznaki; to gruzy cygańskiego miasta. Ale w dali, na szlaku do Isakczy, widać tłumy i jezdnych i pieszych, a obok szlaku, po obu stronach, łowy na charty i na sokoły. Królewna rada, zadowolniona, białą bedowią [1]) po polu wywija. Czambułem [2]) cyganie płoszą zwierzynę, a tłum ciekawy biegnie za nimi i gubi się po drodze — mniej ciekawych, więcej zmęczonych. Dla tego w mieście było pusto.

Pani Żukowa przybiega do Nemolaki domu. Jeszcze Praxeda pieściła się w pościeli, cała odurzona tą wczorajszą swadźbą i tą cyganką królewną; nie spała, ale bez snu drzemała, w marzeniach, w przypomnieniach, i właśnie zatrzymała wzrok na sztylecie, darze wczorajszym, kiedy się drzwi otworzyły i weszła pani Żukowa.

Rzuciła się na łoże dziewczyny i tuli ją do siebie.

— Nie smuć się, nie płacz, moja luba! On powróci!

— Kto? — zadrżała Praxeda.

— Kto? On! Zabrali go z sobą, jużeśmy go w domu nie zastali. Ale on powróci, jak się przecuci; zanadto miał szczęścia — upoiło go szczęście i wino.

— Jakto, Zwizda pojechał? — i pobladła jak chusta — pobladła twarz, pobladły usta, a oczy były jak nieruchome ku pani Żukowej obrócone.

— Pojechał, lubko, pojechał z nimi na wyprawę. Oni wszyscy tacy; ojczyzna, bohaterstwo, to ich na kraj świata

http://rcin.org.pl

pawiedzie. Choćby w jakiem byli szczęściu, to miejsca nie zagrzewają; przy kochance nawet nie zasiędą, kiedy ojczyzna na nich zawoła. I mój Żuk taki. Czy uwierzysz temu, wczoraj chciał jechać z nimi, rwał się stary; musiałem zamknąć w alkierzu i klamkę zasunąć i jeszcze sznurem zawiercić — tak przesiedział, póki nie dano mi znać, że już pojechali. I stary Worona się zrywał, ale nie mógł się poderwać; kazał więc sobie rumianku przygotować na pokrzepienie. O, oni wszyscy tacy, czy to Polacy, czy to Kozacy! Jak zaczęli się śmiać: Jeszcześ się nie obżenił, a już w spódnicy chodzisz! Idźże tam do djabła do kądzieli, kręć wrzecionem, kiedy ci nie staje serca do wywijania pałaszem — a jak mu obiecali zajęczy omyk przypiąć do siwej czapki, jak nie pójdzie — cóż miał robić nieborak? O, ja znam tego Jeża i tego Czyżyka! Jak zaczęli gadać o patrji, tak i zabrali z sobą. Ale on powróci, niech no mu głód, bezsen dokuczy — to najlepsze rady; opamiętają — powróci! —

Mogła gadać pani Żukowa i godziny całe, bo Praxeda nie słuchała. Porwała ze stołu za sztylet i cisnęła go do serca, a nic nie mówi.

Pani Żukowa ociera skronie kolońską wódką, a ręce rozciera w swoich dłoniach, bo takie zimne jak lód — i chciałaby słówko z ust wyrwać, a nie może.

— O Boże, mój Boże, to nieszczęście prawdziwe! —

I pan Skorupadzki był zawiadomionym przez panów Woronę i Żuka, którzy także przyszli mu opowiedzieć, co się stało. Ani się smucił, ani się dziwił na tę wiadomość stary kozak.

— Gdybym był młodym, i ja bym tak zrobił. Wiem że to bańki mydlane; ale kiedy się jest wroną, trzeba krakać jak i one. Bardziej mnie to dziwiło, że taki młody, a nie czepiał się do nich, jakby od nich stronił. Ale cicha woda brzegi rwie, i to wolę; bo to te krowy, co wiele ryczą, mało mleka dają. Tylko szkoda, że nam na ucho nie po-

http://rcin.org.pl

wiedział; bylibyśmy postrzemienne wypili i jak należy z kozaczego domu wyprawili. —

I Żuk i Worona byli radzi z takiego widzenia rzeczy.

— My wiedzieliśmy dobrze, że pan to weźmiesz jak prawdziwy szlachcic polski i że tym krokiem pan Zwizda nie straci nic w pańskiem sercu, ale owszem nabędzie większej wartości.

— Dziękuję wam za takie mniemanie. Czy głupstwo, czy nie głupstwo, jak tylko polskie, kiedy można, trzeba iść do niego, gdy się nie może go powstrzymać. Z małej chmurki bywa wielki deszcz — dla czegoż z głupstwa nie może się wywiązać rozumna sprawa? Wszystko to zależy od woli bożej, od jednego nic. Ale trzeba pójść do Doni, żeby tam czego dziewczynie nie nagadali.

— Jest już tam moja żona.

— Dziękuję bardzo pani Żukowej; ale ja tam potrzebny jestem. Przyjaciele domu jesteście, to się rozgośćcie, jak u siebie — bardzo proszę, zaraz powrócę. Ojciec przy córce nie będzie za nadto. —

Wszedł do pokoju Praxedy i zastał ją w stanie odrętwienia, a panię Żukową krzątającą się koło niej. Nie moralizował, o nic nie pytał, nawet nic nie mówił; tylko wziął w stare dłonie młodą główkę ukochanej córeczki i po ojcowsku ucałował; potem złożył na swej piersi i pieścił, jak nawykł był pieścić malutką dziewczynkę. Praxeda w oczy mu spojrzała:

— Pojechał.

— Pojechał i przyjedzie.

— Ale mnie nic nie powiedział!

— Dobrze zrobił. Po co te zwody, te korowody? Przyrzekł ci wiarę i nie złamie; spełni powinność i wróci. Dziękujmy Bógu, że go męstwem natchnął, do spełniania świętej powinności, a módlmy się do niego, by go krzepił odwagą i wytrwałością i zdrowego między nas wrócił. —

I tak czule pieścił córeczkę, że ta się aż rozpłakała, i na sercu jej lżej się zrobiło. Cisnęła jednak darowany sztylet — on przysięgi nie złamie! I już się uspokoiła, i choć Nemolaczka, do Boga gorąco się modliła.

http://rcin.org.pl

Matka i pani Żukowa były ciągle przy niej. Smutek dziecka, smutek cichy, ze łzawem okiem, z westchnieniem do Boga, obudził macierzyńskie uczucie w schodzącej z tego świata istocie. Krząta się koło swojej Praxedy, jak się krzątała za dawnych czasów — i to jej dobrze robiło; odżyła. I Skorupadzki cieszył się, widząc żonę jaką była przed laty; rozmawiał z nią o córce, a pani Żukowa sama sobie powtarzała: Nie ma nic złego, coby nie wyszło na dobre! Mamy chwała Bogu znowu panią Skorupadzkę; przyjedzie pan Zwizda, będziemy mieli panią Zwizdowę, i będzie nasze kółko, nasze grono. W naturze to ludzkiej, że cokolwiek się stanie, czy źle, czy dobrze, to się cieszymy tem, co będzie — i to jest jedno z wielkich szczęść ludzi.

Przez parę dni o niczem nie gadano, tylko o sprycie Jeża, który umiał tak gracko w całym komplecie, bez braku żadnego, wyprowadzić sto i kilkunastu Polaków z miasta, gdzie jest tyle karczem i szynków, tyle żydów i żydówek! To było dzieło arystotelesowe, a może i więcej — bo pobić z garstką Polaków kupy Niemców, albo innego jakiego narodu, to nic dziwnego; to by potrafił i Kozietulski, i Strzyżewski, i Dwernicki i Karol Różycki. Ale wyprowadzić Polaków z pomiędzy karczem i szynków, żeby żaden z nich w nich nie zastrzągł, to tegoby ani pan Jurgaszka, sławny naczelnik żandarmerji, ani nawet pan kapitan Laskoś, z żandarmerji takoż, ale dragońskiej, otomańskiej, nie potrafił — raczej by sam w której z nich zastrzągł, jak tej sztuki dokazał.

A pan Jeż, wypełniając receptę polityczną pana Sroki, dokazał. I jakże dobroduszny pan Sójka nie miał być w adoracji przed takimi Metamorfozońcami! Pan Czyżyk i to podziwiał, ale wydziwić się nie mógł, jak rachunki były skończone, bez wydatku jednego feniga, i nikt dopominać się ani chciał, ani śmiał. Tak też i w Tulczy pan Worona nie mógł się nachwalić tego, co chwalił Sójka. I pan Żuk był w podziwieniu sprytu podziwianego przez Czyżyka — a gdyby pani Żukowa pozwoliła, gotów by razem z Czyżykiem po skończonej wojnie poterminować u barona Sroki tej głębokiej i ciężkiej nauki, uiszczania się z długów bez pieniędzy,

http://rcin.org.pl

bo z tą nauką można na wieczne czasy zabezpieczyć się od nędzy.

Przez trzy dni nie było żadnej wieści; dopiero nad wieczorem w szynku Abramka zjawił się sierżant Smok. Przyszedł zziębnięty, zmoczony, ale wodą; chciał kwaterkę wódki.

Zelka krzyknęła:

— Pieniądze na stół, inaczej wódki nie będzie!

— Moja ty żydoweczko, moja ty kochaneczko, cóż do ciebie przystąpiło? Wszak to ja wasz Smok wierny! Nigdzie nie smokczę, tylko u was!

— Co nam z tego! Pieniądz na stół, a wódka będzie; kredytu nie ma.

— Ależ moja kochanko, ja ci zapłacę, jak tylko żołd wezmę, a jak nie, to Sójka, albo Jeż za mnie zapłacą.

— Tak jak teraz zapłacili!

— Alboż nie zapłacili? Rachunki były zrobione, ja sam je zrobiłem.

— Zrobiliście, a kawasy kijem zapłacili i jeszcze trzeba było opłacić się słono teptyszom, żeby w kozie nie siedzieć,

— To wasza wina, a czemużeście się nie odwołali do tanzymatu?

— Żeby jeszcze posłali na wygnanie, na siurgun![3])

— Daj, żydóweczko! Złamanego szeląga przy duszy nie ma, a robak dręczy; trzeba go zabić. —[4])

Tak pięknie prosił, że Zelka w końcu możeby się i zmiłowała, kiedy przechodzący ulicą zobaczył to Żuk; zapłacił za kwaterkę gotówką, a pokrzepionego Smoka zabrał do siebie, żeby mieć pierwsze nowinki; to zawsze nowalija, a na nowalije wszyscy łasi, szczególnie w takiem miasteczku jak Tulcza.

Panu Żukowi głównie o to chodziło, i bardzo słusznie, żeby w mieście było ogólne mniemanie, iż pan Żuk wie o wszystkiem, co tylko na świecie się stanie. Wszyscy też nawykli jak kaczki na żer zlatywać do pana Żuka po nowiny — a ztąd wielka konsyderacja i niejedna dobra finansowa operacja.

http://rcin.org.pl

Smok podjadłszy i podpiwszy sobie porządnie, plótł koszałki opałki, jak na mękach; jedno drugiego się nie trzymało. Ale przyparty do ściany przez Jejmość i Jegomościa, spuścił oczy w ziemię i przyznał się, że jeszcze na statku zemknął z pokładu na dół i tam się zarył między stare żagle i inne rupiecie, bo mu ktoś na ucho szepnął, albo mu się może przyśniło, że ich chcą w ten sposób wydać Rosjamon i na Sybir odesłać. A on obawia się ogromnie zimna, zwyczajnie Smok, od tylu lat przyzwyczajony do gorąca, bo go sprowadzono z Włoch, z Kunei, gdzie był w szkole jenerała Mierosławskiego — do zamiatania i wycierania ławek. Był tedy Mierosławczykiem, a do tego ma dawne rachunki z pod Stoczka, z pod Ryczywoła. Nie chciał tedy ryczeć jak krowa, bo jakby go złapano, to by mu pewnie ryczeć kazano, a potem na Sybir. Strach to wyargumentowany zrobił, że dał fugas, chrustas — i dopiero jak statek pod Tulczę przyszedł, a zmierzchło się dobrze, hulknął w rzekę, żeby uniknąć wstydu i kozy. Przyszedł zmoczony do dobrodzieja Abramka, żeby się tam osuszyć, nie ogniem oczów Zelki, bo na to, za przeproszeniem jejmości, za stary i nie tak pierniczkami karmiony jak jegomość, ale po prostu wódką, okowitą, czy szumówką, która i ojczyznę przypomina i lepiej rozgrzewa od wołoskiego wina, bo to czysta łura. Zapewnił jednak jak najsolenniej, że jak najszczęśliwiej się dostali do lewego brzegu Dunaju i na rumuńską ziemię wylądowali, i tam muszą albo maszerować, albo wojować; a pewnie nie stoją pod gołem niebem, żeby wytrzeszczać oczy na rumuńską ziemię.

Mógł tedy pan Żuk puścić w obieg:

— Wyprawa szczęśliwie na lewy brzeg wylądowała, o tem wiem z pewnością i ze szczegółami; a teraz trzeba czekać — lada chwila będziemy mieli dalsze nowiny. —

I ta wiadomość jak prawdziwa nowina po mieście gruchnęła, bo kapitan z nikim nie komunikował się w mieście, wierny przyrzeczeniu zrobionemu pułkownikowi Jeżowi i nocą popłynął do Suliny. Mutasaryf nie posłał dowiadywać się, nawet z ukosa przez sług zakazał teptyszom i zaptiom, żeby mu żadnej wieści nie dawali; żeby w ten sposób było na

http://rcin.org.pl

jawie i oczywiście, że o niczem nie wiedział, o żadnej wyprawie nie słyszał — na wypadek tłumaczenia, jakby był do niego zawezwanym w moc kapitulacji. Pan Żuk miał tedy i zasługę i przyjemność, roznosić po świecie prawdziwą nowaliję. I kiedy z nią przyszedł do Mutasaryfa, ten zaraz przy Medżlisie telegrafował do Wysokiej Porty, z nazwaniem Żuka, słowo w słowo, tak jak on powiedział; a potem zaprosił do konaku wszystkich konsulów i ajentów konsularnych, i znowu przy Medżlisie, ale przy częstunku kawą i cygarami, prosił Żuka, by im opowiadał, co jemu mówił, i zapytywał ich, co to była za wyprawa, przez kogo i przeciwko komu; żeby go objaśnili, aby mógł donieść rządowi, przyznając się do swojej niewiedzy, a nawet z pokorą mówiąc, że zasługuje na wielką karę. Głównego teptysza i komendanta żandarmerji wsadził do kozy, do ciepłego pokoju, gdzie im na niczem nie zbywało, chyba na ptasiem mleku, bo tego i w Tulczy nie było można dostać.

Tak się zabezpieczyła władza miejscowa od odpowiedzialności, i miała słuszny powód, bo nieżarty z kapitulacjami i konsulami. Konsulowie się uśmiechali, jedni złośliwie, drudzy zdradliwie. Byli i tacy, którzy wszystkiemu dobrodusznie wierzyli; ale nikt bynajmniej niczemu nie przeczył, a kto milczy, ten pozwala. Mazbata została przez Medżlis spisaną z całego wypadku, pieczęciami radzców przypieczętowano, w dwóch egzemplarzach — jeden miał pozostać w archiwach konaku, czyli według tanzymatu, hukiumetu, a drugi posłany do Wysokiej Porty, przy raporcie Mutasaryfa. Żuk i Smok figurowali w mazbacie, a z nimi wyprawa, a zatem i polska sprawa. I to był sukces dyplomacji Sroki: w Tulczy, na Dobrudży, sprawę polską urzędownie w akta zapisano!

Nazajutrz dzień przywlokło się Wilczysko, a z nim Sikora, Zięba i innych kilkanaście ptaków, zwierząt i płazów, tej metamorfozy patrjotycznej i politycznej, a wszystkie pokurczone, pokulawione i bardzo pomęczone. Wszyscy przeklinali Jeża, jako niewojennego zwierza, a chwalili, wynosząc pod obłoki, do apoteozy, Sójkę i Czyżyka, jako prawdziwych mężów wojny, i opowiadali o strasznym boju, który można

http://rcin.org.pl

było nazwać walną bitwą, albo bojem na zabój, dla tych, którzyby chcieli koniecznie dać się zabić. Z tych wszystkich opowiadań pan Żuk taką treść ułożył:

Wyprawa wylądowała na brzeg rumuński, o kilkanaście staj, czyli kilometrów, po przebyciu ujścia Prutu do Dunaju, zostawiwszy za sobą Reni, zkąd nie była widzianą. Pan Jeż, zapewnie nie ze swojej głowy, bo z profesji był tylko poetą i agitatorem, czyli propagatorem, ale w skutek rady Czyżyka, niepospolitego strategika, obrał za szlak marszowy kolumn swojej piechoty i jazdy, smugę między Prutem a Seretem, żeby mieć podstawę operacyjną, wązką czyli małą, jak na początek wyprawy przystało, i dwie linje operacyjne, jedna prawym brzegiem Prutu, druga lewym brzegiem Seretu, a zawsze pod wodę, żeby można holować statki z amunicją i prowiantem, bez naglenia nóg piechoty, ani męczenia koni jazdy — pomału; kto idzie pomaleńku, ten idzie zdrowiuteńko. Żeby można temi linjami podać rękę dwom wyprawom pomocniczym: Prutową, korpusowi katorżników barona Sroki — Seretową, organizującym się wojskom na galicyjskiem Podolu jenerała Żółwia, Żórawia, Sobola i innych potężnych mężów wojny, pochrzczonych nomenklaturą zoologji i ornitologji. Kamieniec Podolski, Chocim i całe Pobereże były wzięte od razu jak w kleszcze, przez te dwie linje operacyjne. Był to trójkąt, z kątem przyciętym, nowego wynalazku, na podstawie Dunaju, między Prutem a Seretem; jednem ramieniem sięgałby do Chocima, drugiem do Mohilowa — i nieprzyjaciel byłby jak w matni, w lepszej, jak w trójkącie Prądzyńskiego. Czyżyk utrzymywał, że tak chodził Hanibal i krzyżackie kontury, i że on tego się nauczył nie w Żominim, ale w Wallenrodzie. Tak tedy urządził marsz wyprawy Jeżowej, żeby przeszła do potomności, jako prawidło strategicznej sztuki, nieomylne i nieodzowne — bo niedość jest, jak Dżengishan, Tamarlan, albo Napoleon Wielki, maszerować, wojować i zawojować, ale trzeba jak Fryderyk Pruski, albo Montekukuli, zostawić reguły do wojennej nauki, dla dobra ludzkości i dla rozumu potomności. Na tę wysokość wyniósł wyprawę Jeża — i miał się czego

http://rcin.org.pl

cieszyć swojem arcydziełem, bo było prawdziwe arcydzieło pomysłu.

Wysiadłszy na brzeg, obliczono się; brakło tylko jednego Smoka. Było stu sześćdziesięciu piechoty, bo przyszedł posiłek z Galacu, same Machabeuszowe potomki, ale dobrej ochoty i wszyscy ze strzelbami — i pięciu jazdy. Czyżyk jednego z konia zsadził, sam wsiadł na koń i dowodził jazdą. Z takim dowódzcą była ona jak cztery szwadrony, jak cztery pułki nawet. Konie były kosmate, kuczerawe, prawdziwe Wołoszyny. Na takich siedziała niegdyś jazda Hospodara, Hetmana Iwoni, a ani Tatar, ani Madziar nie uchodził od jej pogoni. Tak sobie powtarzał Czyżyk i wprawiał swoją jazdę do ewolucji na równinie.

Jeż wsiadł na braszowankę, którą mu przyprowadzono z Galacu, posadził obok siebie Pliszkę, poczem zdał komendę Sójce:

— Niech obywatel Sójka prowadzi wojsko w kierunku do Kostengalji, tak, ażeby pańskie prawe skrzydło mogło się oprzeć w potrzebie o Prut, a lewe pociągnąć ku Seretowi. Obywatel Czyżyk rozpuści jazdę, żeby kraj dobrze rozpoznać i dostawić wojsku żywność i furaż. A proszę, żeby była szanowaną własność cudza, żeby nie było maruderki; żeby nie stawać na odpoczynek przy karczmach, ale przy źródłach i przy studniach, gdzie nie masz nic innego do napitku, tylko woda. A proszę przestrzegać jak najsilniej konwencji mojej z Hospodarem, żeby nie było zabójstw, chociażby miało przyjść do jakiego spotkania; tak to było ułożonem z komisarzem Sroką i ze mną, dowódzcą Jeżem. —

Takie dawszy rozporządzenie, ruszył żwirówką; za bryczką biegł uwiązany koń bojowy, a dla Pliszki było włożone siodło na konia orczykowego.

Po odjeździe Jeża, Sójka kazał ponabijać broń ostremi ładunkami.

— Nabij, jucho! — krzyknął na tych, co się ociągali. — Kiedyśmy żołnierzami, to psim swędem strzelać nie będziemy, jak stare baby za piecem, kiedy się grochu objedzą; a kiedy ci ta strzelba w palce nie idzie, to oddaj drugiemu, a sam weź kija — będziesz bił, a nie zabijał. —

http://rcin.org.pl

I ci, co mieli strzelby, nabijali je na prawdę, prochem i kulami, a obywatel Sójka uczył, jak mają mierzyć.

— Mierz w połowę, w sam pępek, a w łeb wypalisz — i będzie na miejscu, bo zawsze strzelba i siła prochu, i drgnienie ręki, w górę trochę plunie. A jak będziesz mierzył w nogi, to trafisz w pępek, w brzuch nawet, będzie ranny — niepotrzebne męczeństwo; a w głowę, broń Boże, bo będzie mach mimo, i według tego nie będzie zabójstwa. A nam nie bawić się, ale bić się na prawdę, kiedyśmy żołnierzami — po strzale na bagnety, dźgać w piersi, albo w brzuch, a nie żałować ręki i skoku; przedźgać na wylot, żeby został na miejscu i nie męczył się. A ci, co nie mają broni, tylko kije, niech z niemi idą jak na palcaty, wprost w łeb między ślepie, albo na miejscu położyć, albo tak zabić pomroki, żeby można przed ocuceniem się leżącego dobić. —

Maszerowali wygodnie, pomaleńku, ze spoczynkami, a ciągle się uczyli wojennej sztuki, bo obywatel Sójka był żołnierzem całą gębą; znał swoją sztukę na wylot i jak się wziął do czego, to orał jak wół, a nie jak mucha, siedząca na wołowym rogu i brzęcząca pochwałkę: oraliśmy, albo orzemy. Obywatelowi Sójce nie zbywało ani na sumieniu Polaka, ani na ochocie wojennej.

Czyżyk ze swoją jazdą kręcił się po polach, nie jednego zająca w burzanach spędził, ale oprócz czobanów i cyganów żadnych innych ludzi w swoich rozpoznaniach nie zdybywał.

Prowiantu nie brakło; mamałyga, ser i świnina; a choć obywatel Jeż, zwyczajnie poeta i to sielankowy, do hypokreny z kastalskiej krynicy, to obywatel Sójka, sam żołnierz zabijaka, nie chciał ażeby jego żołnierze byli Filisami, Tertysami, ale głowaczami, rębaczami. Od wody stronił, a wódką szumówką i winem napawał, żeby była siła, dobra wola i otucha, jak powinna być u każdego zucha — a on chciał mieć zuchów.

Już byli o kilka kilogramów od Kostangalji, kiedy stado wron i gawronów, a nawet i pojedyncze kruki, zaczęły lecieć od Prutu i krakać. Czyżyk nie bity w ciemię, pomyślał

http://rcin.org.pl

sobie: to rzecz nie samowita — i poskoczył ze swoją jazdą w tę stronę, ale to z kopyta, jak Turcy mówią, w cztery podkowy, to jest, że cztery podkowy zaświeciły naraz w oczy. Szybko się sprawił, nie długo bawił, prędko wrócił i zawiadomił obywatela Sójkę, że od Prutu widział na własne oczy i na oczy swojej jazdy ogromne wojsko, piechoty i jazdy, a nawet zdaje się, że ciągną za sobą armaty.

Obywatel Sójka wysłuchał pilnie zdania sprawy, obejrzał do koła położenie miejsca i natychmiast sprawił szyk wojenny. Frontem obrócił wojsko ku Prutowi, oparł tył o krzaki, wszystkich ze strzelbami rozpuścił w tyraliery, z kijami ustawił w kolumnę zwodową, za pochyłością, żeby ją zakryć przed armatami; jazdę w tył za lewem skrzydłem w rezerwie, gotową na każde uderzenie. Wszystko to zrobił chłodno, bez pośpiechu, bez obawy. Wszystko szło dobrze, kiedy nadleciał z Kostengalji obywatel Jeż na koniu bojowym, a za nim obywatel Pliszka na koniu orczykowym.

Obywatel Jeż wywiedział się dokładnie od znajomego Kormeditora, że pułkownik Kalinesko wyszedł z Ismaiłowa z trzema bataljonami, przeszło dwa tysiące pieszaków, z dwoma szwadronami huzarów, żandarmów mołdawskich, do trzysta koni, i z dwoma armatami sześcio-funtowemi; że to wojsko przeszło Prut i już idzie. Przyjechał tedy stanąć na czele wojska, jak przystoi na naczelnego wodza.

Sójka i Czyżyk po wojskowemu zdali mu raporta i pierwszy z nich żądał rozkazów. Jeż na niego popatrzył:

— Widzę, że wszystko już ustawione, przystaję na to; ale gdzie ja mam stanąć? Obywatel niech mi wskaże miejsce. —

Zaprowadzono Jeża za tyralierów i postawiono za kolumną piechoty z kijami. Jeż marzy: to demonstracja w skutek umowy Hospodara z baronem Sroką; postrzelają trochę, my postrzelamy i dalej pomaszerujemy. Był pewnym tego, a jednak serce mocniej biło, może nie ze strachu, ale z wzruszenia — a tu wojsko się zbliżało. Już tyraliery rumuńskie rozsypały się przed front bataljonów i idą wprost na Polaków — armaty stanęły na pozycji, a jazda dwoma kolumnami idzie po za skrzydła, obsaczyć to małe polskie

http://rcin.org.pl

wojsko. Pułkownik Kalinesko groził armatami, szedł jak na przebój tyralierami, a jazdą osaczał — chciał co do jednego wszystkich zabrać; żeby lepiej napłoszyć, kazał strzelać tyralierom, i kulki rumuńskie gwizdnęły nad uszami Polaków. Jeż struchlał, ale z konia nie zsiadł, a Pliszka podjechał ku niemu i pokazał, że jeden z Polaków ranny czy zabity, padł pod krzakiem. Jeż litościwy podjechał ku niemu, bo obowiązek dowódzcy z obowiązkiem Siostry miłosierdzia godził, a Sójka kazał dać ognia na całej linji, i to na prawdę, na dobre.

Jak Polaczki po swojemu kulkami plunęli, tak kilkunastu Rumuńców koziołka przewróciło, i już więcej mamałygi jeść nie będą na tej tu ziemi, chyba na tamtym świecie, jeśli tam mamałygę jedzą. Wiara przypomniała sobie czwartaków, hura, na bagnety! — raczej na lufy, bo u wielu nie było bagnetów, a rezerwa za nimi z kijami w tropy — i krzyczy: hura, bij, dżgaj! I bije i dżga — Rumuni w nogi, drała w krzaki, ale niejeden się przewrócił i trzepie nogami, a wszyscy broń rzucają; armaty z pozycji nawet nie strzeliły, żeby znać o sobie nie dały — zaprzodkowały i w czwał artylerzyści uciekli z artylerją w krzaki. Wtenczas Czyżyk ze swoją jazdą, jak uderzy na huzarów mołdawskich, i oni w nogi — a on ich goni, samopiąty, jak gonił niegdyś pułkownik Berko pod Kockiem Madziarów, ale że nie było Kocka, więc Mołdawianie nigdzie się nie oparli i wciąż uciekali a uciekali.

Obywatel Sójka rozgrzał się — prowadzi wojsko na rumuńską zagładę; sam po przedzie jedzie i zachęca. Obywatel Jeż z tyłu ręce załamuje i prosi na miłość Boga, by już wszystkiemu pokój dali, boju zaprzestali, bo to przeciwko konwencji — będzie nieszczęście! A Pliszkę posyła do Sójki z prośbą, by zatrzymał zwycięskie wojsko. Pliszka dopędzić nie może piechoty, bo koń orczykowy, jak prawdziwa Pliszka, kręci ogonem i na miejscu skacze, więce zadem jak przodem.

W krzakach poprzypadali Rumuni jak zające, a mrok wieczorny zasłonił ich od dalszej pogoni. Czyżyk taką szar ż

http://rcin.org.pl

wyciął, jak Kozietulski pod Samo-Siera, choć tam nie było ani wąwozu, ani góry, ale płaszczyzna jak na dłoni.

Kilkudziesięciu trupów, cztery razy tyle jeńców, kilkaset sztuk broni, a nawet kilkanaście koni, były łupem tego zwycięstwa. Tym razem, jak zawsze, Polacy znowu pokazali, że kiedy oni wojują, to nie masz nad nich rycerstwa w świecie — to oni prawdziwe dzieci wojny, orły i sokoły; ale jak zaczną politykować, dyplomatyzować, to prawdziwe dudki. I tak też się stało.

Obywatel Jeż pojechał na noc do Kostengalji, żeby tam się wywiedzieć o wszystkiem, rozpatrzyć w wypadkach — i zaczął dyplomatyzować z Kormeditorem, z ajentem Hospodara, który tam zjechał, i z pułkownikiem Kalinesko, którego sprowadzono z pod Prutu manowcami.

Obywatel Sójka całe swoje wojsko uzbroił w karabiny gwintowe, strzeleckie, nowego autoramentu, i jeszcze miał w zapasie sto i sześćdziesiąt na przyszłe wojsko; Czyżyk miał czternaście koni na nowy szwadron. Ale biedny Zwizda, dokazując cudów waleczności na pieszo, bo mu konia nie dano, był ciężko ranny; zaniesiono go do Kostengalji i złożono w dworku bogatego Czokoja [5]), żeby go ztamtąd przez Galac odesłać do Tulczy.

Nazajutrz dzień o świcie, Czyżyk wyprowadził mnogą jazdę na zwiady, a obywatel Sójka gotował wojsko do nowej rozprawy, kiedy przyjechał obywatel Jeż i ogłosił, że z woli Niewidomego i jego komisarza Sroki musi wojsko kapitulować, złożyć broń tu w Kostengalji i ta będzie na wozy złożoną i przewiezioną razem z wojskiem na granicę i tam pod samym Chocimem broń oddadzą i wojsko pójdzie na nowe boje — że teraz inaczej nie można, bo ciągną wojska rumuńskie z Jass, z Ibraiłu, z Galacu, z Huszu i z Tykuczu, a jakby tego było nie dość, to z Kubeju przyjdzie dwadzieścia tysięcy Rosjanów. Na czas przed siłą ustąpić trzeba; zwyciężyliśmy i po zwycięstwie broń złożyliśmy, żeby można wojować wkrótce za ojczyznę.

Obywatel Jeż dziękował wojsku, kłaniał się wszystkim. Obywatel Sójka mruczał, dąsał się nawet, ale rozkaz wykonał. Broń została złożoną, a wojacy umieszczeni w cha-

http://rcin.org.pl

tach Kostengalji; tam ich dobrze karmiono i w karczmie zwycięstwo uczciwie oblewano.

Rumuńskie bataljony i szwadrony do koła Kostengalji łańcuchem stały, ale dobrze w dali od mieszkań, żeby jaka handra nie przyszła Polakom, po raz drugi pędzić ich w krzaki — bić, mordować dla zabawki, jak gdyby oni byli wrogami polskiej sprawy.

Wielu jednak z Polaków do apelu brakło; bez broni poszli w kraj, przejrzeć, co się tam dzieje — i nikt im nic nie mówił. Niech sobie chodzą, jedzą i piją, kiedy tylko nie biją — zabójstwa nie chcemy.

Tak się skończyła wyprawa, która pokazała światu jeszcze raz, co może garstka Polaków, ze śmiałem sercem w łonie, z mieczem w dłoni!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

X.

http://rcin.org.pl

I.

http://rcin.org.pl

PO WYPRAWIE.

W dodatku do tych opowiadań doszły jeszcze i pisma do Tulczy. Jedno do Worony:

Panie majorze!

Zmiażdżyliśmy Mamałygarzy na gniłe jabłko. Cośmy dopędzili, to pobili albo pobrali; a reszta, że nie było lasu, uciekli w krzaki. Było ich do trzech tysięcy wszelkiej broni, nas stu kilkunastu, ale wiary polskiej. Byłem pod Grochowem i pod Iganiami, i pod Ostrołęką i pod Warszawą, byłem pod Nowarą i pod Karsem, a jeszczem nigdzie nie widział takiego męstwa, takiego zapału z jednej strony, takiego popłochu z drugiej! I pomyślałem i zaśpiewałem: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — kiedy może mieć takich żołnierzy! Obdarte to, chyrlawe, stare dziady, pijanice nawet; ale jak hurra! — to lwy, rycerze. Niech ich djabeł bierze, takie chwaty! A twój ziemlak, Zwizda, to prawdziwa kometa! Co napadnie, to wali i pali. Jeśli macie takich wszystkich kozaków, to rodzeni bracia Polaków — szkoda że w swarze! Gdyby się z sobą pojednali, to by cały świat orężem zawojowali.

Mamy broni, ledewerków, amunicji i mundurów na bataljon cały, a koni na dobry zwód — tośmy orężem zdobyli. Ale obywatel Jeż zawarł zawieszenie i kapituluje dla jakichś tam widoków politycznych obywatela

http://rcin.org.pl

Sroki. Nie moja to rzecz, wglądać w to, co oni robią; on pułkownik dowódzca, ja major podkomendny; on każe, ja słucham i wykonywam. Szkoda, bo jeśli nie moglibyśmy dojść do Polski, bo o tem jeszcze Dawid szeroko pisał, to byśmy Multany i Wołoszę zawojowali, i tam panowali. Kraj żyzny i obszerny, lud pracowity, a posłuszny i dobroduszny; westiarija [1]) czyli skarb nie do potrącenia. Bojarowie marnotrawce; można ich wydziedziczyć pożyczką i procentami. Zaraz bym sprowadził pana Józefa z zegarkami i innemi kolofiszami; jakby nie było kogo bić, to byśmy handlowali — zamienilibyśmy miecz nie na pług, ale na kredkę, bo pan Józef ciągle powtarza: handel, handel, to bożyszcze świata! Główką i kredką prędko byśmy właścicieli Rumunów wykurzyli z ich ziemi, jak Niemcy wykurzają Polaków — i mieli nową Polskę, do dalszej rozprawy. To jest moja myśl, którą podaję pod zastanowienie Panu. Ale nie wiem, co postanowią obywatel Sroka z obywatelem Jeżem. Z wysokim szacunkiem przyjaciel i sługa

Sójka.

Drugi do pana Żuka.

Kochany mój i szanowny Żuku!

Sprawiliśmy porządną łaźnię Rumunom! Ale sami sobie winni — czego przychodzili guza szukać! U naszej wiary, co na placu, to nieprzyjaciel. Szarżowałem jak Kozietulski pod Samo-Siera, czwórkami, bo inaczej nie mogłem, mając tylko jedną czwórkę — racja fizyka, Kaśka nie ma butów, więc bez butów chodzi. Ale jakże zmykali te huzary kukurudzą pasione, to aż pfe! Ze strachu z koni spadali, ręce załamywali: Frateszti [2]) Polaki, nie bijcie, nie będziemy wojować! — Żeby nie noc, tobyśmy wszystkich wyłapali. Mam koni na szwadron cały i mogę ich mieć więcej. Mówią, że nas otacza szesnaście tysięcy Rumunesztych. Niech no by obywatel Jeż pozwolił, to bym ich przepędził na cztery wiatry i zagonił, gdzie pieprz nie rośnie. Zna teraz, a jeszcze

http://rcin.org.pl

by lepiej nas poznała Wołosza. Przypomniałaby sobie ławne czasy, że co mościpanie, to nie dominule, ani dominusy! Niech żyje polska jazda, do Stoczka, do Iłzy dodajcie Kostengalję, i zaliczcie do Dwernickich, do Różyckich mnie, twojego przyjaciela i sługę

Czyżyka.

Trzeci do obywatela Kuropatwy:

Kochana Kuropatewko!

Piszę do ciebie z łoża boleści. Ranny jestem w nogę i w lewą rękę, chwała Bogu, nie w koście, ale w mięsiwo; niech burbaczą po ranie, byle mi nic nie urzynali. Dobrześ zrobił, żeś nie purchnął z nami; i ja, gdybym miał rozum, to bym jak ty zrobił. Ale przeklęta cyganka i wino, i ten Jeż i ten Czyżyk — bogdaj ich wszyscy djabli wzięli i smażyli w piekle na rumfordzki buljon! Tego im z całego serca życzę. Wyprowadzili od szczęścia, od pięknej Praxedy, bić i jeszcze kogo? Tych poczciwych Rumunów, nie wiedzieć za co i na co! I teraz rannego Bóg wie komu oddadzą? Dobrze mi tak, żem się wdał z demokracją i z ich dyplomacją, a ojciec jak najsurowiej zakazywał. Idź do kozaków i tam się zapisz, boś kozak; idź do szlachcica, i bądź szlachcicem, boś szlachcic — a od demokracji zmykaj jak od zapowietrzonych, bo to zapowietrzeni. W ich sercach, w ich głowach, to jak po dryśliwkach; kogo złapią, to na dudka wykierują. Nie słuchałem — i na dudka wykierowali. Pooddawaj tu załączone listy, a bez straty czasu. Ratujcie mnie nieboraka!

Twój przyjaciel

Zwizda.

Do pana Skorupadzkiego:

Wielce szanowny Panie, Ojcze mój i Dobrodzieju!

Niech mi się godzi nazwać ciebie tem imieniem, mimo mojego przekroczenia. W szkole nas uczono:

http://rcin.org.pl

Święta miłości ojczyzny, dla ciebie drogie wszystkie cierpienia i blizny; dla ciebie winniśmy nieść w ofierze szczęście i życie nasze. Przykład mego ojca i twój, Panie, stały mi razem z nauką szkolną przed oczyma. Miłość czysta, miłość płomienna ku twej córce wstrzymała mnie od wypełnienia tego obowiązku. Ale kiedy wyprawa już miała wychodzić, kiedy pomyślałem sobie: córka pana Skorupadzkiego nie może ani kochać, ani szanować człowieka, który zaniechał dopełnić swojej powinności względem ojczyzny — tak mnie to zajęło, odurzyło, że bez pożegnania, bo serce moje nie wytrzymało by z żalu, opuszczać tyle szczęścia, tyle łaski, pojechałem z wyprawą, dopełniłem powinności — ranny leżę na łożu boleści. Ale nie myślę o moich ranach, tylko o mojej narzeczonej, o tobie Panie, moim Ojcu i Dobrodzieju — i czekam chwili, bym mógł jak najprędzej pospieszyć i upaść do twych nóg, i do nóg mojego anioła, mojej zaręczonej. Pełen najgłębszego uszanowania, posłuszny syn i najniższy sługa

Zwizda.

Przypisek. Pozwalam sobie napisać kilka słów do panny Praxedy.

Pani!

U nóg twoich się ścielę; przebacz, jeślim zawinił! Kozak i szlachcic Polski, jak twój ojciec, Pani, chciałem się pokazać godnym twojej miłości, twego szacunku, przez dopełnienie mojej powinności względem ojczyzny. Miłość ta niepokalana i gorąca, jaką czuję dla ciebie, rzuciła mnie na wyprawę, z przekonaniem że ten czyn twojego narzeczonego potrafi ocenić twoje kozackie i i szlacheckie serce. Serce moje dla ciebie tylko bije i ku tobie wyciągam ramiona! Przebacz i zawitaj do mnie, byśmy prędzej byli: ty moją, a ja twoim!

Zwizda.

http://rcin.org.pl

Trzeci list był do pani Żukowej:

Moja kochana Pani, moja szczególna Opiekunko!

Jak student postąpiłem sobie, i teraz za to dobrze pokutuję. Leżę jak malowany, jak związany i rozmyślam o pannie Praxedzie, mojej bogini, o Pani, mojej dobrodziejce, i o jej pierniczkach, których łaknie moje podniebienie. Mocno jestem ranny i to dwa razy, ale to nic nie szkodzi, znaku nie będzie; tylko niech łaskawa Pani będzie moją adwokatczynią przy pannie Praxedzie i z panem Żukiem, któremu tysiąc pozdrowień oświadczam, ułoży, żeby mnie coprędzej do Tulczy sprowadzić, bo spuścić się na Rumunów i na naszą dyplomację nie można; gotowi człowieka zgnoić, albo tak zatatarzyć, że go i sam djabeł nie odszuka. Leżę w domu czokoja Piotra Margueleska; zacny człowiek, ma trzy siostry, które mnie pilnują, bardzo czule. Ale kto wie, czy to długo potrwa, bo chcą nas wieść gdzieś do Fokszan, czy do Tykuczu i tam zapakować, a dyplomatycznie mówiąc, internować. Wybiliśmy tęgo skórę Rumunom, ale Bóg wie za co; dalibóg, to dobrzy ludzie i żaden z nich na polską ziemię skibą się nie worał. Nic nie rozumiem tego obywatela Jeża. W miejscu z Rosjanami albo z Niemcami, jak Don Quixote z wiatrakami, tak on z Rumunami wojował, i mówi, że tak kazała głęboka polityka. A teraz jest tam jakiś większy od niego, komisarz Sroka, który całą rzecz prowadzi. Nie wiem, co z tego będzie, ale ja chciałbym wyrwać się co prędzej z tych prawdziwych czubków, i nie chciałbym mojej zdrowej głowy, bo zdrowa jeszcze, kłaść pod ewangelję. Ratuj Pani, żebym prędzej przyjechał do zjadania jej pierniczków i ucałowania jej rączek i nóżek.

Zwizda.

Kuropatwa, choć ptak płochliwy, ale ciekawy, znalazł sposób przeczytania, co zawierały listy Zwizdy, bez uszko-

http://rcin.org.pl

dzenia pieczątek; a że w dyplomatycznym świecie i kuropatwy na rozum biorą, dyplomatyzują, myślał sobie: Gdyby tych listów nie oddać, łeb im skręcić, a puścić wieść o trzech czokojownach, Marguleskach, że niczego, że ładne nawet, a zalotne jak wszystkie Mołdawanki, wyuczone we Lwowie, albo ze lwowskich wzorów, czyli modelów — możeby to miłość panny Praxedy rozchwiało? A Francuzi mówią, że nieprzytomni i nieboszczyki zawsze winni, zwłaszcza jak ich kto będzie sprytnie oskarżał. A jakby to się udało, cóżby w tem było złego? Nie mogłem dla ciebie, ledwie dla siebie — tak się nieraz dzieje i ludzie za to nie wieszają.

Kuropatwa, przyjaciel od serca Zwizdy, już zamierzał na dobre listy zwędzić, na popiół do potażu przerobić; ale że jeszcze nie terminował w szkole dyplomatycznej, więc sumienie jeszcze skrupuły pewne miało. Nosił listy przy sobie, rachując na przedawnienie, a wtenczas prawo będzie za nim, a nie tyle przeciw niemu sumienie. Tymczasem ułożył, że będzie ubolewał, płakał nawet nad Zwizdą, przy pannie Praxedzie; o nim będzie wciąż mówił, opowiadał i przez to stanie się przyjemnym, a z przyjemności można choć pomaleńku dojść do miłości. Panu Skorupadzkiemu będzie nadskakiwał, a szczególnie pani Skorupadzkiej wygadzał; to dla niej rzadkie danie, a zatem do smaku jej przypadnie.

Ale człowiek strzela, a Pan Bóg knle nosi. Przeklęte Wilczysko i chytra Sikora rozgadali po mieście, co tylko wiedzieli o Zwizdzie i co widzieli; że przy nich pisał listy i do kogo, i że oddał Wilkowi, żeby je wręczył Kuropatwie, a ten odda, komu się co należy. To powiedziano pani Żukowej, i ta bez zwodów i korowodów Kuropatwę przyłapała i bez ogródki o listy zapytała. Kuropatwa zaczął ćwirkać:

— Tak jest, mam, oddano mi. Obawiałem się wzruszenia panny Praxedy, bo ranny; chciałem przygotować, bo to z kobietami trzeba bardzo ostrożnie postąpić. Serca filgranowe, jak z czeskiego szkła cieńkie, lada co — dzięk — i już skończono, pęknie. A ja tyle mam obowiązków przyjaźni i wdzięczności dla państwa Nemolaków, że wahałem się; ale chwała Bogu, że pani wiesz, więc się wszystkiego podejmiesz. Oto są! —

http://rcin.org.pl

I wręczył pani Żukowej. Ta i odpowiedzi nie dała, ale jakby i ona była ptakiem jakim, z domu wybiegła i poleciała do domu pana Skorupadzkiego.

Pan Kuropatwa został sam, i jak studenci mówią, stał spylony na środku pokoju.

— Oj! te przeklęte języki tych zwierząt, świerzbiły! Nie nauczyli ich, że cnota nad cnotami, trzymać język za zębami. Trzeba było trąbić o Zwizdzie, jakby to Zwizda był cesarzem Napoleonem, albo księciem Kuzą! A tak wszystkie moje plany poleciały z wiatrem, jak zamki karciane, albo popłynęły z wodą, jak zamki na lodzie. Bogdajby ich trzysta djabłów wzięło! —

Kiedy tak się działo w Tulczy, młody Zwizda w Kustengalji leżał na łożu, ale nie na łożu boleści, choć go rany bolały, bo trzy czokojki koło niego chirurgowały. Każda po kolei napawały ziołkami, karmiły dulczetami i całusów mu nie szczędziły, a jak pieszczonemu a chimerycznemu dziecku, żeby go uspokoić — żeby zażył lekarstwo, żeby leżał spokojnie i nie kręcił się, nie psuł bandaży. A każda to robiła ukradkiem jedna przed drugą, i przed ludźmi; ale każda z dobrej woli, serdecznie, bo tak cmokały, że aż Zwizdzie było słodko i lubo.

Na Multanach i na Wołoszy panny i panie, jak tylko młode i ładne, a ładnych wiele i bardzo wiele, a młodych nie mało, przy ludziach tylko kokietują, jak Francuski — a bez ludzi, na osobności, we dwoje, nie sentymentalizują jak Angielki; ale od tego zaczynają, na czem inne kończą — jednakże nie tak jak Niemki, co to niby chleb powszedni rozdają między proszących i łaknących przez miłosierdzie, żeby nie odmawiać, ot tak sobie, jakby filiżankę kawy z mlekiem — ale z urokiem, z poczuciem woli bożej, a nawet z ogniem djabłów. Och, one najwięcej przypominają Lwowianki i Galicjanki! Nie święte pańskie, ani djable dewotki, nie jawno-grzesznice, ani brudne pokutnice, nie sawantki, ani birbantki — ale kobiety w całem znaczeniu

http://rcin.org.pl

tej nazwy — takie, jakie być powinny dla szczęścia rodu ludzkiego, a nawet dla szczęścia swojego własnego.

Trzy siostry, Anna, Marja i Magdalena, jedna od drugiej o piętnaście miesięcy starsza; najmłodsza Magdalena miała lat siedmnaście. Wszystkie trzy piwnookie i ciemnowłose — nie szatanki, ale szatynki, a może i szatanki; nie małe, nie wysokie, ale bardzo składne, pulchniutkie, na mamałydze karmione. Nie były posażne w pieniądze, ale w dary boże, urody i wiek młody. U pani Kormidorowej, która skończyła wychowanie we Lwowie w jakimś tam klasztorze Wizytantynek czy Bernadynek, nauczyły się na fortepianie brzdąkać, po polsku szczebiotać i po francusku paplać, nie jak krowy hiszpańskie, ale jak dziewice rumuńskie. Chciały się nauczyć i nauczyły, jedna drugą uczyła — i mogły się pokazać w świecie, choćby w jasskich i bukarestkich salonach, nie robiąc wstydu imieniowi Marguleskich, a w Galacu i w Braiłowie na karnawale rej wodziły w tańcu i w rozmowie. Nieboraczki nie miały posagów, więc nikt nie zawitał dotąd na męża. Ale wielu a wielu chciałoby być kochankami, i to w dobrej myśli służenia ludzkości. Szkoda takiej urody, takiej krasy i takiej umysłowej okrasy zakopywać w domowem zaciszu, z kaczkami, z kurami, z przędzą i z grzędą — niszczyć dar boży, którym Bóg chciał udarować i serca i oczy ludzi. Kobieta zamężna, jeszcze na wsi, to jak umarła i pogrzebana; a szkoda, by piękność tak prędko umarła — to grzech i grzech śmiertelny; niech żyje dla ludzi i między ludźmi.

Trzy siostry jednak wianuszki za wysoko trzymały dla współrodaków, dla tubylców; bo choć to grobem zowią małżeństwo, im się chciało małżeństwa, choćby na jaki roczek, żeby potem być separatką, albo rozwódką. I to było życzenie naturalne; widziały co robią wielkie bojarynie i jak im to na dobre wychodziło. Więc i one chciałyby pójść tym śladem; wszakże i kapłani to z ambon powtarzają: że maluczcy pańscy wielkich pańskich naśladować winni. Bo wola boża objawia się najprzód namiestnikom jego — i tak schodzi po drabinie, aż do ostatniego szczebla, do ludu jego.

http://rcin.org.pl

I Annie i Marji i Magdalenie nawet, każdej się chciało mieć męża, i dla tego z Rumunami były zalotne, ale nie pieszczotne, nie przystępne. Rumuni za niemi chodzili, nadskakiwali, wzdychali, ale ani weź pójść dalej; ani lwicami zostać nie chciały na multańskim stepie, ani wstąpić do pół świata, choć błyszczącego i ciągle skaczącego. Wolały czekać na sakramentalne śluby, jeśli któremu tak przypadną do smaku, że poczuje ku nim miłość bez pieniędzy. Wtenczas się obżeni.

Ale za to wetowały sobie na cudzoziemcach, co to dziś tu, jutro Bóg wie gdzie; miejsca nie zagrzeje, jak żyd wędrownik ciągle w podróży. Z takimi obżeniać się byłby żart; ale można się kochać i całować na prawdę. To też młodego Zwizdę wszystkie trzy całowały, a każda z osobna, kryjąc się jedna przed drugą, bo to i słodziej i przyzwoiciej, a w takich rzeczach tajemnica to i podnieta i zaleta.

Jakie by nie było ludzkie cierpienie, to pieszczota kobiety je odgania; jakie by nie były myśli smutne, zagmatwane, to uśmiech kobiety je rozjaśnia, rozpędza; jaka by nie była nuda, to z przyjściem kobiety młodej, ładnej zaraz się wynosi. Młody Zwizda, człowiek jak inny, nie nowicjusz, nie świętoszek, ale Don Żuan ukraiński, trzy na raz, to mu się uśmiecha — będzie na starość o czem gadać, bawić siebie, bawić drugich. Nie myśli ani o swoich ranach, ani o narzeczonej Praxedzie, ani o zdradzonej Zairze — nie myśli o niczem w tej chwili, tylko o Annie, Marji i Magdalenie; wszystkie trzy i hoże i ładne, a każda ma coś powabniejszego jedna od drugiej — co u jednej brakuje, to druga dosztukuje, ukraińskim rozumem, kmetuje. Wybrać jednę niepodobna, boby się zaraz drugą kochać chciało; trzeba kochać wszystkie trzy razem, i inaczej nie można, a to będzie najlepiej; nie będzie ani żalu, ani zazdrości, a na trzy z bożą łaską wystarczy mi miłości — trzeba kochać wszystkie trzy razem! — I wszystkie trzy kochał i całował, i chwile mu płynęły słodko. Może czasem pożałował listów, które posłał do Kuropatwy; ale co ma być, to niech będzie, niech się dzieje wola boża!

http://rcin.org.pl

Jakaś zmiana zaszła na horyzoncie dyplomatycznym — przemiany idą po przemianach. Zwycięstwo przemieniło marsz tryumfalny w kapitulację i złożenie broni. I marsz na wozach i wozami do granicy do Chocimia, notą komisarza Sroki zmienia się na internowanie Polaków po miastach Multan i Wołoszy; wprawdzie dodaje: Tego wymagają koniecznie dziś wypadki; ale jak będzie można i potrzeba, to w mgnieniu oka wszystkich ściągniemy na granicę, na który punkt tylko zechcemy.

Jeż tłumaczy, zachęca do internacji, a sam się wybiera do Bukarestu, rozmówić się z obywatelem Sroką i z samym Hospodarem. Ale ani Sójce, ani Czyżykowi nie w to graj. Sójka wylepił oczy, już i tak na wierzch wytrzeszczone.

— Już mnie więcej nie złapią! Po jakiego djabła ja mam bić Rumunów? Dla przyjemności, żeby bić tylko? Zawojujmy kraj, to zgoda na to; ale jak nie, to podaję się do dymisji i wracam do pana Józefa do Stambułu, na nowo wezmę się do handlu i urządzania gminy robotniczej; to przynajmniej będzie z jaką korzyścią. Jutro odjeżdżam — proszę to oświadczyć obywatelowi Sroce i obywatelowi Niewidomemu; za stary jestem wróbel, żebym dobrowolnie lazł w samotrzask i z klatki kukał. —

Wyszedł, nie czekając odpowiedzi obywatela Jeża, na którą ten widocznie się gotował, bo i oczki przymrużał i brody strzępki przygryzał w zębach. Aż tu i Czyżyk wypalił jak z procy:

— I ja mam dość tego! Namówiliście mnie, rzuciłem posadę, obiecywaliście mnie gruszki na wierzbie — przyjechałem, zobaczyłem, zwyciężyłem, a teraz chcecie mnie durzyć dalej! Dajcie sobie pokój i mnie! Albo powrócę do Stambułu, albo zrobię wycieczkę do Galicji, ale swoim dworem. Bądź mi zdrów, mój ty panie Jeżu, a temu wierz, żeś nie do wojny zrodzony zwierz. Kiedy chcesz wojska na twoje prowadzenie wojny, to masz cyganów; tylko co tu przyszli z pod Tulczy, i to z królewną. Będziesz miał i żołnierzy stosownych do twego pułkownikostwa i wróżkę czy znachorkę, która obydwom wam, i tobie i obywatelowi Sroce, dyplomatycznego rozumu w głowę włożyć może; bo

http://rcin.org.pl

to licho ta wasza dyplomacja, u której po zwycięstwie następuje kapitulacja i internacja. A jeszcze lepiej byś zrobił, panie Jeżu, żebyś rzucił wojaczkę, rzecz nie twoją, a wziął się do rymowania. Jakie by nie były twoje wierszoklety, jeślibyś jak Orfeusz, naszych wrogów tak nie poruszył, żeby się każdy popruszył? Tobyś przynajmniej na zabójstwa, na internację i na śmiech ludzki dzielnych ludzi nie prowadził; pisałbyś sielanki i akrostychy, a nawet elegje i wiersze ulotne. Na tem koniec! —

Ale co najbardziej ubodło biednego Jeża, gorzej daleko, jak bodły jego kolce wrogów Polski, to było, że Sójka i Czyżyk, złożywszy swoje dymisje, złożyli zarazem nazwy ptasie, a wzięli nazad swoje nazwiska i imiona ludzkie. Klęska ogromna zadana pryncypjum Niewidomego, zasadzie jego polityki, podkopana budowa metarmofozy politycznej, i to w kraju, gdzie Owidjusz na wygnaniu pisał swoje Przemiany! Bolesna wskazówka dla Jeża i dla Sroki, że w ich wszechmocność nastąpiło zwątpienie.

Obywatel Jeż skonfudowany, i słowa nie znalazł do powiedzenia. Pomyślał: róbcie co chcecie — i poszedł do Kormeditora, gdzie obiad i wieczór dla pułkownika Kalineski i dla niego przygotowano — dla zwyciężcy zwyciężonego, i dla zwyciężonego zwycięzcy. Kormeditor, żeby pokazać że filozof głęboki i historyk szeroki, chciał sławę dwóch narodów sąsiednich oblać odobeskiem winem w jednym bankiecie.

Na wieczór zaproszono na tańce bojarów i czokojów z okolicy, z rodzinami, a w zaprosinach było wymienianem, że będzie rumuńska pułkowa muzyka, i oficerowie Polacy i Rumuni tancerze, i pułkownik Jeż, dowódzca siły zbrojnej polskiej, i pułkownik Kalinesko, dowódzca siły zbrojnej rumuńskiej — a wszystko to się odbędzie w gmachu pana kormeditora Paczuleska, bojara pierwszego rzędu.

Panny Marguleskie, Anna, Marja i Magdalena, postroiły się w białe muszlinowe suknie, na wierzch różowych atłasowych; falbale bogate napstrzone ponsowemi granatami, szarfy ponsowe ze złotemi frędzlami, a we włosach czerwone kamelje i na szyi korale ze złotemi medalami. Bardzo im w tych sukniach jednakich było do twarzy.

http://rcin.org.pl

Każda jedna po drugiej z kolei przyszła do chorego, obwieścić się, że na bal idzie, że tam długo siedzieć nie będzie, bo ją bal nudzi, i przyjdzie wcześniej, nim się on jeszcze obudzi — popieściła, pocałowała raz, drugi i trzeci, pocałunków nabrała, co niemiara, a potem jak ptaszka wyskoczyła z komnaty, trzepiąc się, poprawiając fałdy, składy, szczęśliwa, uradowana.

Tak zrobiła Anna; za nią toż samo powtórzyła Marja, i jakby lekcje od starszych sióstr odebrała, słowo w słowo, pocałunek w pocałunek, toż samo uczyniła i Magdalena — jeśli grzesznica, to bardzo młoda jeszcze.

Zostawiono przy nim starą cygankę, która wszystkie trzy panienki wychowała i kochała jak swoje własne córeczki, i starego cygana, wiernego sługę ojca czokoja. Zwiździe nakazano, by spał spokojnie, spoczywał, nabierał nowej siły, a cygance i cyganowi, by dobrze pilnowali, by mu spać nie przeszkadzano — i poleciały jak na skrzydłach na tańce, bo już muzyka grała.

Balik wcale był przyzwoity, pokoje dobrze oświecone, posadzka wywoskowana, meble dobrego smaku i dobrze ustawione — było gdzie i siedzieć, było gdzie chodzić, jak kto chciał. Pani Kormidotorowa, jak prawdziwa Lwowianka, wygnała z salonów to koło, koło wielkich stołów, dobre do kościołów, na ambony, żeby jeden gadał, drudzy słuchali, a więcej poziewali z nudów; wygnała te rzędy krzeseł pod ścianami, dobre do przeglądu martwych figurek, a nie do zabawy żyjących. Wiankami stały fotele i rozmaitych nazw i form siedzenia, małe stoliki. Kto chciał, to ten z tym siadał, do rozmowy, czy do innej zabawy. Tak urządziła, żeby się każdy bawił, a nikt nie nudził. Jakieś francuskie przysłowie, widać stare z czasów rycerskich i myśliwskich, mówi: Poznasz rozum pana po sposobie palenia w kominie — bo po bojach, po łowach, zwłaszcza w zimie, każdy szedł do komina. Jets w tem prawda, ale większa prawda, po urządzeniu salonu poznasz, jaka jest jego gospodyni. Mołdawianka wychowana we Lwowie, była w tem urządzeniu arcymistrzyni. To też wszyscy u niej wesoło się bawili.

http://rcin.org.pl

Nawet Sójka i Czyżyk, już pod swojemi nazwiskami, bynajmniej się nie dąsali, ale rozmawiali grzecznie i uprzejmie.

Bufet był zastawiony smacznie, przekąsek podostatek, a wina i to dobrego, krajowego i zagranicznego, do sytu. Panowie oficerowie dwóch wojsk, wczoraj wojujących, a dziś się ściskających, popijali sobie i rozmawiali jak bracia.

Jeden jakiś kapitan, taki z samego z Bukaresztu, bojar z wysokiego rodu, wychowany w Paryżu, który zwiedził wszystkie stolice całej Europy, poprawił sobie wąsik:

— Tęgoście nas wyprażyli; jak Francuzi mówią, przypłaszczyliście nam szwy! Ale temu się nie dziwujcie; jesteśmy oficerami do kontradansa, trochę do szampana, trochę do landsknechta, ale nie do pola, nie do wojny — to nie nasza rzecz. Sprawiliście nam frycówkę; nauka nie pójdzie w las. Ale chwała Bogu, żaden oficer ani zginął, ani postrzelony; pobito, poraniono samych ciurów żołnierzy. Toście dobrze zrobili i za to wam dziękujemy. —

Stary porucznik Swierszcz, polonez jeszcze z konstantynowskiej armji, z nosem sino-karmazynowym, upstrzonym pryszczami, jak brylantami, dobrze podchmielony, uściskał kapitana:

— Daruj bracie, darujcie bracia! My was przepraszamy. Czegoście tak uciekali? Żebyście byli stali, to byśmy was poznali, rozmówili się i pobratali jak dziś; a tak ze smutnemi twarzami, ani z plecami mówić nie można. Trzeba było bić; może trochę i nasza wina, ale wasza większa; djabeł że tam wiedział, kto wy tacy! Uciekają, goń i bij, żeby ich poznać, i tak niestety stało się. Darujcie bracia; my wolimy z wami jeść i pić, jak was bić! —

I w szklanki nalewano i zdrowie po zdrowiach wypijano.

— Zdrowie walecznych Polaków, naszych mistrzów w sztuce wojny!

— Daj Boże, żeby uczniowie wyrównali mistrzom i przeszli ich nawet! —

Sowa, choć podporucznik, mądra głowa, bo wyszedł z nowicjatu pijarskiego, żeby się douczać w Kunei na naczelnego wodza, odkrząknął:

— Disce puer, ego te face, mościpanie! Ucz się

http://rcin.org.pl

dziecię, a ja cię zrobię mospanem! Tak mawiał nasz Stefan Batory Wielki, a on był Rumunem z Siedmiogrodu; uczył się i został królem naszym — i zawsze tak mawiał do dzieci w szkołach, bo nauka do wszystkiego doprowadzi. Uczcie się, a będziecie jak Batory! Wasz ród był sławny w wojnie; czyście zapomnieli Huniada, którym się chwalą te świszczypałki Madziary jak swoim, a on był Rumunem. Nie traćcie ducha i otuchy, a będziecie wojakami; tylko się uczcie! —

Rumuni go ściskali i w górę nim jak piłką podrzucali. Hura, hura! Niech żyje Sowa, niech żyją Polacy!

Dwaj pułkownicy, Jeż i Kalinesko, za ręce się trzymali, jak dwaj bracia rodzeni, i to bliźniaki, nie tylko krwią, ale sercem. Jeż brodę gładzi:

— Nie frasuj się, pułkowniku! Pierwsze kotki za opłotki; na drugi raz lepiej pójdzie.

— Nie mam czego się frasować, bo mówią, że za jednego bitego dwóch niebitych dają i jeszcze nie biorą. Wyście nas wybili, to teraz dwa razy tyle warci jesteśmy jak pierwej. —

Uściskali się oni, naczelnicy, a że byli tancerze, więc poszli obydwaj w taniec, kontradansa, jeden przeciw drugiego — Jeż z Kormeditorową, a Kalinesko z Bojarową, z rodu Staszów.

Tańczono różne tańce, a żwawo, a ochoczo — i w tańcu Wołosza szła górą; nawet w Paryżu choćby cesarskie salony by nie powstydzili — i cesarzowa Eugenja by musiała przyznać, że zgrabni tancerze. Górą Wołosza w tańcu, aż miło patrzeć. A Polaki jak pokraki, w walcu się plączą noga za nogę, w kontradansie bałamucą figury, a w hołce czy w czardaku liczą w głos po niemiecku: ajn, cwaj, draj, jak w szkole żaki; ledwie dziesiąty jako tako tańcował po ludzku. Ale kiedy stanęli do mazura, to jakoś im się koście wyprostowały. Wstrzęśli czuprynami, jak arabskie dżamety grzywami; jak ucięli w hołubce, to jak z bicza klaskało po komnatach, a jak uderzyli tropaka, to posadzka drżała i serduszka pań i panien dygotały. Pani Kormeditorowa i trzy panny Marguleskie w obertasach — tak niemi miotają na wszystkie strony, że aż miło; hasają, a rade, bo kobiety hasać lubią, zwłaszcza kiedy niemi kręcą to tędy, to owędy,

http://rcin.org.pl

to w objęcia lecą, to znów w pole odskakują. I w mazurze jak w boju Polska przeszła górą; stąd wniosek zrobiono, że Polacy powinni tylko wojować, albo mazurka tańcować.

Tany szły po tanach — serdeczna pohulanka, jak mówią na Ukrainie, siarczyście się bawiono. I trzy Rumunki o chorym zapomniały; już i kury prześpiewywały na dobry dzień, a kogut piał jak najęty na trębacza pobudki dniowej, a one jeszcze o powrocie nie myślały; jedna na drugą spoziera, a żadna nie śmie powiedzieć: czy pójdziemy? Rój oficerów koło nich się kręci, śliczne słówka do ucha szepcą — jeden bierze do tańca, a drugi do przyszłego zamawia; spoczynku, wytchnienia nie dają, bo one powabniejsze nad wszystkie — trzy siostry, trzy czarodziejki, górą idą nad wszystkie panie i panny. Nie nudzą się, bawią, bo jak tylko kobieta na balu nie jest zapomnianą, nie jest opuszczoną, to jej szczęście, to jej raj.

Już dzień biały — i słońce się pokazało, goście się rozjeżdżają, jedni po drugich, a one jeszcze tańczą ostatniego mazurka, jak mówią, na waleta, czy na waletę.

Już i obywatel Jeż i pułkownik Kalinesko siedli razem do kołaski, do której naczepiano ze dwadzieścia koni — i z pięciu pocztyljonami, z krzykami, z trzaskaniem batogów popędzili żwirówką do Bukaresztu.

Mazurka kończono i nareszcie zakończono.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XI.

http://rcin.org.pl

IX

http://rcin.org.pl

JESZCZE PO WYPAWIE.

Razu jednego, nie wiem w jakim kraju i w jakim czasie, dzieci śliczne, grzeczne, miały ładnego ptaszka w klatce, szczygła czy gila, ale bardzo ładnego, który i śpiewał i gwizdał. Na niczem mu nie brakło; mak, proso, czysta woda i cukier między drutami klatki. Jedne po drugiem dzieci do niego przybiegały, rozmawiały, pieściły i całowały; były szczęśliwe tym ptaszkiem, i ptaszek był niemi szczęśliwy. Jednego dnia poszły wszystkie dziatki zrywać jabłka i inne owoce, dłużej jak zazwyczaj się zabawiły, i kiedy powróciły, zastały klatkę, ale nie zastały ptaszka w klatce. Rozpacz była wielka; jedno płacze, drugie ręce łamie, trzecie rwie włosy na głowie. Po pokoju szukają, nóżkami tupają, a ptaszka jak nie ma, tak nie ma. Wybiegły na podwórze, na drzewa, na dachy wzrokiem rzucają, każdemu ptaszkowi przelotnemu w oczy zaglądają — to nie on, to nie on, to nie nasz — i znowu płacz i żale.

Tak było z Anną, z Marją i Magdaleną. Izba tak jak była i łóżko zasłane, a Zwizdy nie ma. Stara cyganka drzemie przy ciepłym piecu; cygan skurczony w kłębek śpi u odźwierka i chrapie. Budzą ich — oni oczy przecierają, gęby rozdziawiają, ale nie wiedzą co to się stało. W balowych strojach wybiegły dziewczyny na podwórze, do sadu, na ulicę, szukają, hukają, w oczy przechodzącym zazierają; ale to nie on — jego jak nie ma, tak nie ma, i nikt nie umiał powiedzieć, gdzie się podział.

http://rcin.org.pl

— Taki chory, taki ranny, nie ma siły — co się z nim stało? Biedaczek, może w malignie wyleciał w pole — Prut niedaleko. O Boże mój, Boże, zlituj się nad nami! —

I każda powtarzała taką litanję, z czystego uczucia litości ku bliźniemu; bo serce kobiety to bezdnia dobroci, ono tylko w czynie święci: kochaj bliźniego jak siebie samego — nie czyń bliźniemu co tobie nie miło — łaknącego nakarm, pragnącego napój — rany serca i rany duszy namaż balsamem czułości i miłości, czystej, niebiańskiej, bo Bóg w swej łasce namazał niewiastę na opiekę, na pociechę ludzkości. Nic więc dziwnego, że one namazanki boże, tak gorąco pełnią swoją powinność.

Kiedy tak trzy siostry na wszystkie strony uproszonych gońców słały, i Rumunów i Polaków, i same biegały, z żalem, z płaczem, ale bez tracenia nadziei, przed dworek Czokoja zajechała bryka kryta, najtyczanka czy braszowanka. Cztery konie gniade, czarno-grzywe, podkasałe, trochę kościste, ale ogniste, silne, zwyczajnie stepowe, w lekkie szleje parciane przybrane, a u podbródka dzwoneczki, wciąż dzwonkały: dzeń, dzeń, dzeń! Żyd brodaty, pejsaty, jak szerszeń rudy i czerwony na twarzy, z kaprawemi oczyma, a z nosem rozdwojonem od jakiejś przygody, jak cwajnos, furmanował i biczem świstał po nad końmi. W bryce siedział jegomość w siwych krymskich baranach, podbitych pod węgierkę, z granatowej sajety, o brandeburach czarnych jedwabnych i ze sznurem jak akselbanty, dla górnej fantazji, a obok niego jejmość w szubie szafirowej aksamitnej, podbitej tumakami pierwszego rzędu, obwinięta w szal koziopuchowy, barwy amarantowej. U jegomości na głowie siwa kapuza z barana, z uszami, jak czepiec niewieści; u jejmości modna czapka z aksamitu; na bakier, z czaplemi piórami; widać że ona hetmani. Pod nimi i koło nich pełno betów, przykrytych kocami; a sługa, kozak w kożuchu, siedział na przodzie przy furmanie. Stanęła bryka przed samym gankiem; ze spienionej czwórki opar obwiał wszystko do koła.

Wszystkie trzy panny, po balowemu jeszcze strojne, wybiegły przeciwko gości nieznanych sobie. Myślą biedaczki: może przejezdni litościwi znaleźli w polu naszego chorego

http://rcin.org.pl

i tu przywieźli; bo dobrzy ludzie są jeszcze na tym świecie. Gdyby przyzwoitość była pozwoliła, byłyby wskoczyły do bryczki i szukały zguby między betami; bo pewne były, że tam go schowano dla wygody i ciepła. Ale przyzwoitość nakazywała stać, więc stały. Wylazł z bryki jegomość za pomocą sługi kozaka, a potem obydwaj ze sługą kozakiem wysadzili jejmość. Jegomość rozwiązał uszy kapuzy, jejmość trzepnęła się dla poprawy stroju. Wtenczas dopiero jegomość ukłonił się grzecznie, jejmość dygnęła, i zapytał:

— Czy mamy honor być w domu u pana Margulesko?

— Tak jest — grzecznie odpowiedziały wszystkie trzy panny, i choć zasmucone, z przyśmiechem bardzo się pięknie kłaniały. Były pod bronią, bo kobieta jak żołnierz, kiedy pod bronią, nie pokaże nic innego na twarzy, tylko to, co regulaminem przepisano.

Ale goście nie wchodzą, gospodynie nie proszą, wszystko na ganku się trzymało. Nareszcie panna Magdalena jako najmłodsza, więc najśmielsza, odważyła się:

— Czy nie ma nikogo więcej w powozie?

— Nie przywieźliśmy tu nikogo, piękna panno, ale przyjechaliśmy zabrać. —

Posmutniały panny, ale gości wprowadziły do komnaty.

Tu dopiero zaczęły się prezentacje: Pani Żukowa, pan Żuk — panny Margulesko — i zaraz zapytania o zdrowie pana Zwizdy, czy można go widzieć; że przybyli uproszeni przez państwo Skorupadzkich, z których córką pan Zwizda zaręczony, żeby go zabrać, jeśli można, i zawieźć do Tulczy.

Panny pokraśniały, łzy im w oczach stanęły i opowiadały nieszczęsną przygodę. Niewiasta niewiastę zawsze zrozumie. Pani Żukowa popatrzyła na lica dziewic, na ich oczy, i wnet poznała żal głęboki, niepokój, trwogę; poznała, co się w ich sercach działo. Ale pan Żuk, mężczyzna, ze słowiczemi słowami, ale z lisiemi myślami, pocieszał, niepokój odganiał, nadzieję rozniecał; jednak myślał w sobie: Takie młode, a takie franty! Nie byłyby Rumunki; schowały chłopca, bo się im podobał, i chcą w nas wmówić, że ranny, nie mogący się na łóżku obrócić, zerwał się jak szalony i poleciał gdzieś w polach wiatry gonić. Dobrze to na wsi durzyć sielaków

http://rcin.org.pl

ale nie nas mieszczuków. Znamy się my na farbowanych lisach i na pannach, co chłopców chowają! Nie pierwszy raz to dla nas takie sprawki. Przypominał sobie owe błogie czasy, kiedy jeszcze był kornetem czy kornietem ułanów, wysłany przez swojego pułkownika, żeby schwytać jednego rzezimieszka, ładnego chłopca i szczegoła czyli trefnisia, który znaczonemi kartami i woltami wszystkie pieniądze z ułańskich kieszeń wyciągał i bałamucił wszystkie panny i mężatki, któreby ułani mogli bałamucić. Kornet znalazł ślad i śladem doszedł do domu jednej pięknej pani; dom ułanami otoczył, do domu wprowadził ułanów po wszystkich kątach i zakątach szukali i nic nie znaleźli. Sama pani siedziała w salonie, w czeskim fotelu, w modnym kaszmirowym szarafanie; nie wstawała z miejsca, bo miała migrenę, głową tylko skinęła i pokazała kornetowi, żeby siadł. Kornet komplementa prawił, a oczkami na szarafan i na nóżki strzelał, bo były kształtne i małe. Nagle zaczął prawić afekta miłosne pięknej pani i obcesem padł jej do nóg. Pani krzyknęła, omdlała, a on uchwycił za nogi, ale nie pięknej pani, lecz trefnisia nieboraka i wyciągnął go jak niepysznego z pod spodnicy szarafanu i zaprowadził do pułkownika.[1]) Myślał Żuk: kiedy to zrobiłem, będąc kornetem, dla czegoż bym nie miał wyciągnąć z pod jakiego szarafanu Zwizdę, kiedy jestem majorem i aptekarzem rządowym? Otrzepał się, opylił, i poszedł do Kormeditora i na wieś, poszukiwać Zwizdę, a szepnął żonie na ucho, żeby miała piękne panny na oku.

Kormeditor, chirurg, doktor i wszyscy Polacy dziwowali się temu zniknięciu. Wprawdzie kość nigdy nie była przebitą, ani nadpękniętą; ale miękiesz był uszkodzony, tak szarpiami założony i obandażowany, iż było niepodobieństwem, aby mógł wstać z łoża o swojej mocy, a tem bardziej dwa kroki zrobić — to niepodobieństwo! Chyba że był przez kilku ludzi podniesionym i na noszach zaniesionym w jakie miejsce. Na takie zadecydowanie doktora i chirurga, pan Kormeditor kazał zaaresztować starego cygana i starą cygankę i przyprowadzić do indagacji. Żonę zaś posłał do panien Marguleskich, żeby w dobry sposób mogła wybadać o wszystko, żeby to się obeszło bez trąb i bębnów, po

http://rcin.org.pl

przyjacielsku, jak między swoimi. Gdyby nawet był i grzeszek jaki, to się pokryje, dla dekorum, dla przyzwoitości i dla dobra społeczności. Pan Kormeditor nie szaławiła, nie świszczypałka, umiał pobłażać drugim, bo chciał żeby i drudzy pobłażali; dobry chrześcianin i Rumun dbały o dobrą sławę Rumunek, bo to matki i żony Rumunów; a jeśliby pozwolił na nie rzucać kamienie, kamienowałby cały lud rumuński. Urząd tedy swój sprawował i rozważnie i przykładnie.

Oficerowie rumuńscy zdali raport, że wojsko, które jeszcze dotąd stoi gęstym łańcuchem czyli kordonem w około Kostengalji, nie widziało żadnego rannego, ani na noszach, ani na wozie, ani w powozie; a dobrze patrzyli i ściśle pilnowali, zbliżali się do każdego przejeżdżającego — tylko zmykali od pieszych, bo to mogli być Polacy, żeby uniknąć nowych zatargów; bo jakby przyszła tym wojakom handra, machać kijami, choć bez broni, to by znowu trzeba było uciekać i broń rzucać. Sąd rumuńskich żołnierzy był rozważny, głębokiego namysłu, praktyczny; nie można mu było nic zarzucić.

Pani Kormeditorowa tyle się dowiedziała, co i pani Żukowa. Panienki płakały rzewnemi łzami, żałowały że im zabrano chorego, żałowały wszystkie razem, bo to było i kobiece zatrudnienie i zasługa przed Bogiem, a dobre imię przed ludźmi. Pielęgnować rannego, i to jeszcze przez rumuńską wojenną siłę, to szlachetność patrjotyczna, łacińskiego rodu, nie szwabskiego. A one Rumunki, ród łaciński, żałowały, każda z osobna, że zaręczony; bo każda sobie myślała: może to dla mnie był przeznaczony mąż. I żal był rzewniejszy i łza obfitsza, tak, że serca pani Kormeditorowej i pani Żukowej szczerze nad niemi się litowały i obydwie poszły razem zakląć się i przysięgnąć nawet przed Kormeditorem, a jeśli trzeba, przed urzędem, że trzy siostry nic nie wiedzą i że gorzej od wszystkich tą stratą się biedzą, że nic nie winne, a ta strata ich mocno boli.

Od cygana i cyganki nic się nie dowiedzieli; przysięgali na cygańską wiarę, że póki czuwali, nic nie widzieli, tylko śpiącego chorego; jak się zdrzemali, żadna im zmara nie

http://rcin.org.pl

stanęła przed oczy, a jak ich obudzono, to już chorego nie było w łożu. Nie mógł wzlecieć do nieba, bo w dachu nie znaleziono żadnego otworu; ani być porwanym do piekła, bo żadnej dziury w podłodze nie odkryto; jeśli wyszedł albo go wyniesiono przez drzwi, to musi być między ludźmi.

Kormeditor w głowę zachodzi; zawsze to człowiek zniknął; wprawdzie Polak, ale i to istota boża, zresztą internowany, ranny przez Rumunów, jedyne trofeum waleczności rumuńskiego wojska. Jakby to było dobrze, pokazać go księciu Kuzie, żeby widział na własne oczy, co może broń rumuńska w dłoniach jego falangji. Strata tedy niepowetowana, jeśli się nie znajdzie. Zachęca pana Żuka, żeby poszukiwań nie poprzestawał i pozostał na czas jakiś w Kostengalji, dawał rozkazy i rozsyłał dorobańców i szpiegów na wszystkie strony.

Oficerowie rumuńscy, szczególnie młodzi, panu Żukowi potakiwali: panny chorego przechowały. Myślą sobie: jak my ich okrzyczymy, to rade nierade będą przystępniejsze; nie będą się drożyły jak teraz drożą. Nie robili tego przez złe serce, ale żeby swego dopiąć. I o Zwizdzie ukraińskim już opiewano jak o Tesalskim Achilesie: w spodnicy chodzi, w krosienkach haftuje; trzeba jakiegoś Ulisesa, żeby go wydobył z tego tajemniczego babińca. I pan Żuk wdział koturny Ulisesa.

Pan Żuk przyjął na prawdę udawanie Ulisesa, ale czy pan Zwizda był tym drugim Achilesem, tego nie wiadomo.

Tymczasem w Bukareszcie, w tymże samym francuskim hotelu, w tejże samej komnacie, przechadzał się komisarz Sroka po tej komnacie, zwolna; z nogi na nogę, jeszcze wolniej zacierał rękę o rękę, a oczami manewrował, to przymykał, to otwierał, to w górę wznosił, jakby Boga o coś prosił, to z szyderskim uśmiechem ku ziemi spuszczał, jak gdyby djabła kokietował i wołał go do siebie ku pomocy, a w zwierciadła ciągle się wpatrywał, rad z siebie.

Przy kantorku siedział sekretarz Skrzynka; jedno pióro miał w palcach, drugie za uchem; przed nim papier i kałamarz. Czekał a ucho nastawiał.

http://rcin.org.pl

Sroka dyktował raport do Niewidomego:

— Znowu ponieśliśmy klęskę przez nieroztropność obywatela Jeża! Właściwie zalecał Tajlerand podwładnym dyplomatom: Tylko nie używaj zanadto gorliwości! Nie raz, nie dwa, ale z tysiąc razy powtarzałem to obywatelowi Jeżowi — nadaremno! Ułożyłem z Hospodarem marsz tryumfalny do granicy, na piśmie w tym względzie zawarte były między nami pacta conventa. Zastrzeżonem było jak najsolenniej, że z naszej strony nie będzie żadnej bójki na prawdę, żadnego zabójstwa. Dałem mu trzydzieści tysięcy rubli srebrnych na wyprawę, jakiem to donosił, z dołączeniem kwitu Jeża; posłałem przez ajenta pewnego sześćdziesiąt tysięcy rubli do Akiermanu na wyprawę katorżników: pieniądze zostały wręczone, na co kwit załączam. I odebrałem zapewnienie, że wszystko gotowe i wyruszy do Michalen na pierwsze zawiadomienie. Przeprawa przez Dunaj poszła wyśmienicie. Wysoka Porta, stosownie do przyrzeczenia mi danego, nie tylko że nam nie przeszkadzała, ale jawnie i otwarcie pomagała. Ten stosunek mój osobisty z Sadrazamem, z Reis-Efendym i z Szeik-Islamem, jest nadzwyczaj ważnym dla naszej sprawy i powinien wykazać moją zasługę widomą w oczach rządu niewidomego. Wszystko szło jak najlepiej. Ale obywatel Jeż, wyznać muszę, i to jest moim obowiązkiem, gorące serce, ale bardzo słaba głowa. Z wojskiem uzbrojonem, bo wszyscy uzbrojeni byli od stóp do głów, bronią, którą sprowadziłem z Wiednia przez Stambuł i za którą gotówkę zapłaciłem, jak to kwit wykazuje — z zapasem broni i amunicji, w które był opatrzonym — przez jakiś szał niepojęty, który zwykle napada niewytrawnych ludzi, wdał się w bitwę z rumuńskiemi wojskami, które przyszły asystować i przypatrywać się naszemu ceremonialnemu marszowi. Obywatel Jeż stracił głowę do reszty, dał się bić, a sam nie dowodził. Wojsko nasze bez wodza, pobiło Rumunów, ale to tak, że trzy tysiące z armatami uciekło przed naszymi wiarusami. Po zwycięstwie można było traktować i tak było potrzeba, bo były bagnety na poparcie naszej woli, ale obywatel Jeż stracił głowę zupełnie. Kapitulował, broń złożył, zmarnował tyle broni, tyle kosztów —

http://rcin.org.pl

i mnie doniósł za późno, już po harapie. Musiałem wysłać do Akiermanu, żeby wstrzymać katorżników — nowy kłopot i nowe koszta, lecieć do Hospodara i ledwiem go udobruchał, że zabranie w niewolę przerobiłem na internację, a zabranie efektów na sekwestrację. I to był wielki sukces dyplomatyczny, bo w ten sposób znowu stanęliśmy na nogi, do nowej wyprawy. Tylko trzeba pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy, o których przysłanie jak najśpieszniejsze proszę, ale w złocie lub w srebrze, na bankiera pewnego, tylko nie w papierach rządowych. Śmiem przedstawić moje zdanie, żeby takich ludzi, jak obywatel Jeż, do podobnych służb nie używać, bo tacy wszystkiego się chwytają, a przez niezdolność wszystko psują. Nam trzeba żołnierzy i to dobrych i wprawnych, którzy się znają z wojną i wojna z nimi zna. Jak tylko będę miał przyzwolenie rządu, zaraz się udam do Stambułu, zawezwę tam jenerała Indyka drugiego i tam zabierzemy oficerów i żołnierzy z Kozaków i Dragonów niby polskich, niby sławiańskich, niby chrześciańskich, ale wyrobionych, wprawnych i dzielnych. Z takiem wojskiem można wojować, nawet Indyk drugi je poprowadzi. Do zdezorganizowania tych pułków będziemy mieli pomoc katolików i katoliczek, wszystkich Polaków zawistnych, że ta garstka tak długo się trzyma w czci i w sławie, i że jej wartość ciągle się zwiększa — całą dyplomację bez wyjątku, której to wojsko kością w gardle stoi, bo wznieca słuszną obawę, ażeby te pułki powiększone i pomnożone nie nadały wielkiej siły i potęgi Wysokiej Porcie i nie przygarnęły na dobre Sławian południowych do Sułtana, co wcale nie jest w interesie opiekunów Otomańskiego państwa. Będziemy mieli i wszystkich i wszystko za sobą wojsko do wyprawy — i jak się nam uda rozbić zupełnie te pułki, to zaskarbimy sobie na przyszłość względy dyplomacji, bo zniszczymy tę mrzonkę, skonfederowania Sławian pod lennictwo Sułtana, jako pochodzącego po kądzieli z rodu monarchów sławiańskich, i tę drugą, zrównanie Chrześcian z Muzułmanami przez prawo noszenia broni i służenia wojskowo Sułtanowi, co by dało miljony dzielnego i dziarskiego żołnierza. Mrzonki te my tak zowiemy, ale to nie są mrzonki; jedną i drugą pułki

http://rcin.org.pl

przedstawiają na jawie i dobrze przedstawiają. Za taką usługę szczególniej od Niemców, możemy wyfacjendować, bo trudno wywojować, ziemie ojców naszych za posiadłości Sułtana, które im w ręce oddamy. Nie przyznaję się do pierworodności tej myśli; była ona wielkiego komtura, który jest słońcem naszej dyplomacji. Przeszkodził jej uiszczenie szlachcic, typ Doroszenka, czy Chmielniczenka, przez honor kozacki, przez wdzięczność dla Sułtana, uczucia niedzisiejszego wieku. I dobrze powiedział jeden z naszych dawnych jenerałów, że ten szlachcic powinien był narodzić się trzysta lat naprzód, albo trzysta lat później, bo nie wiemy co będzie, a nie teraz, w wieku Napoleona trzeciego. Wysoka Porta da wszystko robić jak zawsze, żeby nie mieć kłopotu i nie skompromitować się; dyplomacja nam dopomoże, nawet ta, co nas wojuje, bo na jej kamień będzie szła nasza woda. Winniśmy myśleć nie tylko o dzisiejszem, ale i o jutrzejszem, stworzyć sobie politykę, którą niestety bardzo rzadko mieliśmy, i to skokami, a nie chodem.

Z tą depeszą posyłam kapitana Feniksa, który Bogu chwała, po nieszczęsnej katastrofie przyszedł do siebie i wchodzi w dawne obowiąski przy jenerale Żółwiu — i czekam na rozkaz.

Komisarz Sroka.

Przypisek. Trzeba pieniędzy na przetrzymanie organizacji katorżników do dalszej wyprawy; na dostanie żołnierzy i oficerów z Kozaków i z Dragonów, bo bez pieniędzy ani weź żeby z nimi co zrobić, na bakszysze w Sztambule, na prezenta w Bukareszcie — a jak będziemy mieli te pieniądze, to już moja rzecz, żeby wszystko poszło z pożytkiem i ze sławą. —

Tego samego dnia Feniks rzeźwy i zdrowy, wyjechał ze Lwowa, a ztamtąd gdzie mu każą gonić Niewidomego.

Na drugi dzień pojawił się w Bukareszcie obywatel Jeż. Komisarz Sroka przyjął go jak polskiego bohatera, z większemi oznakami uwielbienia, jak przyjęto Dwernickiego po bitwach pod Stoczkiem i pod Ryczywołem, jak Skrzyne

http://rcin.org.pl

ckiego po bitwach pod Wielkim Dębem i pod Iganiami, jak Bema po bitwie pod Ostrołęką. Ściskał go, całował, nie wiedział na jakiem miejscu go posadzić, jak stać przed nim czem go częstować.

— Pułkowniku, doszła mnie wieść o twojem sławnem zwycięstwie. Szkoda że to się stało; ale nie ma nic złego, co by nie wyszło na lepsze. Przynajmniej pokazaliśmy światu, że rycerskość polska nie zginęła, że umiemy bić się jak potrzeba, jeden trzydziestu i czterdziestu. Polska może nareszcie widzieć, że znalazł się wódz, którego ona tak szuka i tak czeka. Bo zaprawdę ci powiadam, obywatelu Jeżu, żeś ty zasłużył i będziesz naczelnym wodzem sprawy polskiej! —

Jeż się rumienił, dziękował.

Dopełniłem mojej powinności, i jeśli co dobrego było, to w skutek twoich rad, obywatelu Sroko, to się stało.

— Skromność piękna zaleta w każdym człowieku, a szczególniej w bohaterze. Ale to przejście Dunaju, tak wielkiej rzeki, tak szybko, niespodzianie, bez żadnej straty, ten marsz strategiczny między dwoma rzekami, i to zajęcie pozycji, z którejeś zgromił i pobił ze szczętem czterdzieści razy większe siły od swoich sił — to piękne karty twojego wojennego życia — i piękne karty do zapisania w historji polskiej. —

Aż Jeż się podniósł, żeby podziękować za takie zaszczytne słowa.

— Męstwo żołnierzy, boża łaska to wszystko zrobiły.

— Zaraportowałem o tem wszystkiem do władzy naszej niewidomej, oddając sprawiedliwość i nic więcej jak sprawiedliwość twoim wojennym talentom, twemu genjuszowi, że się tak wyrażę — i bez ogródki otwarcie ci powiem, nasz bohaterze, że przedstawiłem konieczną potrzebę nominowania cię jenerałem i naczelnym wodzem wszystkich sił lądowych i morskich polskich, organizujących się za granicami kraju, i wszystkich wypraw wkraczających do kraju. Sumiennie ci powiem, że to jedyny ratunek dla naszej sprawy. —

Jeż aż podskoczył w fotelu.

— Kiedy takie twoje zdanie, niech tak będzie. Ręka

http://rcin.org.pl

w rękę pójdziem, nierozdzielnie będziemy działali, ty piórem, ja orężem; ty będziesz dyplomatyzował, a ja będę wojował. Może w ten sposób damy radę naszej sprawie i wywindujemy ją na górę. —

Jeż wstał, założył ręce w tył, jak Napoleon Wielki, i przechadzał się wzdłuż komnaty. Stanął.

— Tak, tak, ja będę Garybaldim, bo to bohater mojego serca, mojego marzenia, mojej młodości; a ty obywatelu będziesz Cavourem, polskim Kawurem. — Uśmiechnął się. — Tylko mnie nie będziesz posyłał na wygnanie, na jaką polską Kaprerę, paść kozy, zwierzęta żydowskie.

— Nie, obywatlu Jeżu, ty będziesz Napoleonem i to Wielkim, a ja będę Tajlerandem; złożę ci zaraz przysięgę, że cię nie odstąpię, byleś mi ufał i byleś mnie we wszystkiem słuchał. —

Jeż rzucił się mu w objęcia.

— Przysięgam, przysięgam. Teraz jak nas dwóch na czele stanie, to to polska sprawa będzie się miała w robocie! —

I ściskali się i całowali, a obywatel Skrzynka przez szparę odedrzwi patrzył, przez dziurkę od klucza słuchał i myślał sobie: To to mi para! Jeden wojennej zdolności, drugi dyplomatycznej szczerości. To to oni dadzą harta tej biednej sprawie polskiej! —

Tego samego wieczora byli jeszcze cichaczem, tajemnie u Hospodara Rumunji całej, którego przygotował pułkownik Kalinesko do przyjęcia. Hospodar czupurnie ich przyjął, zwyczajnie książę demokrata, elekt ludowy. — Srokę po brzuchu poklepał, szkoda że nie po drugiej połowie; Jeża za ucho pokręcił. Wypalił do nich długą, ale żwawą i rubaszną mowę po francusku, o sympatjach dla Polski i dla Polaków, o obowiąskach międzynarodowych, o wielkich dworach, o Anglji, o Rosji, o Franciszku Józefie, o cesarzu Napoleonie, o Sułtanie, a nawet o Bismarku i o wice-królu egipskim. Wspomniał o Serbji, o Bulgarach, o Siedmiogrodzie i Madziarach. Co tu wiadomości jak ziarnek grochu w garncu; a tak niemi sypał na głowy słuchaczy, jak chłopaki

http://rcin.org.pl

Ukrainy w dzień nowego roku na głowy paniczów, wołając: Na żyto, na przenyciu i na wszelku pasznyciu! A zawsze powtarzał, że trzeba cierpliwości i wytrwałości, i odsyłał na układy do Bratiana i do Rosetego; co oni zrobią, on potwierdzi, bo sam kompromitować się nie może, dla powagi swojej osoby i dla dobra sprawy. A na zakończenie podziękował obywatelowi Jeżowi za naukę daną wojsku rumuńskiemu i za trofeum z kapitulacji wojska polskiego, i zaprosił na obiad we trzech, który nazwał obchodem chrztu wojennego wojsk rumuńskich.

Kiedy wrócili do hotelu, komisarz Sroka rzekł:

— Obywatelu Jeżu, nie trzeba zasypiać sprawy; ja dnia jutrzejszego ruszę do Stambułu, a ty sprowadź panią Jeżową i jedźcie do Belgradu Serbskiego, i to gród sławiański, trzeba by się w nim rozpatrzeć. Będziesz tam sielanki pisał i czekał na moje zawezwanie; a zawsze bądź gotów na koń i do szabli.

— Zgadzam się i na to; ale czy nie możnaby mieć jakiego forszusu? Ja się wyszeptałem, a żonę sprowadzić i mieć dom w Belgradzie, żeby gości przyjmować, trzeba trochę grosza.

— Zapewnie, temu nie przeczę. Ale ta wyprawa takie sprawiła suchoty w mojej kieszeni, że nie wiem, czy mi wystarczy dojechać do Stambułu. Ale — pomyślał trochę — pociągniemy Bratiana i Rosetego.

— Byłoby to dobrze; ale to hołysze, pieniędzy przy sobie nie mają.

— A kassa Hospodara Westiarija, na którą nasz wielki komtur zęby ostrzył, żeby ją przerobić na żelazny fundusz, i o której wiele napisał w nocie, żeby zaoskomić Austrję do zamiany za Galicją Rumunji. To mi był rozum, bez wojska wojować, bez państwa, bez piędzi ziemi dyplomatyzować! Od niego się uczmy, choć jest demokrata. —

Nazajutrz dzień komisarz Sroka przyniósł złota; lwi podział zrobił — dwie garście sobie, trzecią obywatelowi Jeżowi. Ale było tam dukacików nie mało.

— Porośliśmy w pierze! Masz, obywatelu Jeżu, a jak by ci zabrakło, to pisz sielanki, drukuj i sprzedawaj. Naród sławiański poezje lubi, poetyczny; i w rodzie Obrenowiczów są

http://rcin.org.pl

poetki, a mają pieniądze, madziarskie dukaty. Niechże świnki sprzedają, a sielanki kupują, to wszystko będzie po gospodarsku zachętą do wiejskiego życia. —

A potem się rozjechali każdy w swoją drogę, a waleczny hufiec polski zostawili na internacji, w sekwestracji, wedle reguł dyplomatycznych, bez grosza, na łasce bożej i na łasce Wołoszy. Tak się skończyła ta sławna dobrudżka wyprawa. Dowódzcy dostatków używali, a podkomendnym po brodzie ciekło, a w gębie nic nie było.

Nie znaleziono młodego Zwizdy. Czy go djabeł porwał, bo nie miał jeszcze żony jak Twardowski, żeby złego ducha wypłoszyć, i w szponach, jak jastrząb wróbla, zaniósł do piekieł? Czy go szczury i myszy zjadły, jak Popiela w Kruszwicy, bo ani słychu, ani wieści o nim, ani śladu po nim?

Gdyby był na ziemi, albo pod ziemią, to już by go dorobance odkryli; konie ich rącze, a oni sami i okiem i uchem jak dobre gończe — i na oko zobaczą i na ślad zoczą. W całym Prucie, od Huszu aż do Reni i siecie zarzucali i nurków puszczali; a na Dunaj przepłynąć nie mógł, choćby trup, bo zastawiono ujście rzeki od tygodnia płotem, dla połowu ryb; płot nie tknięty. Jeziora wszystkie splondrowano, nawet Jałpuch za Prutem; nigdzie nic nie znaleziono.

Pani Żukowa, a nawet i pan Żuk, trzech panien z oka nie spuszczali, na krok jeden nie odstępowali; zawsze jedno czuwało, a panny, jakby o tem wiedziały, dobrowolnie pod ten nadzór się poddawały. Przez dni całe nie mogły zostawić głodnego chłopca, choćby go przechowały — dowód najjaśniejszy i najdobitniejszy, że się tam nie znajdywał. Nawet żyd furman nie mógł się nic a nic dowiedzieć od karczmarzy.

Państwo Żukowie już dłużej bawić i poszukiwać nie mogli. W miejscu Zwizdy, który był tak pożądany w Tulczy, zabrali z sobą Sójkę i Czyżyka, prawdziwych bohaterów kastengalskiej sprawy — i ruszyli do Galacu, na statek.

Kormidor obiecał poszukiwać, posłał telegramy do Jass, do Bukaresztu, a nawet do Giurgiewa; może jakim balonem tam zaleciał, albo na miotle starej cyganki, jak czarownik.

http://rcin.org.pl

Polaków jednych powywożono w rozmaite strony na wygodne leże, drudzy sami poszli nad Dunaj, za Dunaj, burłaków obyczajem; woleli burłakować na woli, o chłodzie i o głodzie, jak siedzieć w zamknięciu przy ciepłym piecu, przy sytej i obfitej mamałydze — co kto lubi.

Wojska rumuńskie, każdy oddział, pociągnął do swojego garnizonu; na pola, na których była bitwa i gonitwa, znowu naszły zające, naleciały kuropatwy po dawnemu.

A w Kastengalji pusto i głucho — i trzy siostry w żalu i rozpaczy. Anna płacze i piwne oczki wypłacze; Marja ręce łamie i białe rączki połamie; Magdalena włosy rwie na głowie i poplącze czarne włosy. Ptaszek uleciał z klatki, a był ładny i składny — prawdziwa gwiazda młodości i urody. Biedne te trzy panny same zostały, a z niemi żal i nuda — chwilki nadziei, a godziny rozpaczy.

http://rcin.org.pl

XII.

http://rcin.org.pl

XII.

http://rcin.org.pl

POCHOD.

Noc była ponura, księżyc i gwiazdy nie zeszły z obłoków, ale zakryły się chmur całunem; chmury wiatrem gnane, płyną jedne za drugą, ale tak blisko, że nie masz między niemi odstępu, nie masz szczeliny, którąby wyjrzał na świat księżyc blady i gwiazdy ciekawe. Wiatr ciągły a jednaki, wieje wzdłuż Dunaju, od wschodu przez sławiańskie ziemie do niemieckiego kraju; zapewne z Czarnego morza dobre wieści niesie: Biały Car nie da zniemczyć sławiańskiego Dunaju; ocknie się, rozbudzi, otrząśnie się z pieluch niemieckich, w kozi róg zapędzi Niemczyków, djablików i chochlików, co go tyle czasów powijali. Dosiędzie ukraińskiego bachmata, zbrojny w bułat, w prawosławną wiarę i we wszechsławiaństwo. Zawoła na butne Bojary, na szlachtę górnej fantazji i na oczajdusze Kozaki, i powiedzie w pole, deszczem zmyje z wojska swego dawne grzechy; wiatrem je wysuszy, na nowe życie, na nową chwałę — i w imię boże, w imię carskie, Dunaj obroni i górą pójdą Sławianie. Takie wieści wiatr wieje po Dunaju — ale czy sławiańskie ludy pieśń jego zrozumieją, czy ta pieśń już dla nich zrozumiałą, czy nie jeszcze — czy ich serca i dusze już gotowe, by pojąć sławiańską sprawę i sławiańską sławę, i razem co stanąć do odporu i do postawienia na swojem, do wypowiedzenia tego ostatniego słowa, które zapowiedział poeta, a które miljony Sławian czynem odśpiewać mają i odśpiewają. Tak szumiał wiatr po Dunaju, pod Braiłowem —

http://rcin.org.pl

ale tym razem nie w sławiańskie uszy, ale w uszy Sławianina, który sam nie wiedział, co się z nim stało i co się z nim dzieje.

Młody Zwizda spoczywał pod cygańską szatrą, na miękkim kobiercu, kot czarny ciągle koło niego się łasił, miauczał pomrukiem i wycierał się po kobiercu; na sznurze od szatry siedział kogut i drzemał. Przy łożu chorego siedziała królewna, a u jej nóg stara Chira, i obydwie drzemały — ale królewna w drzemaniu palcami przebierała po rękojeści sztyletu. Cały ten obraz oświecał zapalony kaganiec, światło czerwone jak rubinowe, ale w koło dym z kopcenia, jak mgła otoczyła tę głowę djablą; do niej było podobne to światło kagańca. Don Żuan ukraiński dziwnem okiem poglądał w około siebie, sen mu odbiegł powiek, serce mu się ściskało jakimś dziwnym niepokojem, a tak był spowity bandażami, że nie mógł się przewrócić z jednej na drugą stronę.

Rozmyślał, jak go porwano z łoża w Kastengalji. Włożono w rodzaju trumny miękko wewnątrz wysłanej, przymknięto wieko — oddychał, otworami, ale tak było ciemno, jak w grobie, to jest, jak wyobrażamy sobie, że w grobie być musi. Niesiono go, czuł że ludzie go niosą i zmieniają jedni drugich, tak zupełnie, jak niosą do grobu zmarłej istoty zwłoki. On żywy, a nieboszczyk — ach, cóż to za okropne cierpienie było! Modlił się do Boga i głośno i cicho; ręce były zbandażowane, więc myślą bił się w piersi: moja wina, moja wielka wina! A że matka Zwizdy była Polka i katoliczka, więc powtarzał: mea culpa, mea maxima culpa! Żywy, a w grobie, bo w trumnie do grobu, prosił o zmartwychwstanie, i ojca i matki modłami, bo jak trwoga, to dusza i serce rzuca się w objęcie Boga, do niego modły wznosi, jego o ratunek prosi.

Niesiono i potem trumnę złożono; czuł że w miejscu już stanęła, a nad głową słyszał jakieś stuki — to trumnę zabijają, i jakieś pukanie, jakby kamyków stukanie — to ziemię na trumnę rzucają i już grób zasypują. Zasypali, a on żywy i w grobie — a śmierć nie przychodzi. Pot zimny jak z lodu go oblał, a jednak serce nie zamarzło; czuje jak

http://rcin.org.pl

dygocze, chce się wyrwać z ciała, żeby z niem razem za życia w grobie nie konać i nie konać bez końca — żeby nie być żywem, a pogrzebionem. Wszystko ucichło, nie czuć ani chwiania, ani kołysania, ani stukania — i zdaje się, że powietrze coraz rzadsze a rzadsze, na oddech mu brakuje — a on nie może ruszyć się ani nogą, ani ręką tak zmataną; tylko wargi przygryza i język ciśnie ku podniebieniu — w oczach mu zimno. Nie ma boleśniejszego cierpienia na ziemi nad te, żeby być żywym a pochowanym grobie! I jeśli Bóg w sprawiedliwej nielitości obrażonego ojca swoje dzieci ziemskie, występne i zbrodnicze, rzuca na karę wielką, okropną, boleśniejszą nad wszelkie boleści, straszniejszą nad wszelkie strachy — niech go żywego, z życiem, zakopać każe w grobie śmierci!

Cierpiał Zwizda wiek, wieki; już zdrętwiał od cierpienia, ale nie od śmierci, kiedy usłyszał jakieś chlupotanie jakby wody podmywanie. O Boże mój, Boże! daj żeby mnie woda już prędzej zalała! Tak się modlił, a woda chlupocze, a nie przychodzi nadzieja. Przyjdzie, jeszcze chwilkę, przemyje, w szczeliny wpadnie — wtem usłyszał nad sobą, na swoim grobie koguta pianie. Zwiastun, dzień boży i życie ludziom zwiastuje — a u mnie noc ciemna i grób śmierci, choć życie nie uciekło jeszcze. Słyszy jakieś drapanie po dachu, swojego grobowego gmachu, i wyraźne mruczenie i miauczenie kocie. Włosy mu stanęły kołem na głowie, zębami zaczął klamkać o zęby. Ach! to ona, to ona — biada mi, biada! Ale ten strach zrównoważył rozpacz żywego a pogrzebanego. Myślał, marzył, a Zaira mu przed oczyma stała piękna, groźna; w rysach twarzy całe niebo miłości, a w oczach całe piekło zemsty — jak ów anioł z nieba do piekieł strącony, ulubieniec boży, potępiony — piękny jeszcze dumą, a ohydny nienawiścią i zemstą.

Zwizda myślał, marzył — roił i tworzył, i to przeszkodziło, że nie skonał ze strachu i z boleści, z wielkiego cierpienia — i doczekał się, jak znowu jego mieszkanie grobowe poruszono i niesiono, i znalazł się pod szatrą, gdzie się teraz znajdował, i gdzie rozpatrując się w swojej teraźniejszości, rozpatrywał się w swojej bliskiej przeszłości okropnej.

http://rcin.org.pl

Jeszcze chwilki, a już by go między ludźmi żyjącymi nie było — byłby żywym pogrzebanym w grobie. I modli się Bogu na podziękowanie.

W tym całym wypadku nic nie było ani nadludzkiego, ani nadzwyczajnego. Karawana cygańska królewny z prawego brzegu przeprawiła się na brzeg lewy Dunaju, żeby iść krajem, gdzie cyganie zagościli się jak u siebie; gdzie się to plemię w mieszkańców wcieliło i kraj ciałem i duchem prawie zcyganiło. Chciała odwiedzać ten ród swój, zanieść mu pozdrowienie od swoich, i może mu powierzyć jakie przestrogi, jakie rozkazy. Przytem wiedziała o Dobrudżkiej wyprawie, do której się przyczyniła wyprawieniem na nią młodego Zwizdę. Kiedy przyszła karawana pod Kastengalję, już było po sprawie i rozprawie. Łatwo było królewnie dowiedzieć się o rannym Zwizdzie i gdzie się znajdował. Cyganie i cyganki, wszyscy przychodzili całować jej stopy; od nich o wszystkiem wiedziała, czego się dowiedzieć chciała. Cygaństwo to jak farmazoństwo, ale lepiej umie słuchać i tajemnicy dochowywać, jak węglarze i inni sekciarze. W całej Azji wszystkie sekty religijno-polityczne z cygaństwa powyrastały, tak dobrze Tugi jak i Braminy; a cygaństwa początek nikt nie wykazał — z potopu wyszli, czyli przez potop się przechowali, tak dobrze, jak Noe z synami i z wnukami i z całem swojem pokoleniem. Tylko dumne dzieło Babelu rozbiło pokolenie Noego na rozmaite narody. Cyganie widać że nie tak dumni byli, więc zostali cyganami i nimi się przechowali aż do naszych czasów, takimi, jak byli od niepamiętnych wieków. U nich przechowały się starszeństwo, posłuszeństwo i tajemnica. Przez tę trójcę żyją i z zachowania tej trójcy zostają cyganami.

Królewna co rozkazała, było zrobionem. Zwizda był z łoża porwanym, złożony w skrzynię, do Dunaju zaniesionym, Dunajem na łódce w swojej skrzyni przypłynął pod Braiłów i znajdował się pod szatrą królewny.

Żołnierze rumuńscy na pół cyganie, z cyganami jak z braćmi żyli. Karawana jak przyszła tak poszła — to dla nich nic dziwnego. Ziemia rumuńska tak dobrze wolna do przechodu dla cyganów, jak i dla Rumunów. Więc o nic

http://rcin.org.pl

nie pytali i pewnie nic nie wiedzieli, a ci z cyganów, którzy i widzieli i wiedzieli, to pewnie nic nie powiedzieli. I dla tego utonęło w głuchej tajemnicy zniknięcie młodego Zwizdy, i dla tego ani kormeditor Paczulesko, ani pan Żuk, ani nawet pani Żukowa nie mogli nic wykryć, żadnego nawet odkryć śladu.

Tak przeleżał Zwizda aż do białego dnia; nie zdrzemał, ale marzył, a za każdem marzeniem rzucał okiem na Zairę, widać strach, żeby ją marzeniem nie obrazić. A ile mu razy przesunęły się przed oczyma Praxeda i trzy hoże Mołdawianki — bo się przesuwały — to tyle razy albo oczy przymykał, albo odwracał w inną stronę, żeby nie odgadła cyganka, kto był gościem w jego myśli. Nie była to już dawna miłość dla niej taka, jaką ukraiński Don Żuan mógł poczuwać; ale miłosna obawa, bo mu się dała we znaki swoją czarodziejską władzą. Myślał sobie: gdybym ja był rozpowity, rzuciłbym się jej do nóg, na szyję; przysięgałbym, że ją kocham, żem nigdy innej nie kochał i kochać bym nie mógł; a tak bym całował, żeby uwierzyła wszystkiemu, bo przecież i ona kobieta, wiem dobrze że kobieta — i znowu byłbym panem, tak jak byłem zawsze i wszędzie, gdzie tylko mogłem całować. — I już innem okiem patrzył na królewnę, do obawy przymięszywały się inne uczucia. Ona drzemała, a rzęsy spadały na powieki, tak zalotnie, tak lubieżnie, że chciałoby się mu choć maleńki pocałunek dać tym zamkniętym oczom, rozbudzić i rozbudzone całować, póki by się zupełnie nie rozbudziły. A rączka na sztylecie taka była składna, jak wytoczona, a taka pieszczona, że zdawała się sztylet pieścić — i odrzucona opona tyle wdzięków odkrywała, że donżuańska natura Zwizdy zapomniała o cierpieniach grobowych, o pogrzebieniu żywcem, o obawie; ran nie czuł, ale czuł miłość dla dawnej kochanki — chciałby skonać na jej ustach i być pogrzebanym w jej sercu.

I jak tylko otworzyła oczy, usłyszała szemranie:

— Zairo, o moja Zairo! —

Uśmiechnęła się, wzięła obok siebie leżące, krągłe zwierciadło, w pokrowcu złotym, nabitym drogiemi kamieniami, otworzyła i zbliżyła przed oczy chorego:

http://rcin.org.pl

— Patrz, mój kochany! —

Patrzy i sam siebie nie poznaje. Twarz blada, aż pożółciała, a skóra tak się przycisnęła do kości, jak pargaminowy dziadek, którego stawiają na kominie do straszenia dzieci; a włosy posiwiałe, jak u sześćdziesięcioletniego starca, u niego, dwudziestoletniego młodzieńca! Taka zmiana przez czas tak krótki! Nie, on żył przynajmniej pół wieku, w zgryzocie, w cierpieniu. Ale czemuż ona taka młoda, taka świeża, taka ładna? Przecież żyli z sobą razem, razem się kochali, razem byli młodymi! — Patrzał i odwrócił oczy, a potem zaczął płakać łzami rzewnemi.

— Nie rozpaczaj, mój luby! Żyłeś i przeżyłeś się, zdradzałeś młodość i urodę — zdradziła cię młodość i uroda. Kto czem wojuje, od tego ginie. Powiedz, moje kochanie, czyś kiedy płakał nad drugimi, jak teraz płaczesz nad sobą? Czy myślałeś, że inni łez nie mają, tylko uśmiechy na twoje śmiechy? I one miały serca, dla ciebie; a ty go nie miałeś dla nich, tylko dla siebie. Dziękuj Bogu, że ci się serce obudziło; raz obudzone będzie lepsze, będzie wierniejsze. Co po krasie, co po młodości, kiedy nicość w sercu, nicość w duszy. Nie płacz, luby! Dawne umarło, nowe odżyje; będziesz człowiekiem serca, bo cię raz serce zabolało. Nie płacz, a szlij Bogu modły dziękczynienia. —

On wciąż płakał, a ona go pocieszała słowami tylko:

— Nie płacz, miej cierpliwość; wkrótce będziesz młody odmłodniejesz, będziesz nowy i wrócisz do swoich. —

Razem ze starą Chirą opatrywała jego rany, i jak matka nad dzieckiem, jak siostra nad bratem, nad nim czuwała — ale nie jak kochanka nad kochankiem. Zdrowie pomału wracało, za parę dni już wstawał z łoża, przechadzał się pod szatrą, mógł chodzić po obozie cygańskim. Na niczem mu nie zbywało, we wszystkiem mu wygadzano; był pod szatrą jak w pałacu. Ale nie widywał tylko rzadko Zairę, i to na bardzo krótką chwilę; zapytała o zdrowie, życzyła zdrowia i znikała.

Czasem, kiedy mu lepiej na zdrowiu, myśli sobie: zalotnica i to wyrafinowana, jakich podstępów używa, by mnie przykuć do siebie, by miłość moję rozniecić i mieć ze mnie

http://rcin.org.pl

wiernego niewolnika! Kobieta taka, jak Paryżanka, chociaż cyganka.

Ale kiedy się spojrzy w zwierciadło, szczególnie na włos posiwiały, który bynajmniej nie ciemnieje, smutek go ogarnia: to zemsta oczywista; ona się mści nademną! — A tak go woła odstąpiła, że nie ma odwagi postanowić, co zrobi z sobą; nie ma odwagi jechać naprzód, nie ma chęci wrócić nazad — bez woli prawdziwy niewolnik. Kara to boża, bo jakakolwiek jest zdrada, biada temu, biada! Obcy między cyganami, oderwać się od nich nie może, bo ich królewna jego królowa.

Piątego dnia z Ibraiłowa przyprowadzono arabskiego prawdziwego dżameta, z Neżdów rodu, za kwartę złota kupiony; jak kruk wrony, biała gwiazdka na czole i dwie zadnie nogi za pęciny białe — taki, jakim był rumak Emira Taszulfera, latawiec białonogi; nosił sławnego rycerza po arabskich pustyniach, a nie uniósł z pod Lewuch do Daszowa. Może to ten sam, bo arabskie ogiery i klacze matuzalowe lata żyją. Na nim siodełko orzechowe, siodełko kozacze, rzemiona w złote arabeski haftowane i uzda kozacka, cała złotem nabijana, błyszczy na metalicznego połysku sierści konia. Takiego rumaka przyprowadzono Zwiździe w podarku od królewny.

I ona sama podeszła, uśmiechnęła się:

— Jutro udajemy się w pochód; czy będzie wola z nami, czy w inną stronę, masz konia — jesteś wolnym. —

I odeszła, nie czekając odpowiedzi.

Jej już nie ma, a on stoi w miejscu i nie wie, co postanowić, czy jechać w prawo, czy w lewo, czy z Dunajem, czy pod Dunaj, czy po kozaczemu — bądź mi zdrowa, cyganeczko, bądź mi zdrowa, kochaneczko — za Dunaj, za Dunaj! Chodził, dumał, nic nie postanowił i poszedł pod szatrę: — noc mi najlepszą da radę. Noc przespał, prześnił, przemarzył, i nic nie postanowił, co ma zrobić.

Kiedy już był dzień biały, szatry zebrane i na konie i na muły naładowane — wszyscy na nogach i do pochodu gotowi. I Zwizda był gotowy; nie poszedł królewny ani żegnać, ani o nic pytać, tylko stał przy koniu jak wryty.

http://rcin.org.pl

Królewna to widziała, ale nie raczyła nawet spojrzeć na niego; lekko wsiadła na białą bedowię; on wskoczył na wronego. Ona pojechała na czele swojego obozu, Zwizda za nią. Ukrainiec poszedł w pochód z cyganami.

Przez Ibraiłów karawana cygańska pochodem maszerowała, piesi i konni, kobiety i dzieci, w rozmaitych łachmanach i w rozmaitych strojach, różne barwy, różne kroje — a na głowach czapki, kapelusze, fezy, kaszkiety, krymki, kapuzy, nawet rogatki i konfederatki, i litewskie misiurki z lisiemi ogonami. Pióropusze przy kapeluszach, pawie pióra i czaple przy czapkach. Muzyki i tancerze bandami, i sześćdziesiąt litewskich niedźwiedzi ze Smorgońskiej akademji, prowadziło na łańcuchach, na kagańcach sześćdziesięciu cyganów, na pokazanie sławiańskiemu światu, jak to wysoko stoją na Litwie i nauki i piękne sztuki, kiedy niedźwiedzice jak Taglioni, jak Elsner wyskakują i przysiadują, a niedźwiedzie, jak Kurc i Slonczewski[1]), chorograficzną mimikę piastują. Charty, sokoły, zwierzęta i ptaki rozmaitego rodzaju, jak gdyby arka Noego rozbiła się na Dunaju i w Ibraiłowie lądu stałego szukała. Wszystkiemu temu ciekawie się przypatrywali, ale najbardziej się dziwowali pięknej parze. Zaira na białej bedowji, w czerwonej węgierskiej bekieszce, podbitej czarnemi lisami; Zwizda na wronym rumaku, w kozaczej burce. On podsiwiały jak ojciec się wydawał, ale jeszcze czepko się trzymał i koń pod nim w pląsy, w szczupaki się wysadzał; ona młoda, lekka, jakby z wiatrem ulecieć chciała — a taka ładna, że aż strach. Obok siebie jechali, jak w parze, a jedno do drugiego nic nie mówiło.

Było cyganów, cyganek i cyganiąt do tysiąca i więcej. Wszyscy wyszli za miasto, jak trzoda bydła, a nie jak wojsko — w nieporządku, kupami, kupkami, ale nikt z tyłu nie pozostał; nie trzeba było dla nich ani przedniej, ani tylnej, ani bocznych straży; bosi i niebosi, odziani i obdarci, po suchym i po błocie, w pogodę i w słotę, szli z taborem, nikt nie zbiegł, nikt ani w mieście, ani w wiosce nie zagapił się. Ten, co zmarł, co był nieboszczykiem, nie poszedł za taborem; ale każdy szedł jak chciał i jak mu się podobało. Swoboda, najzupełniejsza swoboda! Nie było u nich ani

http://rcin.org.pl

sotników, ani dziesiętników, ani czestnych prystawów, ani pośredników ludowych, ani poborców, ani straży policyjnej, ani kantory administracyjnej, ani biura paszportowego, ani modłów nakazanych, ani nabożeństwa prawnego; każdy się modlił, jak chciał i do kogo chciał. Nie było ani spisów, ani kadastrów; kto się urodził, ten żył, a kto żył, ten umierał, jak chciał, bez pozwolenia i bez wiedzy. Swoboda we wszystkiem, prawdziwa swoboda. Kto chciał, to się żenił — kto chciał, to się rozwodził; kto chciał mieć jedną żonę, po chrześciańsku, to ją miał; kto chciał i mógł mieć harem, po muzułmańsku, to mu nikt nie zabronił. Dzieci były dziećmi wszystkich, starzy byli rodzicami wszystkich; cały tabor pielęgnował jednych, opiekował się drugimi — nie z przykazania religijnego, nie z artykułu prawnego, ale z serca, z duszy, bo tak chciał. Swoboda im była wiarą, swoboda im była ustawą.

Za miastem kupy i kupki się zatrzymały; tańcem, śpiewem i muzyką do pochodu się przygotowały. Dzieci beczały, albo się śmiały; niedźwiedzie ryczały, konie rżały, i każde zwierzę, każdy ptak, każdy członek cygańskiego taboru swoim głosem śpiewał pochód.

Dżyhan stary z woli królewny od kupy do kupy jeździł i każdej mówił: Góra Jałowica, tam trzy dni odpoczynku. — I wnet cyganie, cyganki i cyganiątka rozpierzchnęły się po całej przestrzeni, na wszystkie szlaki, drogi i drożynki, ścieżki nawet. Ten niesie na plecach kowalskie narzędzia, tamten sitami obładowany. Jedna kupka idzie z miedzianemi naczyniami, druga z koszami na świńską szczecinę. Ci prowadzą niedźwiedzi i w bębenki biją, tamci dmą w piszczałki, a małpy im po plecach skaczą. Ten idzie w step z chartem, tamten z wyżłem i z sokołem; jeden ze strzelbą, drugi z wędką i z więcierzem. Baby i dzieci z krupkami, z koszykami — wszystko to się rozeszło po tym bożym świecie, bez pozwolenia, jak sami chcieli, jak gdyby świat był ich własnością, stworzony na ich pożytek, na ich uciechę. Swoboda, i nic więcej tylko swoboda, to ich wiara, to ich prawo, to ich ustawa.

http://rcin.org.pl

Kto chciał, został przy taborze, pilnować swojego dobytku, swojego dostatku; nie było tam magazynów żywności i ubiorów. Szatry cygańskie a ziemia posłanie — o nic więcej się nie frasowali i na niczem im nie brakło; wszystkiego mieli podostatkiem. To mrówie, co się teraz rozsypało po polach, znosiło wszystko to, czego było potrzeba do mrowiska, do taboru, nie z przymusu, nie z obowiązku, nie ze służby, ale z dobrej woli; bo tak chcieli i jak chcieli, w najzupełniejszej swobodzie, i to była prawdziwa swoboda.

Żadne konstytucyjne państwo, żadna rzeczpospolita, żaden falanstern, nie przedstawia tak zupełnej, tak sumiennej swobody, jak cygaństwo, a z tą swobodą — uszanowanie władzy, swobodnie uznanej, nie przez wybory, ale przez swobodne uczucie woli, nie krępowane żadną formą, żadnem prawem, żadną ustawą — królewna, młoda dziewica, taborem rządziła swobodnie, ale taborowi zupełną swobodę zostawiła i tę swobodę jak dar boży szanowała. Nie uczyło jej tego żadne prawo, żaden przepis, ale tak chciała — i to była swoboda.

Jednego razu rząd Białego Cara w Besarabskiej obszarze postanowił osiedlić cyganów. Postawiono im wygodne chaty, dano woły i krowy, zwierzęta i ptastwo domowe, narzędzia wszystkie, naczynia domowe, spiżarnie we wszystko zaopatrzono, nawet nie zapomniano o drzewie i o węglu — jednem słowem, wszystko w tych domach było; miękko i ciepło spać, obficie jeść i pić, jak w pierwotnym raju — na niczem nie brakowało. Od żołnierki, od podatków wszelkich na ćwierć wieku uwolniono. Ale napisano i czytano osadnikom nowym ustawę obowiązków i powinności; przysłano czestnego prystawa, pośrednika mirowego i dziesiętników do strzeżenia i wykonania ustawy. Nazajutrz dzień z tych wiosek cygańskich, odległych dość znacznie jednej od drugiej, jakby na słowo boże, wszystkim jednej godziny, jednej minuty powiedziano — wszyscy cygani, cyganki i cyganiątka wioski opuścili, ani jednego sprzętu, ani kawałka chleba z sobą nie zabrali; jak zastali, tak wszystko zostawili. Taborami wyszli w stepy, żyć swobodą, używać swobody.

http://rcin.org.pl

Żaden włóczęga, ani niedołęga we wsi nie został; wszystkich wyprowadzono, wszystkich wyniesiono, bo tak chcieli. Ani jednego nie było, żeby na dobry byt, na wygody zamieniał swobodę; bo cyganie wszyscy od wieki wieków, to jedyni i niezmienni wyznawcy swobody.[2])

Cyganie są prawdziwymi obywatelami świata całego, a nie wyłącznie kraju żadnego. W jednej tylko sławiańskiej Serbji zostali obywatelami i żołnierzami serbskimi. Rząd serbski, ani naród serbski, nie narzucał im żadnej ustawy; tylko im powiedziano: Macie pola, macie lasy; jeśli chcecie, siedlcie się, jeśli chcecie, używajcie darów bożych, które on dał dla nas i dla was. Jeśli chcecie, to bądźcie sławiańskiej Serbji obywatelami i żołnierzami. Wszystko dla was otwarte, jak dla nas, urzędy i dostojeństwa, i poselstwa w skupsztynie i krzesła w senacie; jeśli chcecie, bądźcie cyganami, jeśli chcecie, bądźcie Serbami — wszelka wam swoboda.[3])

Piętnaście tysięcy rodzin cygańskich osiedliło się w serbskim kraju i każda rodzina daje jednego konnego, strojnego i zbrojnego do służby kraju; bo tak chcą; i urzędy i dostojeństwa piastują, bo tak chcą. I cyganie do Serbji ciągną, jak prawosławni do świętej Góry, jak katolicy do Rzymu, jak wszyscy Chrześcianie do Jerozolimy, jak wszyscy Sławianie do starego Kijowa; bo tam im swoboda i sława. Swobodę wszędzie mają, a sławy tylko w Serbji nabywają. Wielkiego tego i jak świat dawnego rodu, nie przyciągnął nikt dobrym bytem i wygodą, ale sławą i chwałą, bo tej się zachciewa nawet przy swobodzie. One pieszczą duszę, podnoszą serce — to pokarm duchowy, który może iść w parze ze swobodą. Swoboda ducha obudza i pobudza, sława i chwała upajają go zadowolnieniem i cieszą nagrodą, razem ze swobodą zbliżają do Boga. Ród wielki, ród duchowy, chce i musi być duchowym. I ten pociąg tajemniczy cyganów do Serbów Sławianów jest może tajemniczem obwieszczeniem bożem: że lud swobody bieży do ludu chcącego swobody; lud chcący sławy, bieży do ludu sławy; winna to być nadzieja i otucha dla Wszechsławiaństwa.

Zaira i Zwizda wciąż jechali obok siebie. On w nią wzrok utkwił i z oczów jej nie spuszcza — a ona nawet na

http://rcin.org.pl

niego nie spojrzała. Kazała spuścić wyżły ze smyczy, wziąść na berła sokoły i sama zwróciła w step; za nią chart kudłaty pod strzemieniem jej idzie, a z drugiej strony jedzie Zwizda na białonogim rumaku, jak chart postrzemiony takoż. O, jakże ona piękna była w oczach jego! Nigdy ona taką nie była, ani we śnie, ani na jawie; ani wtenczas, kiedy go kochała całą miłością swobody — ani wtenczas, kiedy mu zemstą groziła, bo jej takoż chciała. Teraz piękna dumą, panowaniem i tem zalotnem lekceważeniem, które albo miłość zerwie, w nienawiść, w zemstę przerobi, albo kochanka przeistoczy w niewolnika. I Don Żuan ukraiński został niewolnikiem, i był rad, a może i szczęśliwy ze swojego losu. Jechał za nią, patrzał na nią — i cóż mu tam po reszcie?

Rwą się kuropatwy, rwą się pardwy pstropióre, a sokoły na nie kulką padają i w szpony chwytają. Zając, szust, z kotliny wyskoczy, trzy razy trzasnął skokami i sadzi w pole; jeden słuch podnosi, drugi do szyi przykłada — a kudłaty go dochodzi, dochodzi, bez obrotu za tylny skok chwycił i trzyma żywego. Zaira tem się bawi, bedowję w czwał wypuszcza, charty, sokoły zachęca; rumieniec wystąpił na śniade lice, oczy brylantem błyszczą — całem sercem, całą duszą poluje.

Tak polowali, kiedy nagle wymyka się z szuwaru wilczysko płowe, łeb w dół spuszczony, kita po ziemi, a tak sadzi w skoki, jak zobaczył konnych, że go żadna sarna by nie doskoczyła. Królewna woła:

— Puszczaj orła kirgiskiego! —

A Zwizda zachęca kudłacza:

— Huż, huż! —

Siwy orzeł, wielkości dropia, był to dar przysłany królewnie z kirgizkich stepów, od hordy cygańskiej tam koczującej, czy się włóczącej. Takiemi orłami Kirgizy wilki i dziki łowią, tak jak nad Dunajem siwymi sokołami zające i sumaki.

Siwy orzeł z berła puszczony, załopotał skrzydłami i wzleciał w niebiosa; chart kudłaty z miejsca puścił się susami za wilkiem, a biała bedowja i wrony dżamet z kopyta

http://rcin.org.pl

w czwał poskoczyły — i cały łow poniósł się w step daleki.

Siwy orzeł z obłoków spławił się nad ziemię, jak dla igraszki — i prosto pławi nad wilkiem. Właśnie kiedy wilczysko wskakiwał między pnie dawnego porębu, kulą rzucił się na ziemię; migiem oka można było zachwycić, jak szponami jednej nogi chwycił w objęcie wilka za szyję, drugiej nogi szpony wtłoczył w pień — błyskawicą rozdarł się na dwoje, jak rosyjski orzeł: jedna połowa została na pniu, druga z wilkiem w step uleciała. Zaira krzyknęła boleśnie, dziko — zawrzeszczał głosem piekielnym Zwizda:

— Huż, huż, kudłaty! —

Kudłaty doskakiwał, za szarawary wilcze chwytał, ale nie mógł utrzymać, bo wilk bólem i strachem pędzony, jak strzała leciał, ostatnich sił dobywał.

W polu było drzew kilka, widno futorzysko opuszczone. Tam wilk chciał znaleźć schronienie. Ale kudłaty gonitwą wściekłość w sobie rozruchał — paszczę rozdziawił i dał jakby śmiertelny sus na wilka, piersiami uderzył, i wilk koziołka przewrócił trzy razy. Podniósł się, ale nie miał siły skakać dalej. Siadł pod drzewem i kły ostre z zaziapanej paszczy pokazał — i te kły, i te oczy krwią zaszłe, wściekłe, i ta połowa orła do szyi szponami wpojona, potrwożyły kudłatego — stanął jak wryty i zębami klaszcze Ale Zwizda już przyskoczył na wronym koniu, cała ukraińska natura w nim odżyła. Skoczyć z konia na ziemię, było dla niego jedną chwilką, a drugą chwycić rękoma wilka za oba uszy i krzyczeć: Huż, huż!

Zaira dopadła na białej bedowji, z konia na ziemię i bez namysłu sztyletem w ślepie wilka i wywierciła jedno, a potem drugie. Wilk się targał, podrywał, ale żelazne ręce Zwizdy w miejscu go trzymały, a Zaira ślepie wywiercała w zemście za orła.

Przybiegł i Dżyhan nareszcie, a że każdy cygan konował, koński albo ludzki, więc miał przy sobie rzemyk do puszczania krwi. Wnet go wydobył z troków, zadzierką zacisnął na wilcze gardło i przywiązał do drzewa:

— Teraz mordujmy! —

http://rcin.org.pl

I królewna i jej wierny cygan wilka sztyletami dżgali. A Zwizda puścił, ale ledwie mógł ręce rozprostować, tak je był zacisnął; tłukł piersiami, kudłaty za brzuch ciągnął zębami, do wnętrzności się dobiera — i tak we czworo wilka zamordowali i sami potem przy trupie jak trupy popadali ze zmęczenia — tylko trzy konie na nogach stały, jakby na straży.

Po pół godzinie zaczęli się zbierać cyganie. Zwizda pierwszy powstał i zbliża się do Zairy. Ona się uśmiecha i podaje mu rękę:

— Dziękuję! Walecznyś, mój rycerzu! Pomściliśmy się, biedny mój orzeł darty! Tak się wszystko kończy na tej ziemi, i my tak skończymy. —

Wsiedli w siodła i jechali dalej stepem. On jechał przy niej, uzuchwalony i swoim myśliwskim czynem i jej uśmiechem, zaczął jej przebąkiwać, jąkać o dawnej miłości, że on ją kochał zawsze, że ją kocha i kochać będzie po wieki wieków.

Ona się nie odwracała, ale słuchała, i widać, że to jej nie było ani nie miłem, ani obojętnem; ale już nie było tego dawnego ognia w oczach, co to serce palił na żar, na popiół — ani tego drgania w ustach, co to zapowiada świat miłości, świat roskoszy; tylko uśmiech więcej smutny, jak radosny.

— Słuchaj, mój ty dawny, mój ty pierwszy kochanku! Jam nie twoja, tyś nie moim; ja jadę do swojego, ty możesz jechać do swojej. Bądźmy jak brat i siostra, bo już nam więcej nic nie zostaje. —

I szybszym ruchem puściła się ku drodze, a on jechał za nią i tak dojechali do Góry Jałowicy.

Obóz cygański stanął pod Górą Jałowicą. Obok szater królewny rozbito wielką szatrę, w której ściągający się cyganie składali, co który ukradł: mamałygi, chleby, placenty, nawet krupy, połcie sadła, kiełbasy, szynki, kawały rozmaitego mięsa, drób, zwierzyna, ryby, sól, masło, pieprz, owoce, dulczety nawet, napitki różnego rodzaju, gunie, kożuchy, kawały sukna, kobiece stroje i ozdoby, obuwia, sznurki, powrozy i żelastwa rozmaitego kształtu. Na boku

http://rcin.org.pl

pieniądze miedziane, srebrne, nawet kilka sztuk złotych — każdy, który zarobił, czy za niedźwiedzia taniec, czy za robotę jaką, czy za szachrajkę koniem i sprzedaż innego wyrobu, — składał ile chciał, nie pogłowne, nie dziesięcinę, nie celny podatek, ale ile mu się podobało, ile chciał.

Jak już był magazyn złożony, wszyscy cyganie przychodzili jedni po drugich i brali, co im się zdało, co im się podobało. Jedli, pili, żadnej straży, żadnego nadzoru nie było przy składaniu, żadnego też nie było i przy rozbieraniu; robili jak chcieli i jak się im podobało.

Królewnie sami wybierali najpiękniejsze rzeczy, najsmaczniejsze przysmaki, a Dżychanowi pod straż złożono w hurcze wszystkie pieniądze w gotówce, zapas na złe dnie. Do tego nikt ich nie zmusił, ani prawo żadne zobowiązywało; robili, bo tak chcieli.

Taka jest swoboda cygańska, taka była pierwszym ludziom przez Boga dana. Wszyscy ją zmarnowali za podszeptem szatana — jedni cyganie ją przechowali, i dla tego tak miłują swoją cygańską swobodę, bo to boża swoboda.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XIII.

http://rcin.org.pl

XIII.

http://rcin.org.pl

MAŁŻEŃSTWO.

Jeśli Rossja, ze starym Kijowem, z Pieczerską Ławrą i ze stepami kozaczemi jest słońcem sławiańskiego rodu, to Serbja, z Białymgrodem i z Szumadiją jest zaranną gwiazdą temu rodowi; jutrzenką, co swem słabem światłem rozwidni sławiańskim ludom drogi, by niemi szli przed oblicze jaśniejące słońca, i w świetle i sławie dziękowali Bogu, że ich Sławianami stworzył — i modlili Bogu, by im pozwolił zrzucić z siebie i nazwę i cechę niewoli, a z bronią w dłoni wypowiedzieć ostatnie słowo, które ich doprowadzi do wszechsławiańskiego bytu, do wszechsławiańskiej swobody i do wszechsławiańskiej sławy. Tak przeznaczono od Boga i Serbji i Rosji: niechże pełnią swoje powołanie — czekają na to ludy sławiańskie, jak na wolę bożą.

W Serbji dotąd jeszcze dwie rodziny ubiegają się o tron Nemanów; każda z nich już na nim przysiadła, ale żadna się nie usiedziała. Jedna z nich służyła swobodzie i prawu, druga nie myślała tylko o potędze i o władzy. Pierwsza spokoju i dobrego bytu pragnie; drugiej uśmiecha się sława. Z jednej byliby najdoskonalsi, pierwsi obywatele kraju — z drugiej satrapowie, albo wielkorządzcy wszelkiej wiedzy, żelaznej woli i żelaznej ręki. Jedna mówi: kiedy nie może być, tak jak być powinno, to rzucę wszystko i pójdę na polowanie; druga mówi: nie masz prośby, nie masz groźby, nie masz podstępu, nie masz nacisku, którego bym wachała

http://rcin.org.pl

się użyć, żeby postawić na swojem; żeby tak było, jak chcę; żeby było. Patrjarcha pierwszej rodziny, nie mogąc podołać wielkiemu dziełu, które rozpoczął, bolał sercem nad nieszczęściem kraju; bolał na wspomnienie klęsk, jakie mógł sprowadzić na kraj swym uporem; rzucił ojczyznę, krórą kochał, której służył i na dobrowolne wygnanie się puścił. Patrjarcha drugiej ugiął hardy kark przed podbójczą władzą, całował nogi, ręce, poły szat, tych, którzy tłoczyli na kraj jego jarzmo niewoli; był ich pandurem, siepaczem, katem; na ich rozkazy ciągnął na szubienicę, wbijał na pal, tych, którzy z nim razem za ojczyznę walczyli; swojemu wodzowi i towarzyszowi ściął głowę i posłał w darze temu, przeciwko którego władzy walczył i walczyć zamierzał. Jak wrogów uśpił, odurzył, swoich na nogi i na ramiona swojej woli przerobił; dał hasło do walki, postawił na swojem, Serbję na nogi, a siebie na jej głowę. O Krzyżakach nigdy nie słyszał, ani o wielkich mistrzach, ani o komturach, ani o Litwie, a jednakże był doskonałym Wallenrodem, może zupełniejszym, doskonalszym, jak Wallenrod utworu poety. Przysłowie gminne, ale prawdziwe mówi: Rodem kurki czubate — jabłko nie odkoci się od jabłoni na daleko — jaki ojciec, taki syn. Rodziny przechowały cnoty i wady, nałogi i pochopy swoich patrjarchów. Były jakieś niepodobieństwa, z braku odwagi, z braku woli, z wykształcenia, z przekształcenia nawet, ale były to odcienia — natura taż sama i toż samo chcenie.

Takie były dwie rodziny. Ale trzeba prawdę powiedzieć, że oprócz Miłosza, żadnego nie było, któryby był godzien obetrzeć ze rdzy miecz Wielkiego Stefana, z pyłu otrząść księgę prawodawstwa Duszana, trzymać za uzdę bojowego konia cara Lazara. Między tymi karłami Miłosz jeden był półolbrzymem; ale i ten nie doszedł serbskich olbrzymów, sławnych Nemanów.

Ale naród serbski był zawsze ten sam: dziki, ponury, jak jego lasy, jak jego góry — kochał ten kraj, dla tego że był takim i sam nie chciał być od niego inakszym. I Serbowie i ziemia serbska, jak były tak zostały, dzikiemi, ponuremi. Samolubny, bo się nauczył w nieszczęściu, że go

http://rcin.org.pl

nikt nie lubił; w rozwoju szczęścia, które sam nabył swoją pracą, ale nie cudzą pomocą, jeszcze siebie lubi, zimny w spokoju, bez rozpaczy, bez wyskoków znosił niewolę — w swobodzie, wolności nie przerobił na swawolę, nie przez miłość, nie przez obawę, nie przez szał jaki, ale przez zimne przekonanie szanował prawo i władzę, i szanuje teraz. Imiona ludzi, ani formy rządu nie wzbudzają w nich ani przynęty, ani odrazy. Mówią: kto naszą Serbję do cnoty, do potęgi, do sławy prowadzi, my z tym będziemy; Serbami jesteśmy i Serbami być chcemy. W boju dziarscy i ogniści junacy, jakimi byli na Kosowem polu, kiedy bronili sławiańskiej swobody; jakimi byli pod Koniach, kiedy od hord Tamerlańskich obronili potomstwo Ottomańskich Sułtanów, w których krwi była krew Nemanów po kądzieli — takimi są i dziś. Swojem junactwem w woli i gotowości do czynu, lepiej bronią od napaści Niemców i Madziarów, i Sławiaństwo i państwo Ottomańskie, jak wszystkie traktaty; bo gdyby Serbów nie było, traktaty z wiatrem by uleciały, a Szwaby i Madziary nad Dunajem aż do Czarnego morza, po Bałkany, jak u siebie by panowali. Taki lud serbski, a nie inakszy, i takiemu ludowi trzeba na Pana, albo Nemana, albo wszechsławiańskiego Cara i Hospodara.

Do takiego kraju, do takiego ludu, Zwizda dochodził — Zwizda, niewolnik cyganki, ale niewolnik ze swojej woli, Ukrainiec, choć niewolnik dobrowolny, marzył o sławie, o przyszłości, a nawet o miłości ku swojej pani. Dla czegoż nie ma zostać cyganem i serbskim żołnierzem? Będzie przy niej — on Sławianin, a to służba sławiańska. Bo już mu nie wracać do Tulczy, po tem wszystkiem, co się stało; każdy by go palcem wytykał: powrócił, bo z głodu i z chłodu umierał; boso, obdarto chodził, a tu z posagiem żony będzie mu wygodnie, we wszystko będzie opływał, jak wieprz pasiony w karmniku siedział. Choćby wyszła za niego panna, każdy nim będzie poniewierał, nikt go nie będzie miał za boże poszycie — i przyznawał, że mieliby prawdę za sobą. Choć był w dzisiejszym wieku urodzony, ale że nie był ani wielkim paniczem, ani bardzo umysłowie wykształconym

http://rcin.org.pl

więc zachował jeszcze dumę i godność ukraińską. Mówił sam do siebie:

— Jak się dosłużę stopnia, jak się dorobię pieniędzy, a ta, którą kocham, bo kocham, będzie dla mnie obojętną, to powrócę, i jeśli nie wyszła za mąż, to się z nią ożenię. Ludzie nie powiedzą wtenczas, że dla jej posagu, ale dla jej cnoty, dla jej stałości, dla jej dobroci; bo tak będzie. I dla tego lepiej, żeby myśleli, żem przepadł, Bóg wie gdzie, jak żeby wiedzieli, gdzie jestem i co robię. I ja przybiorę inne imię i do cygańskiej konnicy się zapiszę. —

Tak sobie ułożył Don Żuan ukraiński i był spokojniejszym. Tylko dawał słowo sobie samemu, daj Boże, żeby nie donżuańskie: że nie będzie za wiele przypatrywać się ani Serbkom, ani Niemkom, ani nawet Cygankom, choćby jakie miały buziaki; bo by mogło nastąpić nowe jakie licho. Już posiwiał, gotówby wyłysieć i z rydza przejść na zgniłego grzyba.

Tym razem wziął swoją odwagę w obie ręce, poszedł do królewny i nie napomykając ani słówka o miłości dawnej, ani o dzisiejszej, wprost jej opowiedział swoje zamiary. Ona pilnie wszystkiego wysłuchała, na twarzy byłuśmiech zadowolnienia mniej smutny, jak zawsze.

— Kiedy taka twoja wola, niech tak będzie. Będziemy jak brat z siostrą, jeśli nie pod jednym dachem, to pod jednem niebem. Będziemy sobie przypominali dawne czasy, ale tak, jakbyśmy byli rodzeństwem. —

I zmieniając rozmowę, nadała Zwizdzie imię Dżafer; radziła mu, żeby sobie włosy poczernił, twarz ośniedził; bawiła się, baraszkowała, jak mała dziewczynka. Chciała zawczasu przybrać nowego Dżafera w dolman, w mentyk madziarski, jaki nosi konnica serbska. Dała mu pawie piórko, by je przypiął do czapki, i choć z piórkiem, został jeszcze polskim wiarusem; dała i czaple, by nie zapomniał, że się urodził kozakiem. Tak się bawiła królewna, dziewica, bo nazajutrz dzień już mają przeprawić Dunaj, na serbską ziemię; tam się kończy jej panowanie, tam i ona dostanie męża.

---

http://rcin.org.pl

Kiedy Cyganie cygańskim pochodem maszerowali do serbskiej ziemi, w Tulczy smutek i żałoba; nawet pani Żukowa nie może się zdobyć na pociechę, po tem, co widziała, co słyszała. Jakąż tu rzucić nadzieję? Nic nie zostało do powiedzenia. Taka była wola boża, trzeba się zgodzić z wolą bożą, bo inaczej nie można.

Pan Żuk pierwszy raz w życiu powrócił z niczem, ale to tak z niczem, że nie mógł nic wymyślić, żeby ludzi durzyć, a siebie zrobić koniecznie potrzebnym — a tu ani weź! Chyba że jak żołnierz suwarowski, zabity w bitwie pod Zurych, odebrał rozkaz od Suwarowa, żeby pochowany, szedł pod ziemią aż do samego Cara i tam na świat wyhulknął — tak i Zwizda ranny, mógł odebrać rozkaz od Jeża, albo od Sroki; stał się po prostu ptakiem, albo gwiazdą, wzleciał z ziemi w niebiosa i poleciał na komisarza niewidomego do jakiegoś zakątka polskiej ziemi. Inaczej sobie tłumaczyć nie mógł tego, co się stało.

Nie masz dnia, żeby po dwóch, po trzech i po więcej Polaków nie przychodziło z Kostengalskiej sprawy, i każdy mówi:

— Oj, co biliśmy, to biliśmy; bomby i kartacze by tego nie dokazały, co nasze kije! Łupu, cupu, po plecach i niżej, bo aż pfe, jak uciekali! Gdyby nam pozwolono, tobyśmy całe Multany i Wołosze w poddaństwo zapisali i byli panami, dziedzicami, jak nasza szlachta. Ale Jeż ze Sroką nas zdradzili, po prostu zaprzedali. Bogdaj ich djabli wzięli, tych parszywych dyplomatów! Wykierowali nas z torbami na dziady! —

Pan Skorupadzki to wszystko słyszy i temu wszystkiemu wierzy, bo i on ma dyplomatów w narodzie za paskudne zielę w zbożu, za perz, za kąkol i za jeszcze gorzej — a tych dyplomatów Niewidomego za łgarzy, za kuglarzy, za wielkie ladaco! Żałuje Zwizdy: Szkoda chłopca, że się dał tak wyprowadzić w pole tym odrzymieszkom! Szkoda i tych dzielnych biedaków, że dali się w szory ubrać, a potem sprzedać, jak barany! — A tem większe w nim jest oburzenie, że biedna dziewczyna cierpi, choć nic nie mówi, ale cierpi; chciałaby wszystko wiedzieć, a obawia się dowiadywać, żeby

http://rcin.org.pl

jakiejś smutnej prawdy się nie dowiedzieć. Przysłuchuje się rozmowom i o nic nie zapytuje, a ciągle się modli i duma. Ona zaręczona, a zaręczonego nie ma; jakby wdowa przed ślubem, w miejscu weselnej sukni, żałobę nosi. Taka młoda, a taki był jej świat pięknym, taką przyszłość złotą snuła, nadzieję w swej myśli, życie z mężem, kochankiem — szczęście domowe, błogosławieństwo boże. I to wszystko zniknęło, jak poranek wiosenny, jak młodości urojenie — znikło, a zostały smutek i żałoba. Wciąż myśli o narzeczonym, a płakać nie może — i modli do Boga za narzeczonego i o narzeczonego. Stara matka ją pociesza, a sama się smuci: O, jakże moja donia byłaby szczęśliwą, a teraz Bóg wie, co się stanie! Dziewczyna taka hoża, taka wesoła — teraz mizernieje, smutnieje! — Matki oko dostrzega, jak coraz bardziej bledniejąą usta, jak występują rumieńce na lice, niby wypieczone i nagle nikną; jak obwódki ciemne pod oczyma coraz bardziej się cienią — chudnie, traci chęć do jedzenia, do zabawy; nie śpi po nocach, a kaszel rzadki a stłumiony milczenie przerywa. Wszystko to oko matki widzi, ucho matki słyszy — złe znaki. A ona mówi: nic mi nie jest, nigdy zdrowszą nie byłam — i gwałtem krząta się po domie jak dawniej, i jak dawniej gości przyjmuje i do nich w odwiedziny chodzi: wszystko to dla rodziców, ale biedna dziewczyna cierpi. Ona pokochała całem sercem Zwizdę, ale spokojnie pokochała — spokojnie też i cierpi. A to cierpienie pomału, pomału człowieka niszczy i prędzej wiedzie do grobu, jak wybuchy szału i rozpaczy; bo w tych są przesilenia, jak w gwałtownych chorobach; na powolne, spokojne ich nie masz — swoim porządkiem idą i tym porządkiem wiodą do końca. Matka to widzi, przeczuwa, ale ojcu nie śmie powiedzieć: cierpi — i do Boga się odwołuje. On jeden może podźwignąć, on jeden dać ratunek!

Kuropatwa służy całemu domowi, jak pudel na dwóch łapach. Służbę przyjmuje z nałogu, z przyzwyczajenia, przez grzeczność, ale na sługę mało zważają, a nawet o niego nic dbają. On jednak swoje a swoje — kropla wody po kropli spadając, choćby jaki granit przepłacze, to cierpliwości nauka, pokora i mury przebija — tak mówią starzy, a przy-

http://rcin.org.pl

najmniej pokorne cielę dwie matki ssie. Kuropatwa uzbroił się w pokorę i w cierpliwość i nie zraża się niczem, nawet widocznem niknięciem dziewczyny. Mówi sobie: Wszystkiemu musi być koniec, jak był początek; w wieczność, w nieśmiertelność nie wierzę! — A od czasu do czasu puści jakiegoś bąka o Zwizdzie: że go Rumuni przez zemstę wojennej zniewagi, bo za jego przewodem szli ci, co ich bili i pobili okropnie — żywcem spalili i popioły na wiatry rozpuścili; że trzy siostry w nim się zakochały i taka zazdrość je opanowała, jednej ku drugiej, żeby się żadnej nie dostał, włoskim obyczajem, bo to Rumunie, Mołdowanie, czy Wołochy, z włoskiego rodu, truciznę gwałtowną a nieznaną otruły, a potem pogrzebały. Potem znowu, że Jeż tego winownika zawiózł w prezencie księciu Kuzie, na pokaz, jaki to jest Ukrainiec, a ten w prezencie posłał dalej, może Napoleonowi, może Maziniemu, i zatatarzyli biednego Don Żuana Ukrainy. A cyganka Kuropatwie nawet nie przyszła na myśl; nie mogło się to pomieścić w jego kuropatwiej głowie, żeby kozak mógł sią związać z Cyganami.

Tak się miały rzeczy w Tulczy, kiedy jednego dnia w kantorze u pana Żuka zeszedł się Osip Siemienowicz z Woroną. Osip Siemienowicz tylko co wrócił z Czarnowody, czyli Boaz-Kioi; opowiadał, jak się zdybał w gospodzie żelaznej kolei z baronem Sroką, dyplomatą Niewidomego, wysłanym teraz na posła do Stambułu. Osip znał się z nim dawniej, przez zalecenia Wielkiego Komtura, i miał z nim konszachty, równie jak Żuk nieboraczek. Wielki Komtur z Żurachwiną, czy z Maliną, wszystko to powiązali w jakąś dziwną plątaninę. Sroka tedy rozmawiał z Osipem poufale, jak na dłoni wykazując mu i nadzieje i siłę sprawy Niewidomego w Stambule, u Wysokiej Porty, i jakie ztąd dobrodziejstwa na Dobrudżę spłyną, szczególnie na rybołówstwo i na handel drobiazgowy, byle tylko Dobrudża otrząsnęła się zupełnie z wpływu kozackiego ottomańskiego, a szlachcica Watażkę tak wyklęli, jak wyklęli i klną Mazepę, Wojnarowskiego i Kisielewskiego na Ukrainie. Że on jedzie do Stambułu, gdzie ma spotkać jenerała Indyka młodego; że z nim razem rozbiją, rozpędzą Kozaków ottomańskich i Dra-

http://rcin.org.pl

gonów, a szlachcica Watażkę, choćby trzeba było w Bosforze utopić, to utopią, byle się go pozbyć — i w ten sposób wszystko znowu na nogi postawić, stworzyć siłę, któraby pozwoliła odnowić wyprawę, zepsutą płochością i nierozumem tego ciemięgi i niezdary Jeża, i podać rękę armji katorżników, która w gotowości czeka, a która dopiero pokaże, co to wojsko złożone z ludzi, którzy nic mają nic do stracenia, a wszystko do zyskania! Takiemu wojsku nic się nie ostoi, bo to wyrzutki ludzkości; na ludzkość, ani na nic zważać nie będą, tylko iść naprzód i bić kogo im pokażą. Sroka, twórca tego wojska, tak się niem czwanił, że Ludwika Czternastego i Fryderyka Pruskiego miał za małe obok siebie figury, Bolesławy i Batory byli karłami, a Jan Trzeci i Napoleon Wielki mogli u niego terminować w sztuce stawiania armji i wyprowadzenia jej do boju.

Żuk słuchał i nic nie mówił. Worona się zżymał:

— Nieszczęście to nasze, że my nigdy się nie poprawiamy i nie poprawimy; nie będzie nigdy mądry Polak nawet i po szkodzie. Jakiś oberwaniec wszystkich obełguje i durzy. Czy jest w tem jakiś sens, jakie prawdopodobieństwo — armia katorżników! W imię Niewidomego widomi płacą, a te trutnie grosz wdowi trwonią na rozpusty, na frymarki; drwią z Polaków i z biedniejszej jeszcze sprawy polskiej. Temu, że potrafią zniszczyć, co nasze, co polskie, to bardzo wierzę, to bardzo wierzę, bo widziałem to nieraz; ale temu, żeby postawili coś polskiego i dla Polski, w to nie wierzę i nie uwierzę. Zrzucili Skrzyneckiego, żeby nie bronił polskiej sprawy — idą dalej, a dalej, i to Polacy! Nie daj Boże zdybywać się z takimi Polakami! Biada nam i wielka biada! —

Staremu aż łzy w oczach stanęły. Osip pokręcał głową, le nie śmiał ani przeczyć, ani potakiwać, a patrzał na Żuka, który dla niepokazania, co myśli, przerzucał papiery, jakieś rejestra.

— Ja się tam w te rzeczy nie wdaję — mówił Osip — to wasza polska sprawa. Ale muszę przyznać, że ten Sroka, choć i łgarz, bo na to przystaję, umie gadać — sprytna sztuczka! Niby trusia, taki słodki, potulny — a czysty lis,

http://rcin.org.pl

to mu z oczów patrzy. Ma przy sobie sekretarza Skrzynkę, który pisze, jak djaczek, choć na djaczka nie wygląda, i drugiego jakiegoś, którego zowie Lisem, Liskiem, i tego wiezie, żeby do Kozaków zapisać i nim rozsadzać kozacki hufiec, bo mówi, że to najpraktyczninjsza z wewnątrz takie budowy rozburzać. Tak radzi Machjawel i święty Lojola.

— I cóż to za djabeł ten Lis czy Lisik?

— Pierwszy raz go widziałem, w okularach, ma oczki, ale nie swoje, kolorowe, szklanne, żeby nie widziano, co się w nich dzieje. Młody jeszcze, mało mówiący, udawacz rozumu; w uśmiechu nie ma ani szczerości, ani młodości — widać gniewny i zazdrosny temu wszystkiemu, co jest wyższem, co jest lepszem od niego — pęcherz nadęty, we środku próżny. Takim go osądziłem moim chłopskim rozumem; ale Sroka na nim wielkie nadzieje pokłada, mówiąc: jeszcze nie zna ani szlachcica, ani Kozaków, a już ich nienawidzi, i koniecznie mu się chce być Wallenrodem na zniszczenie Kozaków, nie przez wyrozumowanie, ale przez upodobanie. Takiego mi trzeba.

— Jedną prawdę powiedział ten lichy twój dyplomata: że Wallenrodyzm poprzewracał te biedne polskie głowy, jak króliki. Ta prawdziwa nierogacizna, włażą w nory jedne do drugich, żeby swoje płody wyjadać, sami między sobą się zajadać — i oni to zowią Wallenrodyzmem! A jak go wróg przyjmie na służbę, to jak mops tańcuje, żeby pochlebstwem ugłaskać pana, a kończy Wallenrodyzm na zajadaniu swoich. Lepsza od nich prawdziwa nierogacizna, bo choć się między sobą zagryza, od wilków nie ucieka, a wilkom się broni. —

Stary Worona bolał całem sercem nad tem biednem pokoleniem, które w nierozważną i nielogiczną walkę przez niewidomych i widomych wprowadzone. Wtenczas kiedy walka trwa jeszcze, kiedy poczciwi ludzie poświęcają się i giną, szalbierze świat obełgiwują, wdowi grosz frymarczą i polskie hufce rozbijają, podle, nikczemnie! O, pewnie ta dyplomacja Niewidomego nie doprowadzi do czego innego, tylko do widomego upadku i sponiewierania sprawy i imienia narodowego! —

http://rcin.org.pl

Niedaleko Widynia, na łodziach, strojnych we flagi różnobarwne, przeprawił się tabor cygański na prawy brzeg Dunaju. Słońce tak pięknie, tak jasno świeciło, wody wielkiej rzeki od połysku słońca tak jasno się śniły jak metalowa płyta lazurowej barwy. To złoto słoneczne, to zwiastun szczęścia złotego; ten lazur wody, to zwiastun powodzenia stałego. Żadna ryba nie rzuciła wzrokiem złego uroku, żaden ptak złowieszczy nie przeleciał ani na prawo, ani na lewo; tylko łabędzie witały piękną królewnę, wznosząc szyje do góry; tylko jaskółki, lotem w zygzaki kołując do koła łodzi, witały gości i życzyły im szczęśliwej podróży.

Wszystko było błogo i na ziemi i na niebie, a jednak radość daleka od Królewnej serca; smutno jej, że się już ma ku końcowi ten pochód swobody; żałowała i tych cygańskich polowań, i tych cygańskich obozowań; bo tam ona sama jedna panowała, a każdemu żal panowania, choćby jakie szczęście, jakie dostatki, uciechy i zabawy spotkać go miały i spotykały w nieposzanowaniu; bo panowanie, to trunek ducha: kto się raz go napił, ten chce pić jeszcze i jeszcze i nie przestawać nigdy. Panowała nad taborem swoim, panowała nad dawnym kochankiem, a teraz to wszystko trzeba złożyć w ręce inne i samej pójść pod władzę. Markotno jej, smutno, ale tak sama chciała, tak być musi i tak będzie.

Zwizda, raczej nowy Dżafer, nie wesoły, ale nadrabia miną. Tem są podobni Francuzi do Polaków i do Kozaków, że przy ludziach, w obec świata, choćby jaka bieda, to hoc! Dość będzie czasu na smutek, na żal, na rozpacz nawet, kiedy się będzie w obec czterech ścian tylko, albo na pustyni przed obliczem Boga samego.

Nad Tymokiem, po serbskiej stronie rzeki, czekał Tanasz bej, jenerał i wojewoda, mąż dzielnej ręki i odważnego serca; wiek swój już znaczył czterema krzyżykami, ale postawa jeszcze młodość i czerstwość pokazuje. Wzrostem duży, barczysty, w kibici wcięty, ale dobrze osadzony; lice rumiane, nos orli, usta szerokie, czoło wysokie, włosy

http://rcin.org.pl

czarne, jak krucze pióra, szronu na nich nie dojrzeć; oczy siwe, jak u orła, a takie bystre i takie dzikie. Wąs szerokiej taśmy i jak szczecina przycięty, strzępiasty, jak u Serba, jak u Czarnogórca, nie zakręcany, nie muskany, jak u szlachcica polskiego, albo u bośniackiego bega. Przybrany po huzarsku, po madziarsku, cały w amarancie, złotem i srebrem naszywany i haftowany; potury nogi obciskają, a na brzuchu złote i srebrne essy i floresy, buty węgierskie z czerwonego safianu, z podkówkami i z ostrogami ze szczerego złota; na mentyku przy złotych brandeburach brylantowe guzy, wielkości słowiczego jajka, w karaty szlifowane. Przy dołmanie sobolowe futro, na taszce sławiański orzeł z rubinów, szmaragdów i turkusów, zmięszanych z brylantami; u serbskiego sobolowego kołpaka kita z czaplich piór, oprawna w guz brylantowy, przypinający ją do kołpaka; krzywy pałasz, w jaszczur oprawny, skówki w brylanty nasadzane, rękojeść amatystową, a na poprzecznicy same brylanty z rubinami i szafirami zmięszane; pas bogaty, złoty, pstrzony w droge kamienie, za pasem dwa pistolety misternej roboty i kindżał z rękojeścią malakitową.

Pod nim dzielny rumak wilczaty, bośniackiej porody, z Kulen begowego stada, w bogaty rząd przybrany; na czole ma gwiazdę z brylantów; czaprak haftowany w hieroglify cygańskie, a szczerem złotem — ale rumak taki, jakich na świecie mało. Z tego stada był Szarak królewicza Marka i Wilczek cara Lazara;[1]) z tego samego stada rumaki nosiły Beglerbejów i Akindych, pod Wiedeń i za Wiedeń, na Szwabów i na Madziarów. I Wilczek, Tanasz Beja, jenerała, i szabla wojewody cygańskiego z Madziarami obeznana. Z jenerałem wojewodą Kniczaninem tłukł Madziary i z Wojewodziny jak z niepysznych wyganiał. W tych bitwach wsławił swoje imię i imię swojej konnicy: madziarskie baby dzieci Tanasz bejem straszą, jak straszą rosyjskie Francuzami, jak straszą francuskie Prusakami. Tak Madziarom samochwalcom pod Tanaszem cygańscy jeźdzce dali się we znaki, jak niegdyś dawali się we znaki psubaraty Krzyżaki poganom Litwy. Serbowie za przewodem Wuczyca Petronowicza i Garaszanina mianowali Tanasz beja wojewodą,

http://rcin.org.pl

jenerałem i posadzili w wojsku obok wojewody jenerała Kniczanina. Dwaj junacy razem z sobą Madziarów wojowali, razem z sobą czci i dostojeństw sławiańskich używali.

Jak tylko ukazał się tabór cygański z drugiej strony Tymoku, Tanasz wojewoda spiął konia ostrogami — bośniacki dżamet przysiadł na zadzie i w kilku chlustach przez wodę już był na drugiej stronie rzeki, i jak strzała puścił się w cztery kopyta ku zbliżającemu się taborowi; za nim hurmem sunęło kilka szwadronów jego konnicy, a wszyscy po huzarsku, po madziarsku, a wszyscy w amarantach ze złotem i w kołpakach serbskich, z piórami, a pod wszystkimi bośniackie dżamety, z Kulenbegowego wakufu, bure, szare, wilczate, myszate, wrone, gniade, a ani jednego nie masz białego, ani jednego kasztana — dzika jazda, dzikie konie, ławą sadzą, w czwał za wojewodą. Ziemia tętni, jakby się rozpaść miała; tumany kurzu lecą z ziemi ku niebiosom, jak trąba Hedziażkiej pustyni po nad brzegami morza śmierci. A jednakże ta trąba żyjąca, złotem i amarantem jaśniejąca, nie śmierć, ale zamęźcie i szczęście, zatem życie niesie.

Królewna zatrzymała się i czekała. Tanasz wojewoda o dwa kroki przed nią z szalonego czwału konia w miejscu zatrzymał, zapruł kopytami, aż na kolana przysiadł. Wojewoda z konia skoczył i królewnie pokłon oddał, aż czołem strzemienia dotknął, bo to była jeszcze dla niego królewna. A szwadrony cygańskie w prawo i w lewo stanęły płotem do przyjęcia królewny swojej — i muzyka, i taboru i konnicy, uderzyła w bębny i w piszczałki, i w skrzypce i w cymbały, a sześćdziesiąt niedźwiedzi litewskich, jakby jednym wielkim rykiem zaryczały nad Tymoku brzegiem.

Potem jechali obok siebie w parze, bo ona mu ręką i głową wskazała, by jechał z nią razem. Za nimi jechał Dżafer i Dżyhan. Oni z sobą rozmawiali głośno, poważnie, ale w cygańskiem narzeczu, zapoznawali się z sobą. Ale Dżafer Zwizda, choć przysłuchiwał się, ani jednego słowa nie rozumiał. Konnica zmieszała się z taborem, bo tak chcieli, a Wojewoda nie krępował ich woli — i to jeszcze była swoboda.

Cyganie z rozmaitych krańców ziemi w mig z sobą się

http://rcin.org.pl

zapoznawali i już po chwilce byli tak razem z sobą, jakby razem wzrośli i ciągle, bez przerwy z sobą żyli. Każdy opowiadał o ziemiach, które przechodził, o ludach i o ludziach, z którymi się ścierał, o wielkich miastach, o dziwach ludzkich; a jednak ani jednego nie było, któryby nie poszedł witać litewskich niedźwiedzi — bo to Cyganie jak i niedźwiedzie od wieków ukochały litewskie puszcze: tam stolica ich królów, i jednych i drugich — tam akademja smorgońska, i ztamtąd upatentowani, Cygan z niedźwiedziem, jak bracia rodzeni roznosili po świecie taniec pobratymstwa człowieka ze zwierzem, i tak im jest on miłym, jak dyletantom zachodu wszystkie balety sylfid i buntownic seraju, bo co narodowe, co swoje, to u Cyganów i najlepsze i najładniejsze, a niech co chce sobie będzie, natura ciągnie wilka do lasu — dobre przysłowie, prawdziwe przysłowie.[2])

Kiedy wjechali w rzekę, tabor się zatrzymał, a oni we dwoje stanęli na środku Tymoku. Ona pierwsza przemówiła:

— Jeśli chcesz, chcę być twoją; taka moja wola. —

On jej pokłonił się głową, rękę przyłożył do serca, a potem na usta:

— Moje serce tego pragnie, i ja chcę być twoim. Taka moja wola.

— Więc jestem twoją, a ty moim!

— Jestem twoim, a ty moją! —

I razem powiedzieli:

— Taka nasza wola, tak chcemy! —

Na brzeg serbski wyjechali. Ona zeskoczyła z Bedowji, pokłoniła się nisko, jedną ręką chwyciła za uzdę wilczatego, drugą za strzemię Wojewody. Wojewoda zsiadł z konia poważnie, ucałował w czoło Zairę, i ślub był skończony — on był mężem, a ona żoną![3])

Siedli znowu w siodła i tym razem wojewoda jechał na przodzie, o długość pół konia, a nozdrza białej bedowji rozgrzewały kolano Wojewody; bo on już był mężem, a ona przestała być królewną, a była żoną.

Tak przyjechali do Niegotyni, gdzie było mieszkanie Wojewody. Tu go ludność serbska przyjęła po serbsku, strzałami z rusznic, strzałami z pistoletów; dla większej czc

http://rcin.org.pl

wszystka broń była kulami ponabijana. Cyganie, żeby nie zostać oznaką w tyle za bracią Serbami, takoż broń ponabijali. I była palba przez godzin kilka; strzały pukały, kule w powietrzu gwizdały. Bitwa niby i to zacięta, bo strzały grały, rozgłosem leciały w lasy, w góry, a proch zasiarczył powietrze na daleko, na szeroko. Naród junacki przyjmował po junacku, a nie było ani rannych, ani zabitych, bo Serby od dzieciństwa z bronią obchodzić się umieją, jak Kozacy z końmi. Bóg tak w swej woli przeznaczył, żeby Serbowie byli piechotą, Kozacy konnicą dla wszechsławiańskiego państwa. Kto połączy te dwie bronie, tych dwóch sławiańskich pokoleń i poprowadzi na wojenny taniec, pod tym będą skakać, jak wróble na nitce, jak na jednej nodze bociany — i Latyny i Giermany, i Skandynawy i Tatary, a górą pójdą Sławiany, lud słowa, lud sławy, lud wybrany — lud junacki, byle tylko miał powodyra junaka.

Po palbie, którą ostrzelali małżeństwo, na pomyślność, na szczęście i na potomstwo junackie, zaczęły się biesiady. Całe woły, całe barany, całe świnie pieczone kładziono ludowi. Lud jadł i śliwowicą popijał, za zdrowie małżonków, na sławę ich potomstwu, a wszędzie muzyka, a wszędzie tańce i ludzkie i niedźwiedzie. Szumno, głośno, wrzawno, a zawsze sprawno, wesoło, ochoczo, a zawsze hulaszczo. Taka biesiada przez trzy dni i trzy noce trwała; hulali wielikasze, hulali mali, hulał lud cały, bo się ożenił wojewoda, serbskich konnych pułków wódzca. Niech żyje młoda para, niech daje konnych junaków serbskiej ziemi, przed których pogonią uciekałyby i Madziary i Tatary, i Szwaby i Giermany; a którzyby posadzili na tronie Duszana, potomka Nemana, jeśli wola; jeśli nie, to wszechsławiańskiego Cara.

Jakkolwiek Don Żuan ukraiński był człowiekiem, który nie usychał z miłości i miał za zasadę życia, żeby nie kochać długo — nie zechce jedna, to znajdzie się druga; i słodycze ciągłe znudzą i utrudzą, trzeba nowych, żeby się rozbudzić i smakować — jednak to małżeństwo było pewnem udręczeniem dla niogo. Zaira mu była piękniejszą i w oczach i w sercu, jak kiedykolwiek była, bo już nie jego, a drugiego. I ten wojewoda go gniewał: nie młody, a taki czerstwy, taki

http://rcin.org.pl

hoży — a on młody, posiwiały i zgrzybiały, a co go najbardziej dobijało, że szczęście było na Zairy licu, szczęście na ustach, szczęście w oczach; w całem obliczu była szczęśliwą.

Może zapomniała, albo zapomnieć chciała o Zwizdzie, ale nie zapomniała o Dżaferze: mężowi go przedstawiła, a mąż serbskim Wielikaszom, i został mianowany rotmistrzem nowego szwadronu cygańskiej jazdy. A że wojewoda i Wielikasze wiedzieli, że jest Polakiem, Kozakiem z Ukrainy, więc go i dostojną czcią i serdecznem braterstwem traktowano.

Wówczas jeszcze imię Polaka, czy katolika, czy Muzułmana, było u Serbów w wysokiem poszanowaniu. Świeże i bohaterskie posługi oddane Serbom, przez szlachcica, przez Czarnego, przez dwóch braci Wołyńców, i przez naddniestrzańskiego Korsaka, jawnie i dobitnie im wykazały, że Polacy są Sławianie i chcą być Sławianami. I nad Sawą i nad Morawą, i nad Tymokiem i nad Dunajem — i w Szumadji i w Kołumbarji, i na Podgórskiej i na Baczkiej ziemi, i w starym Kruszewcu, i w nowym Kragajewcu, i w samym Białymgrodzie, imię Polaka dobrze brzmiało, jako pobratymca, brata wolności, brata swobody, brata wszechsławiaństwa!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XIV.

http://rcin.org.pl

XIX

http://rcin.org.pl

PO MAŁŻEŃSTWIE.

Nowe sitko na kołeczku — tak mówi jakieś stare przysłowie niewiadomo jakiegoś tam ludu. Ale komentarz tłumaczy, że w jakiejś tam rodzinie, gdzie było wiele niewiast, i starych i młodych, kupiono od sitarza — może z Biłgoraja, bo to tam od potopu świata robią sławiańskie sławne sita, choć o tem nic nie mówi ani Hanka, ani Szafarzyk, ani nawet Duchiński, i inni sławo-ludy i sławo-znawcy — otóż kupiono sito włosienne w kraty, szarej i czerwonej barwy, żółtymi promykami przewijane, a łubek kabłąku cały na żółto pomalowany. Takie było ładne, że go zawieszono, żeby patrzeć i podziwiać, a stare rzucono pod ławy, choć dobrze służyły i choć je jeszcze używano. Do bójek przychodziło między babami, która ma przesiewać mąkę na nowem sicie, i żeby niem przesiewać, każda robiła się piekarką, a potem oczyszczone, omyte, znowu wieszano na kołeczku. Stary dziad, dziadek, czy pradziadek tego rodzeństwa ciągle się uśmiechał i powtarzał: Nowe sitko na kołeczku!

W Białymgrodzie nowem sitkiem, choć nie wyrobione w Biłgoraju, był rotmistrz Dżafer Zwizda, Ukrainiec motorny, niby Don Żuan Bałaguła. Włos sobie pomalował, wąs poszwarcował — umiał nosić mundur. Mundur przypadał do niego, a on do munduru — przypadali do siebie,

http://rcin.org.pl

jakby dla siebie się porodzili. Umiał przy wejściu i przy wyjściu ostrogami pobrzękiwać, tak, że za każdym brzękiem serce dziewczyny, czy mężatki drgnęło, jak drga, kiedy się jej co miłego stanie. Umiał szable puszczać po bruku, tak zgrabnie, tak hulaszczo, że gdyby wczorajsza wdowa na grób męża szła ulicą, to jeszcze by się obróciła po za siebie, myśląc, że nieboszczyk ukochany za nią goni, i nie smuciłaby się i nie gniewała, a nawet się nie odwracała, kiedy by zobaczyła, że to nie nieboszczyk ukochany, ale żywy, który może być kochanym. Między Serbami i Racami, między Cyganami nosił buty lakierowane i rękawiczki glasowane.

Jeden z wielkich dyplomatów osmańskiego rodu, zdając sprawę o Serbach przed Wielkim Wezyrem, mówił, że nie ma co się obawiać tej dziczy, że to czerń i dzicz taka, że na nic się nie zdobędzie, bo nie widział z nich żadnego ani w lakierowanych butach, ani w rękawiczkach glansowanych; że może Wysoka Porta spokojnie spać na obydwa uszy, bo oni ani pomyślą o żądaniu wyjścia załóg tureckich z twierdz na serbskiej ziemi; a jakby się jakie tłumy zebrały, to kilku kawasów z kijami zapędzi ich jak psów do budy. Na lepszy dowód dodał, że w całym Białymgrodzie i w całej Serbji, oprócz księcia Hospodara i dwóch czy trzech konsulów, nikt kabrjoletu nie ma, a o tylburach, o kabach, o wiktorjach, ani słyszeli. Dla tego ich kobiety tak do każdego cudzoziemca przybranego wzdychają, choćby do Muzułmanina — i gdyby się nie bały, to by pewnie za nimi i na kraj świata poleciały. Na dobitek tych wszystkich argumentów odwoływał się do poświadczenia konsula angielskiego i to jeneralnego, oraz do pani konsulowej, że to dzicz, na którą nie trzeba broni, tylko kułaka; że nie ma co myśleć o tych świnopasach, zapisać nazad na rajów[1]) i zostawić ich w ich górach, w ich lasach. Wierzono dyplomacie. Daj Boże, żeby to na dobre wyszło! Ale Wysoka Porta nie lubi kłopotów, nie tylko w czynie, ale nawet w myśli; lubi spokój, spoczynek i używanie w roskoszy darów bożych, darów sułtańskich. Kto jej mówi: nasza władza, jak władza Boga — wszystko przed nią pada na kolana i woła: I my, co mamy, to nie nasze, ale wasze, bierzcie, róbcie co chcecie — temu

http://rcin.org.pl

wiarę dają, a jeśli złe potem się stanie, to mówią jak prawowierni Muzułmanie: tak chciało przeznaczenie!

W Stambule nie wiedziano, a może i nie wiedzą, że naród, którego Wielikasze i Powodyry siadają z koni w powozy, i sobie i narodowi gotują obce powrozy. Tak zrobili Polacy, idąc za cudzoziemskim przykładem; tak będzie i wszystkim, którzy pójdą ich śladem.

Nie wiadomo, czy Dżafer Zwizda znał się z dyplomacyą Wysokiej Porty, czy też zasięgnął o wszystkiem światła i rady z angielskiego konsulatu — ale zaopatrzył się w lakierki, w rękawiczki, a co więcej, kupił sobie w Ziemunie kaba szwabskiego, na jednego konia — wyglądał on jak tilbury — i konia szwabskiego, siwojabłkowitego, na pamiątkę piosnki krakowskiej: siwy konik siwojabłkowity, kochają mnie panny, kochają kobiety. — Miał grosza, ile potrzeba; królewna przybranemu bratu nie żałowała, a choć cygańskie złoto, zawsze było złotem. Rotmistrz Dżafer stroił się jak lalka; sam siebie woził po Białymgrodzie swoim kabem — i dzicz serbska patrzyła na niego, jak na raroga, a płeć żeńska, jak na Feniksa, nie Sroczynego, ani Niewidomego, ale prawdziwego ptaka rajskiego. Jął prowadzić i po Białymgrodzie i po Serbji całej donżuańskie życie, ale po swojemu. Nie tak, jak ów Szwab niecnota, co stał dwa lata na kwaterze u młodej Galicjanki, i jak wychodził, to płakał i narzekał: żeby jeszcze jeden dzień, to by mnie pokochała — ale jak ułan polski, malowane dziecko — ledwie zsiadł z konia, już do gospodyni: jak mnie dziś nie pokocha, to bierz ją djabli, znajdziemy drugą — i na przekorę sentymentom książki, do takich ułanów, malowanych dzieci, wszystko co ładne, co nosi imię panny, mężatki lub wdowy, do nich leci, a na takich Szwabów niecnotów rusza ramionami i pozieiwa na rozdarcie gęby. Bo na tym bożym świecie wszystko co żyje, chce używać. Spieszno mu, bo kto wie, jak długo kwaterunek potrwa na tej ziemi. Mówią Francuzi: czego kobieta chce, tego i Pan Bóg chce; kiedy jednak niejedna ale wiele kobiet czego chcą, to i dzicz sławiańska musi tego chcieć. Rotmistrz Dżafer stał się pożądanym we wszystkich towarzystwach, chwytanym do wszystkich domów; bo żony

http://rcin.org.pl

umiały zręcznie wmówić w mężów, że zyskanie takiego człowieka i rycerskiego i oświeconego było znamienitem nabyciem dla Serbji; córki przymilały się do ojców, że od niego dowiedzą się o zwyczajach Europy, a Serbowie przez swoje chęci i dążenia chcą stanąć w poczet europejskich narodów. Pochlebiały ojcom, pochlebiały mężom, że na niego spadnie cała zasługa — i dokazały swego. Z początku szło to powoli, ale wkrótce rotmistrz stał się modą; nie było obiadu, nie było wieczoru, zabawy i tańca, żeby się obszedł bez Dżafera, i to nie tylko w Białymgrodzie, ale i w Serbskim Ziemunie, przerobionym przez Szwabów na Semlin — tam jeszcze więcej, bo Niemcy i Madżary oswoili i ucywilizowali dzikie Serbkinie.

Niemki nawet szczerzyły zęby do żwawego rotmistrza i on też dla Niemek był bez litości, bez miłosierdzia, i one też ani jednego, ani drugiego nie żądały. Wyprawiają Niemców na piwo, na sznycle do publicznych ogrodów, a same z rotmistrzem w domu haftowały. Niemcy byli radzi, bo używali publicznego życia — domowego mieli zadość.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pewne przygody.

W Ziemunie był Beobachterem jakiś Szwab rodowity, jakiś Szpic, człowiek już nie młody, dobrze pasiony. Miał za żonę Szwabkę takoż, pannę Bubę, która już przeszła Jezusowe lata, ale była pulchną, na melszpasach wykarmiona i wcale jeszcze niczego. Ci państwo mieli córkę piętnastoletnią, śliczne Szpic-bubiątko. Nie tylko miała djabelską piękność młodości, ale piękność, którąby rozbroiła wszystkich djabłów ze złości, a uzbroiła wszystkich aniołów do miłości.

Dżafer do pani matki koperczaki palił, do córeczki mimojazdem oczkami strzelał, mimochodem rączkę ścisnął, a nawet w zakątku do siebie przytulił biedną dziewczynę, żeby się nie bała że sama — słysząc bicie serca drugiego przy swojem. Szło wszystko jak należało.

Jednego dnia pan Szpic beobachter, wyprawiony na piwo do ogrodu nad Dunajem, zapomniał w domu laski. We wrotach ogrodu jakiś szpic, maleńki piesek włosiasty i biały, na niego dziawkał, i piesek szpic Szpica człowieka chwyta

http://rcin.org.pl

za łytki, czy za miejsce, gdzie one były. Beobachter obrażony, nie mając w ręce tylko rękawiczkę, wrócił do domu po laskę — i o zgrozo! Szpic Szpicowi w myśli gotował uczciwe wyprażenie.

Wchodzi do domu, a nie zdybawszy nikogo, wprost kroczy do sypialni, gdzie laskę zostawił — wszedł i stanął jak piorunem rażony, oczom swoim wierzyć nie może. Pan rotmistrz rozebrany, jak do rosołu i pani Szpicowa takoż — chłodzą się, bo był dzień wielkiego upału, dwadzieścia i trzy stopnie Reaumuru. I oni oboje też byli zdziwieni. Szpic drzwi zamknął na klamkę i gotował się do mowy, czy perory, kiedy rotmistrz porwał go w pół i przez okno wyrzucił na ulicę, wołając:

— Waćpan jesteś źle wychowanym! Kiedy się wchodzi do kogo, trzeba pukać we drzwi z oznajmieniem. Musiałem Waćpanu dać naukę, a teraz powróć nazad i pukaj — czekamy na przyjęcie! —

Ale pan Szpic, nie łasy na drugą naukę, nie wracał do domu, ale podniósłszy się z ziemi i opyliwszy się chędogo, poszedł do jenerał-komendanta po żandarmów.

Pani Szpicowa z wielkiej emocji i konfuzji, bo przed wentylacją objadła się kapusty ze schabem i wypiła ze cztery kufle piwa, dostała palpitacji serca i nerwów drgania; na klucz zamknęła się w swoim pokoju. Pan rotmistrz, nie obeznany z medycyną, a nie chcąc w domu doczekiwać się pana Szpica, podał ramię pannie Matyldzie, córeczce państwa Szpiców, i poszli sobie na przechadzkę po nad brzeg Sawy. Rotmistrz szedł hardo, zuchwało, a śliczne Szpicbubiątko podskakiwało, jak pliszka, naiwna zalotnica.

Kiedy przyszedł do domu pan Szpic z żandarmami i z sędzią pokoju, już nie zastał rotmistrza w domu, a otworzywszy drzwi do pokoju żony, nie wszedł — wrócił, drzwi zatrzasnął ze zniewagi, a twarz sobie chustką zakrył, żeby nie pokazać żandarmom łez i wzruszenia. Woła córki Matyldy, a córki nie ma; kucharka zawiadamia, że widziała, jak panna Matylda poszła z rotmistrzem nad Sawę.

Ojciec ciągnie sędziego pokoju i z żandarmami biegną nad Sawę. Nad brzegiem nie ma nikogo; rybacy tylko mó-

http://rcin.org.pl

wią, że widzieli parę, huzara i dziewczynę młodą, jak na czołno wsiedli i pojechali do Białego grodu.

Beobachter, strażnik prawa, w obcy kraj bez paszportu jechać nie może; trzeba formalności dopełnić. Więc udał się do urzędu; tyle tu jednak trzeba papieru wypisać, że ledwie za trzy lub cztery dni wszystko może być wykończonem. Trzeba czekać.

Zniknięcie ukochanej córeczki pogodziło małżonków; bo nie masz lepszego lekarstwa na zgodę, jak wspólne nieszczęście. Pan Szpic klnie Dżaffera Polaka i pani Szpicowa klnie Polaka Dżaffera; żeby go byli dostali w ręce, to by go pewnie na sznycle posiekli, jak strudla upiekli. Na zgodę poszli oboje do kafenhauzu, czyli kawiarni nad Sawą.

Była to niedziela, drugi dzień po wypadku. Od jenerałkomendy w Ziemunie do cesarskiego konsulatu w Białymgrodzie poszły noty o uwiezieniu małoletniej; a że pani konsulowa, Słowaczka rodem, łaskawa na Don Żuana, przestrzegła go o grożącej burzy, której się on wyparł na kolanach przed piękną Słowaczką, że to bajka i oszczerstwo; jakżeby on miał myśleć o innych, mając taką boginię przed sobą? Zaklął się, że Szwabowi poobrzyna, albo poobrywa uszy — i pojechał do Ziemunu, wylądował wprost do Kafenhauzu i tam zdybał się oko w oko z parą Szpiców.

Skłonił się grzecznie i oddał panu Szpicowi kartę wizytową, prosząc o przysłanie przyjaciół do rozmowy. Ale nim Szpic usta otworzył, już Szpicowa z pełnego kufla piwem lunęła w oczy rotmistrzowi, i Szpic podniósł rękę — nie wiadomo, czy powstrzymać żonę, czy też uderzyć na Don Żuana. Ale Dżaffer jeszcze zmoczony piwem, skoczył na Szpica, porwał za uszy i tak mocno pokręcił, że w chrztani jedno ucho szwabskie odkręcił. Zgiełk, wrzask — mężczyzni za stołki, baby za kufle, i zaczęła się bójka jak w ciuciubabkę; wszyscy nie wiedzieli, z kim wojują i za co wojują, ale wszyscy wojowali. Nim straż bezpieczeństwa przybiegła, kozak motorny i praworny już był na czółnie i płynął do Białegogrodu. A straż bezpieczeństwa za potłuczone stołki, kufle, za piwo porozlewane kazała płacić wojującym; gefrejter z kawiarzem zrobili rachunek ścisły, sumienny

http://rcin.org.pl

Szwabi, mający brzęczącą monetę, cwancygierami i krajcarami zapłacili, a straż bezpieczeństwa, napiwszy się do woli piwa, poszła draj-kienig tytoń kurzyć.

Dżaffer, choć obił Szwabów na gniłe jabłko, jednak przed nikim z tego się nie chwalił, tylko perukarza Francuza, zwabionego do Białegogrodu żądzą Serbów do cywilizacji, na całą noc zasadził, żeby mu sporządził zgrabny tupecik, bo w bójce, czy po bójce wyłysiał — starzeje przed laty.

Jednak sprawa nie skończona; noty leżą w konsulacie, zatrzymane przez piękną konsulowę, która uprosiła męża, by nie wdawał się w takie skandale, wymyślone przez Szwabów na biednego Polaka; a że sam konsul był Dalmat, Sławianin, choć służył szwabskiemu urzędowi, bo nie mógł inaczej, jednak nie miał serca szkodzić, albo robić przykrość bratu Sławianinowi. Odpowiedział: pan Szpic, choć beobachter, bredzi, zwyczajnie zwolennik Kanta, czy Szlegla — ma przywidzenia; oskarżał żonę, a potem z żoną piwo pije i razem szwabskim ferworem zapaleni napadają na Sławianina. Jak się o żonie przewidziało, tak i o córce przewidzieć mogło. Niech szuka, to znajdzie; musi w Ziemunie gdzieś filozofować, albo piwko popijać.

Szpic musiał tedy na swoją rękę szpiegować, i dowiedział się, że rotmistrz mieszka w osobnym dworku, koło wielkiego browaru, na drodze do Topczyderu; że przy swojej osobie i przy koniach ma czterech cyganów i kochankę, cygankę, a niedawno przysłano mu młodego cygańczuka, bardzo pięknej urody, którego ma przy sobie, jak pazia; bo Dżaffer Zwizda, szlachcic polski, ma wszystkie zachcianki średnich wieków rycerza: konie, charty, sokoły i pazia. Pan Szpic zdał o tem relację do konsulatu i bardzo prosił pani konsulowej: niewiastą jesteś, matką będziesz, a będziesz wiedziała, co to jedyne dziecko. Nasza była jedynaczka! —

Pani konsulowa uprosiła u męża, żeby jej pozwolił oddać posługę strapionemu ojcu, jeśli można, bez narażenia na żadną odpowiedzialność Sławianina pobratymca, o co jej bardzo chodzi. Mąż pozwolił, bo choć Sławianin, był człowiekiem litościwym i dla Szwabów. Więc pani konsulowa legalnie, z upoważnienia męża, często bardzo, z nienacka

http://rcin.org.pl

wpadała do mieszkania Dżaffera, nigdy nie zdybywała tylko jego samego; ale długo go widywała, bo chciała prawdę wybadać.

Pan konsul chciał przyjść w pomoc żonie, zwyczajnie dobry małżonek. Więc ile razy pani konsulowa z Dżafferem Zwizdą pojechała konno, czy powozem na przejażdżkę, czy do Topczyderu, czy do Topoli, konsul wpadał znienacka do dworku Dżaffera i zawsze się zdybał z paziem cygańczukiem, a że był Dalmatem, więc sokolego oka, zaraz poznał, co się święci. Przemówił po szwabsku do cygańczuka; cygańczuk się zarumienił, zmięszał, ale po szwabsku odpowiedział i cały drżał. Dalmat litościwy, popieścił, pocałował biedne dziecko, i przyjaźń między nimi się zawiązała — polubili siebie wzajemnie. Pierwszy krok, a potem idzie dalej a dalej. Konsul od tego czasu ciągle wyprawiał żonę z rotmistrzem na spacery, mówiąc: w ten sposób najlepiej się o wszystkiem dowiesz; musi się wygadać, jeśli co jest. Ja z mojej strony żadnych trudów nie zaniecham, by temu Szpicowi, stosownie do twojej woli, do twego chcenia, odszukać stracone dziecię i przynieść pociechę. — I tak oboje konsulostwo, każde ze swej strony, gorąco i serdecznie wyświecali prawdę; widać, że dobry uczynek spełniali, bo bardzo im było błogo i bardzo byli szczęśliwi.

Ale jeśli w życiu ludzkiem są godziny szczęśliwe, to są i godziny nieszczęśliwe. Przeklęty Szpic, jak przestał być szpicem, a wziął się do rzeczy, jak wyżeł, jak gończy, dotropił prawdy, i Matyldy i wszystkiego a wszystkiego. Szwab zażarty i w złości uparty, języka nie trzyma za zębami. Jak zaczął gadać na wszystkie strony, tak wszystko rozgadał i po Białymgrodzie i po Ziemunie. Spłoszył dwie pary szczęśliwych, a dwóch przyjaciół zmusił do nieprzyjaźni, mimo ich chęci i woli, dla oka ludzkiego, dla opinji świata. Nastąpił pojedynek, i Dżaffer Zwizda, sam się poczuwając do większej winy, strzelił mimo po nad głową, a konsul przyznając sobie, że i on nie był bez winy, mierzył w dół i trafił w nogę; kości nie przetrącił, ale przebił żyły pod kolanem, tak, że Don Żuan ukraiński został kuternogą i pojechał się leczyć do Mehadji.

http://rcin.org.pl

Pani konsulowa wyjechała do rodziców do Pesztu, a panna Matylda wróciła do Ziemuna z mamunią, po dawnemu filozofować i piwko spijać — a tego wszystko narobił jeden Szpic.

Królewna Zaira, a raczej Tanasz Bejowa, nie mogła o tem wszystkiem się nie dowiedzieć; śmiała się ze wszystkiego, ale z dobrego serca, bez gniewu, bez zawiści, do rozpuku ze Szpicowej krotofili. Bo choć nie zapomniała Zwizdzie i była mu zawsze przyjaciółką i dobrą siostrą, ale pokochała męża i serdecznie i statecznie. I trzeba to przyznać, że Zwizda był kobietom na rękę, oprócz biednej Hajki; wszystkie inne porobiły się dobremi żonami, a nawet dobremi matkami; bo w jego Donżuanizmie ukraińskim była ukraińska sumienność. Nie uczył ani zdrady, ani przewrotności; kochał ciało, a ducha szanował. Takie Donżuany psoty grają, ale zbrodni ani uczą, ani krzewią.

Kiedy tak rotmistrz, mówiąc językiem donżuańskim, lizał się ze swojego donżuaństwa, obiecywał poprawę samemu sobie i dziękował Bogu, że go jeszcze nie zrobił zyzem — i zaklęciem się na Boga przeczył szatanowi, który szeptał: co się przewlecze, to nie uciecze, wtenczas przyjechali do Białegogrodu nowi polscy goście: Łasica i Pieniek, dwaj dyplomaci wysłani przez posła Srokę — i Jeż nieborak, takoż wysłany przez Srokę na wygnanie, jak Owidjusz drugi, żeby śpiewał wierszem polskie Przemiany. Może to uroczysko, gdzie będzie śpiewał, nazwą Sławianie Jeżopolem, jak Owidjuszowe nazwano Owidjopolem, i Jeż przejdzie przez Jeżopol, swojem imieniem do dalszej potomności — i to rzecz nie mała, nagroda Niewidomego przez pośrednictwo Sroki.

Pieniek i Łasica zaraz się wzięli do roboty. Powchodzili w stosunki ze wszystkimi Polakami będącymi w służbie i nie w służbie serbskiej. Korzystając z dobrego imienia, jakie mieli Polacy w tym pobratymczym kraju, powsuwali się do wszelkich wielikaszów, powchodzili we wszystkie towarzystwa, kluby, czytelnie, kawiarnie i browary, i dowiadywali się o wszystkiem, co się stało w mieście i w kraju. Każdą rzecz pstrzyli w fałszywe kolory. Jeden zaraz szedł to donosić do konsula angielskiego, żeby mieć potwierdzenie

http://rcin.org.pl

i poparcie u Wysokiej Porty; bo dla niej polityczną ewangelję piszą i drukują angielscy dyplomaci, i dla tego tak często bywa nie prawowierna, ale protestancka. Drugi biegł z tymi donosami do konsula austrjackiego, żeby zawiadomić bratanków Madżarów o sprawkach sławiańskich i służyć katolickiemu opiekunowi sprawy polskiej, czysto katolickiej, a nie sławiańskiej. I obydwaj słali swoje raporta do posła Sroki, a ten je składał u stóp Wysokiej Porty, rozżarzał nieufność i nienawiść przeciw prawosławnym i Sławianom, bo to węzły panslawizmu i pan-ortodoksji rosyjskiej, wszechsławiańskiej.

Tak dyplomacja ptasia i zwierzęca Polaków oporządzała pobratymców Serbów i inne Sławiany. Przed ośmnastu latami, kiedy ludzie polscy polską dyplomację kierowali i sprawowali, stanęli jak ogniwo spojni, między potężnym władzcą Ottomańskiego państwa, jedynym sprzymierzeńcem Polski, który jej nie rozbierał, ale przeciwko rozbiorowi protestował, z bronią w dłoni i za Polskę wojował, — który nigdy nie uznał tego rozbioru, a między lennikami i poddanymi Sławianami tego wielkiego monarchy, w którego rodzie od dawien dawna płynęła krew księżniczek serbskich, krew sławna, krew Nemanów. Odwracali Serbów od wpływu Niemco-Madziarów, ochronili Bośnię katolicką od szwabskiej łaciny, a wszystkich Sławian Serbji, Bośnji, Bułgarów i Kozaków ciągnęli pod sztandar i pod zwierzchnictwo Ottomańskich Sułtanów; zachowanie mieli u Wysokiej Porty, a Sławianie ich szanowali i kochali, wszędzie i zawsze pobratymcami zwali, Turcji dobrze i sumiennie służyli, a Polaków Sławianów napowrót w sławiańskie grono wprowadzali, z którego nigdy nie powinni byli wychodzić, jeśli chcieli politycznie żyć i między państwami świata państwem być.

Dyplomacja Niewidomego, ptasia i zwierzęca, roślinna i drzewna, innym szła torem. Wydłubywała śmiecie i gnoje sławiańskie i niesławiańskie, dokładywała reszty do tych paskustw niesłychanych — i wszystko to niosła do wiedzy Wysokiej Porty, żeby ją przeciwko Sławianom oburzać, żeby ją od Sławian, a Sławian od niej odstręczać. Popłatne było rzemiosło, choć nie szlacheckie, ani szlachetne; ale płacono,

http://rcin.org.pl

więc je na wielką skalę prowadzono. A uczciwym ludziom i nieborakom mówili: Sławianie, to odszczepieńce, schyzmatycy, Białego Cara wielbiciele, zwolennicy, posługacze — i jakże mamy być z nimi? My z Madżarami trzymamy, bo na rzecz ich korony, korony świętego Stefana, przez Marję Teresę była Polska rozebrana. — I kiedy Bem, Dembiński i Wysocki, z tysiącami Polaków za niepodległość Węgier gorącej i mężniej, jak same Madżary, walczyli, Madżary wówczas nie chcieli zrzec się prawa do rozbioru Polski manifestem, ani manifestem uznać niepodległości Polski. Jakże nie mamy być z Madżarami? To nasze bratanki! A poczciwi ludzie i nieboraki przypominali sobie dawną piosenkę i nucili:

Węgier, Polak, dwa bratanki,
I do szabli i do szklanki —
Hu ha! hejże ha!

A poczciwcc i nieboraki, ze szklankami w ręce, ale z węgrzynem w czubie, temu rozumowi niewidomemu i sroczemu potakują — to przynajmniej, jeśli nierozumnie, to po szlachecku.

Magnatom i duchowieństwu mówią: Co my mamy niewiernym na dobre i na prawdę służyć? Drzeć łyka póki się drżeć dają. A my służymy i służyć chcemy wiedeńskiemu panu, tak jak nasi przodkowie służyli za Jana trzeciego. I my gotowiśmy na jakieś pakta pudenda, byle tylko wiedeński pan tak nas wynagrodził, jak wynagrodzili jego przodkowie naszych. My chcemy być z zachodem i z kościołem. Magnaci mówią dobrze: tylko przysposóbcie tamte kraje, tak, aby można przyjść do paktów pudendów, do facjendy, a duchowieństwo ich błogosławi i pasuje na Jezusowych bractwa rycerzy. Po zakonie krzyżackim, po zakonie kozackim, nowy się zakon w sprawie polskiej utworzył — zakon ptasi, zwierzęcy, roślinny, drzewny — zakon politycznych kuglarzy.

Serbowie, ludzie nie lakierowani, ani glansowani, ale z rozumem gospodarskim, chłopskim, co to zaraz z oczów,

http://rcin.org.pl

z ruchów pozna, w kim ma przyjaciela, a w kim wroga, zaraz się poznali na tych farbowanych lisach. I ci Serbowie, którzy po nieszczęsnej wojnie węgierskiej pospieszyli ze statkami, o flagach serbskich, przewozić na serbską ziemię pobratymców Polaków, gościć ich u siebie, po serbsku, palbą z kulami, co niejednemu niezdarze dało do myślenia, że prawosławie takiemi pocałunkami chce witać papieską łacinę, a oni z serca Polaków, jakby Serbów przyjmowali, nie bacząc, że to byli winowajcy przeciwko dwom potężnym monarchom. Kto chciał zostać w Serbji, ten został i obywatelem i urzędnikiem; kto nie chciał, tego jak pobratymca odprowadzali w kraje Sułtana, lennego Serbji pana. Teraz od Pieńka, od Łasicy, jak od zapowietrzonych uciekali i wielcy i mali, a na Jeża nie dobrem okiem patrzyli, i jak mogli, to Polaków z kraju się pozbywali. Wszystko to była Sroczyna robota; niech mu będzie wstyd i sromota!

Ze Sławiańszczyzny niemieckiemi fortelami i rzymskim jezuityzmem wypchnięty, najdzielniejszy szczep sławiański, gałąź jego rycerska i szlachecka, zaczął już wracać do niej, jak marnotrawny syn do rodziny — i już bito tłuste cielęta i tłuściejsze woły na biesiadę powrotu i pobratymstwa — kiedy czereda złowieszczych ptaków, złowieszczych zwierząt i pasożytnych zielsk spadła na sławiańską ziemię, żeby swoją głupotą, czy niecnotą, wszystko wepchnąć w kał i w błoto. Wielopolskiego wielkie dzieło, połączenie dwóch północnych a sławiańskich narodów, poszło w nic, na marne imię.

Teraz na szlachcica uderzają całym zasobem oszczerstw i intryg, by nie dać mu Polaków zbratać z południowymi Sławianami. Niemcom drogi oczyszczają, po rycersku, cudzą własność na szacherkę stawiają. Rumunów tak chcą przeszachrować, jak niegdyś przeszachrowali Kozaków — odnowić Grzymułtów, Andruszów i pakta pudenda. Na takiej drodze stanęła ta Sroczyna dyplomacja, przedstawiająca Niewidomego, a może i widomych.

Mehadja leży niedaleko Orszowy. Kąpiele i wody mineralne, siarczyste i żelazne — cudowne leki na wszystkie

http://rcin.org.pl

grzeszne choroby, zabawy dla wszystkich grzeszników weteranów i dla wszystkich kandydatów do grzechu. Hotele wygodne i ozdobne, ze strawą na wszystkie ceny — wino dla bogatych, piwo dla mniej dostatnich, woda dla ubogich. Mieszkania od dukatów, aż ku grajcarom; kawiarnie z mlekiem i pankuklami, i kawiarnie tureckie z kajmakiem i fusami, draj-kienig i żółty z Jenidże, kapral i wagsztaf — co kto lubi.

Kraj piękny, góry i laski, kryjówki między skałami i doliny z zieloną i miękką murawą, rzeczki, w których się złoty piasek poławia, ścieżki pokrzywą i cierniem zarosłe — barykady przeciw ciekawym, gęstwiny przeciw ciekawemu oku, bezustanne szmery strumyków przeciw ciekawemu uchu, plątanina dróg i ścieżek krzyżujących się i krzyżowanych — wszędzie jaskinie do uchrony, i wszędzie kije i kamienie do obrony — jednem słowem, kraina stworzona do grzechu.

Kraina to rumuńska, przez Szwabów i Madżarów zawojowana, czy też zabrana, i teraz już zeszwabiona, choć tam jeszcze pełno Rumunów i rumuńskich Cyganów.

Bojarowie i Bojarynie Multan i Wołoszy jadą do wód do Karlsbadu, do Marienbadu, do Baden, nawet w Pireneje — ale Czokojom i Czokojkom na to grosza nie staje. Więc jak Rumunie nie Fanarioci, jadą do rumuńskiej Mehadji, i tam Czokoje udają rumuńskich Bojarów; a Czokojki rumuńskie Bojarynie — a tacy czerwoni, republikanie, Maziniści, Garybaldziści, że szwabskie draby, jak na szpilkach siedzą, piwo piją, smolą fajki i cygara, a nie śpią, żeby obudziwszy się, nie zastali ogłoszonej czerwonej republiki, w imię braci Bratianów, albo rumuńskiego carstwa, w imię Sturdzy, odrośli panującego rodu Batorych. Ale nie tacy to ci dzisiejsi Rumunie — wiele ryku, mało mleka, wiele huku, a mało stuku. Zapomnieli, a może i nie wiedzą, że Huniad, że Batory byli z ich rodu. — Rumuni prawdziwi, umieli i radzić i bić, stawiać na nogi sprawę, której służyli i szeroko roznosić sławę, że potomstwo legji dawnego Rzymu miało mężów wojny, mężów stanu, którymi by się nie powstydziły sławne i dawne Rzymiany. Dzisiejsi Bojarowie i Bojarzątka, niebożątka, konspirują, parlamentują,

http://rcin.org.pl

spekulują, bankrutują i żydów wojują, a jaki pan, taki i jego kram — jacy Bojarowie, Bojarzątka, tacy i Czokoje. Udawali Bojarów, jedli, pili, w karty grali i po rumuńsku się kochali — leczyli się z grzechew dawnych, a na nowe pracowali.

Czokojki, jakby Galicjanki, albo Paryżanki, w Mehadji rej wodziły, i co młode i co stare, a męskiego rodzaju, za niemi biegało — i było za czem, szykowne i dowcipne, było z kim pomówić i na kogo rozpatrzeć się — przylepki do oczów i przylepki do serca. Jeden szlachcic polski z nad Dniestru, który zwiedził całą Polskę z końca do końca, a potem zagraniczne kraje, Paryż, Londyn, Madryd, Lizbonę, Florencję i Wiedeń, gdzie najpiękniejsze damy, gryzetki i loretki — nie mówię o Berlinie, gdzie same niemieckie koczkodony — a potem osiadł na Multanach i Wołoszy, powtarzał wciąż: nie masz jak Galicjanki, a po Galicjankach Multanki; bo to jest z kim i pogadać na prawdę i zabawić na żart. Prawdziwe kobiety!

Do Mehadji przybyły panny Marguleskie, Marja, Anna i Magdalena, z bratem panem Marguleskim, czokojem z Kostengalji, i trzy młodzi czokoje: pan Prydurescо, pan Prylepesko i pan Pragrubesko — wszyscy trzej z Wołoszy, w strzelistych afektach miłosnych ku tym trzem siostrom Multankom, zwolennicy polityczni Eljada i dwóch braci Bratianów; przez patrjotyzm chcieli stwierdzić połączeniem osobistem Multan z Wołoszą, połączenie polityczne dwóch krajów — i wszedłszy trzema stadłami w tę arkę jedności, wołać: Rumunja jedna i niepodzielna.

Na bezrybiu i rak ryba. Nie było innych — dobre i czokoje Wołochy, i jeszcze patrjoci. Więc panny za wiedzą brata konkury przyjmowały i po laskach, pomiędzy skały, pięknie, grzecznie z czokojami spacerowały.

Jednego dnia wszystkie trzy pary razem przyszły do zielonego gaiku, u którego stóp płynął kręty strumyk; była tam i murawa i ziółka różne, a może i jagody. Ale w Rumunji i płeć piękna, gładka, i płeć wąsata i brodata, nie lubi ani zieleniñcu, ani mleczywa. Przynieśli więc ze sobą prosiątko pieczone, mamałygę z bryndzą i kilka butelek

http://rcin.org.pl

węgrzyna. Prosiątko to przysmak Kupidyna; najpiękniejsza oprawa oczów u kobiety, kiedy jest maciory oprawa. Kwik prosiątka podobny do krzyku przestraszonej miłości; krumkanie, to pomruk pacierza miłosnej skruchy; pulchność i białość prosięcego mięsa, to u Szwabów znak piękności. Mamałyga osadza i zgęszcza miłość, ustala ją niejako; bryndza dodaje ostrości, bez której nie masz miłości, którąby w końcu nie znudziła — a węgrzyn, Maślak czy Tokaj, jak tylko trochę służy, to prawdziwy nektar Wenery, młodej czy starej. Takie śniadanie zjadały trzy pary, których zadaniem miłosnem było, przypieczętować jeszcze, jeszcze i jeszcze, jedność i niepodzielność Rumunji.

Przy smacznem jedzeniu i haustach węgrzyna, czokoje cholewki smalili; panny, jak zawsze kobiety, rade z tego były — i wszyscy byli weseli. Wtem nagle najmłodsza ach! po cichu krzyknęła i na migi pokazała siostrom — i te rzuciły okiem w tę stronę i przytłumione ach! wyszło z ich piersi. Jednak tam nic dziwnego nie było. Ze spadem strumyka widać było w dali kilka drzew z gęszczą zarośli; między niemi siedział jakiś chory, zamyślony, czy drzemiący, bo nawet wzroku nie zwracał w tę stronę, gdzie wesoło śniadali na murawie, choćby piosnki francuskiej nie śpiewali, że jak się pobiorą, to będą siedzieli w chatce na zielonem wybrzeżu, żyć mlekiem z kozy, zielem, jagodami i korzonkami. Dosyć hałasu robiono, żeby obudzić umarłego z grobu, gdyby mógł być obudzonym. Ale chory bynajmniej się nie zwracał, nawet twarzy jego nie można było widzieć w całem świetle, tylko atylę czerwoną, w złote brandebury ubarwioną — wojskowy widać, pan oficer, może Madziar, może Polak, może Szwab, na huzara pasowany.

U kobiet oko sokole, kiedy idzie o dojrzenie mężczyzny znajomego — i wódz wojska chciałby mieć oko młodej dziewczyny, zwłaszcza kiedy przeczucie serca wzrokowi dopomaga.

W myślach trzech sióstr, jak w dobrych zegarkach, na jeden zachód uregulowanych, w jednej sekundzie przyszła myśl jedna i taż sama: Ach, może to on! — i każda się zarumieniła, po sekundzie: a choćby to on — nikt nie wie, co było, a domysły niepodobne. Żeby to on był, jakby to

http://rcin.org.pl

było dobrze! — I ciekawość kobiety z chceniem kobiety stanęły w parze.

I każda czokojka do swojego czokoja wypowiedziała piosenkę na jednę i tęż samą nótę i temi samemi słowy:

— Musiałeś pan słyszeć o bitwie pod Kostengalją i o zniknięciu rannego Polaka, nazwiskiem Zwizda, który leżał chorym w domu naszego brata? —

Każdy przypominał sobie to zdarzenie, bo było świeżej daty i tkwiło w pamięci i czerwonych i nieczerwonych Rumunów, bo to było przypomnienie, czyli powrót rumuńskiej wojennej sławy, tak długo w zbutwienie obróconej i pleśnią pokrytej przez Hospodarów z Fanaru i opiekunów różnego rodzaju. Tkwił tedy w pamięci każdego Rumuna Polak ranny rumuńską bronią; bo to żyjący i wybitny dokument, świadectwo rumuńskiej wojennej sławy. Każdy wykrzyknął:

— Jakże nie mam pamiętać takiego zaszczytu naszej broni. Ubolewaliśmy w całej Wołoszy, a raczej Rumunji, nad cierpieniem rannego; ale chełpiliśmy się sławą naszego oręża. Dalibyśmy wiele, żeby nie było zaginęło to świadectwo żyjące naszej sławy.

— A gdyby je można było odszukać?

— Byłaby to wielka zasługa w oczach ojczyzny i w oczach ich kapłanów, prawdziwych patrjotów Rumunów.

— Otóż wiedzą panowie, że ten pan oficer, co tam siedzi pod drzewami, coś tak podobny do niego, że nam się zdaje, iż to on. Myśmy wprawdzie bardzo mało go widziały, ale kiedy go wnoszono do domu, to takie wywarł na nas wrażeoie, że nam się zdaje, iż to on. —

Wszyscy trzej czokoje chcieli iść na rozpoznanie, bo choć w mundurze, ale widać, że nie zbrojny, i gaik nie był polem bitwy. Panna Marja, jako najstarsza, plan ułożyła: na węzełki od chustki pociągnęła na losy, kto pójdzie w awangardzie; bo to w Multanach jak i w Galicji losowanie na węzełki. Pociągnął pan Prydurescko. Poprawił kapelusz, zapiął czamarę, przybrał minę bundiuczną, a okiem dobrze patrzał, czy pan huzar nie ma rewolwera w ręce; bo choć to broń nie chrześciańska, ale dzisiejsze huzary już nie dawni. Szedł w awangardzie pan Prydurescko, a za nim o trzydzieści kro-

http://rcin.org.pl

ków cała armja. Awangarda hałas robiła nogami i chrząkała, a armji było spieszno, bo ciekawość dam szybciej, jak rumaki jazdę niosły — tak, że cała siła zbrojna, w broń okropną, gorszą od kartaczownic, śmiertelniejszą, w sześcioro piwnych oczów, stanęła nad chorym w chwili, kiedy się on obrócił i skartaczowała go od razu.

— Panny Margulesko! — wymówił i powstał na kuterlawej nodze.

— Pan Zwizda! — wszystkie trzy razem krzyknęły i poczerwieniały, jak maliny.

Nastąpiły powitania i przedstawiania.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XVI.

http://rcin.org.pl

XIX

http://rcin.org.pl

PIELGRZYMKA.

I pisma i podania utrzymują, że ciekawość była darem szatana, na nowy rok, czy na wiązanie ofiarowana niewieście. Gdyby to tak było, to ten szatan wyklęty i przeklęty nie byłby tak złym, jak go pisma święte malują; naprzód, że się udał do niewiasty, pięknej połowy ludzkości, płci, która od Boga obdarzona skarbem litości i skarbem miłości, przypomina cnoty nieba i roskosze raju — która wśród goryczy życia jest najprawdziwszą jego osłodą.

Ciekawość prowadzi do wiedzy, wiedza do wynalazków, a te do postępu i doskonałości — bez czego ludzie byliby takimi, jak są barany: jedli by, pili, spali i beczeli hymny, bez ciekawości, do kogo, bez wiedzy, za co.

Szatan swoim darem złożonym u stóp, czy u kolan niewiasty, zrobił ród ludzki, tem, czem on jest dzisiaj: ciekawym, uczącym się i tworzącym. Jemu tedy winni są wdzięczność za te cuda siły pary, elektryczności, za machiny wojny, za balony i za ten szereg wynalazków, do których doszli ciekawością. Jemu winni swobody konstytucyjne, prawa, ustawy, asociacje, korporacje, antrepryzy i kupę syntetycznych, analitycznych, a priori i a posteriori, filozoficznych, socjalnych i humanitarnych reform, do których ich ciekawość doprowadziła. Jemu winni arystokrację, monarchję, demokrację, republikę, komunizm, mormonizm —

http://rcin.org.pl

wszystkie wyznania polityczne i religijne, bo do tego wszystkiego doszli przez ciekawość.

Takiego dobrodzieja, takiego dawcę, nazywać wyklętym, przeklętym, byłoby jak najczarniejszą niewdzięcznością, potępieniem całego postępu ludzkości, całej wyższości, jakiej ludzie używają, wszystkich wygód, w jakich opływają.

Ojcowie kościoła albo mylą się w swoich sądach o szatanie, tak jak się mylili astronomowie w sądzie o słońcu przed Galileuszem i Kopernikiem, albo są tego przekonania, że ludzie są stworzeni do tego, aby ich strzydz, doić i bić. Może też im się zachciewało, żeby oni ojcowie kościoła wybrani, byli szatanami, a lud boży baranami; bo inaczej sobie wytłumaczyć potępienia szatana, za to, że się stał dobrodziejem rodu ludzkiego, nie można.

Panny Marguleskie były prawosławne, a zatem niezależne od nadzoru i od wpływu Ojców zakonu Lojoli, którzy są prawowiernymi i korennymi ojcami kościoła. Słyszały nieraz, nie dwa, ale wiele razy, o Jezuitach i o szatanie; ale jak nie praktykowały z obowiązku i z powinności cnót jezuickich, tak się nie zarzekały daru szatana — i choć może nie utrzymywały, że ciekawość jest pierworodną zasadą życia kobiecego, miały ją za bardzo przyjemną zabawkę, za spuściznę po pierwszej niewieście, której należało używać, i używały.

Jedna po drugiej wymykała się od drugich i biegła ukradkiem na schadzki z panem Dżafferem Zwizdą, żeby jej opowiadał na osobności, po dawnej znajomości, jak to było, jak to się stało. Nie kontentowały się bynajmniej tem, co mówił przy wszystkich, bo zawsze były jakieś „ale“ do przemilczenia, albo do niepowiedzenia; a w cztery oczy, to co innego. Tam wszystkie tajemnice, jak oliwa na wierzch wody wychodzą i można je widzieć, jak na dłoni; tam już nie ma żadnego ale, bo ciekawi, którzy się zeszli, by zaspokoić swoją ciekawość, nie obawiają się ani ciekawego oka, ani ciekawego ucha; są przekonani, że nie ma innych świadków, prócz Boga i szatana. Pierwszy, kiedy razd ozwolił, bo bez jego woli nic się stać nie może, żeby tak było — rzecz skończona — w sobie samym, choć widzi złe, jak kościół święty mówi: Non possumus — drugi, raz pòsta-

http://rcin.org.pl

wiwszy na swojem, chce się przy swojem utrzymać i pozwala, żeby ciekawość odkrywała tajemnice po tajemnicach, aż do najgłębszych skrytości.

Trzy Multanki tak też robiły i były bardzo zadowolnione, bo się podowiadywały o takich rzeczach, o których by się nigdy nie dowiedziały przy ludziach; a że ciekawość jest uczuciem nienasyconem, więc ciągle biegały na schadzki — może jeszcze co zapomniał. Dżaffer Zwizda przypominał i zaspakajał ciekawość — i tak czas płynął bez nudy, bo zawsze był zajętym. Ale pan rotmistrz, który przypominał dawne rzeczy, zapomniał o swoich cyganach, o komendzie, o Belgradzie, o królewnie, o Tanasz Beju nawet; bo czegoż człowiek nie zapomni, jak się zagłębi w odkrywaniu tajemnic?

Tak przeszedł czas, aż do jesieni. Pora wód, jak zowią w medycznym języku, przechodziła, trzeba było wracać i czokojkom i czokojom do domów, do gospodarstwa, do służby krajowej — i do zawarcia ślubów małżeńskich — a rotmistrzowi do swojej komendy cygańskiej. A jednak nikomu się nie chciało, tak dobrze było w Mehadji.

Żadna z tych trzech sióstr nie powierzała swojej tajemnicy jedna drugiej; ale nie mogło być, żeby nie podejrzywały siebie nawzajem, żeby nie domyślały się, jeśli nie z innej przyczyny, to z tej: jeśli ja jestem tak ciekawą, dla czegoż ona nie ma być taką? Zresztą ten pan Zwizda taki grzeczny, taki uprzejmy, taki rozmówny! Tak się chce i tak umie podobać — a mój Czokoj taki wstrętny! Objada się i sapie, zapali fajkę i chrapie — o niczem rozmowy, tylko o księciu Kuzie, o panach Bratianach i o Rumunji jednej i niepodzielnej, i to zawsze jedno i toż samo. Na mężów jacy tacy, ale ciekawości nie zaspokoją.

Jak się kobiecie czego zachce, to nie masz przebieglejszego lisa, chytrzejszego Austrjaka, na wynachodzenie sposobów, żeby dojść do swojego celu. Każda z panien Margueleskich i bratu i swojemu czokojowi śpiewać zaczęła, jakby na jedną nutę: jakiby to był czyn patrjotyczny, jakby on był przyjętym przez Hospodara i przez wszystkich patrjotów, żeby można przywieźć Zwizdę do Bukaresztu i powiedzieć:

http://rcin.org.pl

Oto jest rycerz waleczny, pokonany przez Rumunów, waleczniejszych od niego, kiedy go pokonali, świadectwo żyjące ich sławy! — Myśl szczęśliwa, praktyczna! I Margulesko i trzej czokoje wzięli się do namawiania Zwizdy, — choć Don Żuan ukraiński, domator, człowiek familijny, nawykły do familijnego życia, nawyknął do rodziny Margulesków, i sercem i upodobaniem ściślej się zapisał do niej jak do cyganów. Tam nosił świetny mundur, miał zwanie rycerskie, ale mu nie w smak było szanować, co mu się zdało, że kochał, i mieć siostrę opiekunkę z kochanki ulubionej — to jakoś nie pasowało do ukraińskiej fantazji. On by wolał samobójstwo, morderstwo, zaczarowanie, zatrucie nawet — to by było godne śpiewu Szewczenka, jak litość siostry miłosierdzia i matki dobrodziejki; to mu się zdawało strasznie po niemiecku. Wracać do takiego życia wcale mu się nie chciało; wolał burłakować, bałagułować, jak żyć na cudzej łasce, po staropolsku mówiąc, na respekcie. Przytem doszły go i słuchy i pewne wiadomości, że dyplomacja Srocza skalała niecześcią polskie imię; że już gazety serbskie i bulgarskie, oraz inne sławiańskie, nazywały Polaków wywiadyweazami i donosicielami; że ich ajencje stały się biurami szpiegostw. Wołano, żeby się ich strzedz, jako wrogów Sławiańszczyzny, szwabskich i nie szwabskich posługaczy za grosze. Łżono temu imieniowi rycerskiego i szlachetnego narodu. Zwizda nie miał żadnego stosunku ze Sroką i z jego dyplomacją; ale cóż miał robić? Żeby to była sprawa z niewiastami, nie byłby ani w kłopocie, ani w mozole, i Sroki by nauczył gwizdać po kościele, i niewiasty by przekonał, że kilka parszywych owiec nie daje prawa mówić, że całe stado parszywe. Ale z Serbami, z narodem dzikim, bez butów lakierowanych, bez rękawiczek glansowanych — trudna rada; lepiej się usunąć i nie słuchać nie miłych brzdąkań; bo choć te sroki paskudne ptastwo, ale się ogłosiło polskiem ptastwem i grzechotało w imię polskiej sprawy. Więc popisał listy do Tanasz Bejowej, z podziękowaniem i z pożegnaniem, i z dobrej woli i z serca zapisał się do rodziny Czokojów. Nie mógł się żenić ze wszystkiemi trzema, bo nie był ani Mormonem, ani Paszą tureckim o trzech buńczukach; a może też i one

http://rcin.org.pl

nie chciały być trójcą jego miłości. O rękę jednej prosić mu nie wypadało, bo by mógł obudzić zazdrość, zawiść, rzucić kość niezgody między rodziną. Zresztą, kiedy człowiek młody, to takie słodkie, takie miłe to życie burłackie, tak się nie chce karku dobrowolnie nadstawiać pod jarzmo, a łysą głowę nawet zdobić choćby w złocone rogi — że Zwizda pisał się na przyjaciela domu, to było i wygodnie i modnie — i tak z Mehadji i lądem i wodą podróżował aż do Bukaresztu.

I trzej czokoje młodzi i czokoj starszy byli przedstawieni na pokojach u Hospodara — i dla zaspokojenia ciekawości pięknej Marji, przedstawiono mu czokojki i młodego Zwizdę, ale chromego. Przyjęcie było uprzejme, ciekawe. Hospodar przypominał dawne, błogie, jeszcze kapitańskie czasy, jak czokojki były dziewczątkami malutkiemi, a potem podlotkami, a teraz takie hoże dziewy. Choć w mitrze, choć w koronie nawet, takie przypomnienia drogie sercu — a Hospodar miał serce. Choć został Hospodarem, nie zapomniał dawnych rzeczy i lubił wszystko, co rumuńskie — a śliczne niewiasty to prawdziwe bogactwo kraju. Piękna Marja ciekawem okiem patrzyła na chromego Zwizdę, bo już do jej ciekawego ucha niejedna wieść o nim doszła. W takich opowiadaniach zawsze z cielątka robią słonia, z małej jaskółki pysznego pawia. Jak zaczęto dodawać komentarze do komentarzy, o dawnem, o teraźniejszem, Zwizda urósł na takiego Don Żuana, jakim był między trzydziestym a czterdziestym rokiem wieku bieżącego pan Albert Grzymała, referendarz Stanu, do którego płeć piękna nie tylko w Warszawie, ale i w Paryżu i w Londynie leciała, jak skowronki do zwierciadła — i w sidła. Polska miała swojego Don Żuana [1]), któryby mógł być arcymistrzem hiszpańskiego; bo to, co hiszpański dokazywał po karczmach i po klasztorach, to polski w pałacach i w teatrach; i w Donżuanizmie Polska była górą. Ale biedny Zwizda był po prostu Don Żuanem ukraińskim; młody, żwawy, silny, nie biegły ani w komplementach, ani w sentymentach. Co młode, co ładne, to go ciągnęło do siebie, jak magnes ciągnie żelazo; a co na placu, to nieprzyjaciel — słów mało, pocałunków wiele. Takim

http://rcin.org.pl

był zapewnie świętej pamięci Iwanicki, deputat sądu głównego wołyńskiego, wskazany za psoty donżuanowskie na grzywny i wieżę. Stawiony przed cesarza Aleksandra pierwszego, był uniewinionym, bo był młody i żwawy; więc nie tylko mógł, ale powinien był lubić kobiety. A był, w całem znaczeniu tego wyrazu, nie tylko przystojny, ale piękny mężczyzna; więc nie tylko mogły, ale powinny były go lubić kobiety. Ta łaska wprowadziła w modę Donżuanizm w ziemiach ruskich, Zwizda był szczątkiem tego bałagulstwa — i więcej salonowego i więcej romansowego, jak bałagulstwo Berdyczowskie, które nazwać można było plagą na pejsy żydowskie.

Zwizda tedy był pilnie oglądanym, ciekawie wypytywanym i czule żałowanym. Ale na tem wszystko się skończyło — inne czasy. Hospodar przestał nosić na głowie chełm Bogora, który wziął w spadku po Nikolakim Beju, Kajmakanie, a w którym zakrawał jeśli nie na Batorego, to przynajmniej na Hunjada. W tym chełmie zmiażdżył Nieczuję, jak gniłe jabłko, bo też i było gniłe, a ustalił zjednoczenie Rumunji, w tym chełmie traktował ze Sroką o kombinacjach niewidomych, a może o niewidomym tronie; w tym chełmie słuchał sielanek Jeża, które brał za epopeję swojej sławy i rycerstwa swojego narodu. Kosztowało go dość brzęczącej monety, ale mniejsza — Rumunja obfituje w solne kopalnie, w lasy i w kukurudzę; kwarta się wysypie, korzec nasypie i wszystko połatane. Ale co było gorszem, że mu za to nacierano uszy, jak to mówią, i porządnie — a że chełm zasłaniał te uszy, więc kazano mu go zrzucić, żeby łatwiej było nacierać. Rad nierad musiał rozkaz wykonać — pan każe, sługa musi. A że bolały uszy, bo je ciągle nacierano, więc już chełmu nie wkładał i stał się takim Hospodarem, jakimi byli dawniejsi Hospodarowie, Fanarioci. Choć nie był Fanariotą, ani z rodu, ani z uczucia, musiał się obszyć w ich skórę, żeby mu tak dobrze było, jak im bywało. I przestał naśladować i udawać Hunjada Rumuna. Moralna nauka, wykładana dzieciom po szkołach, mówi: kto się sparzył na gorącej wodzie, ten na zimną dmucha. Więc i Hospodar obawiał się zadawać z rycerzem

http://rcin.org.pl

Zwizdą, chociażby w celu podniesienia rycerskiego ducha Rumunów, a może dla tego, żeby go nie podnosić i zachować siebie od podnoszenia za uszy. Przy tem tyle dziwnych rzeczy nagadano o tym chromym Don Żuanie, że on Hospodar, przestrzegacz i strażnik moralności i przykładnych obyczajów w kraju powierzonym jego rządom, w stolicy tak moralnej, jak Bukareszt, gdzie pokrycie jednym dachem całego miasta pokryłoby moralność i nic więcej — tak jak według zdania jednego z Habsburgów: gdyby chciano pokryć rozpustę wiedeńską, trzeba by pokryć cały Wiedeń, miasto z przedmieściami, jednym dachem — i wtenczas rozpusta była by pokrytą. Otóż dla tych przyczyn nie mógł dozwolić na dłuższy pobyt Zwizdy, nie tylko w Bukareszcie, ale nawet w całej Rumunji. Dodatkowym argumentem była ciekawość pałacowa, która się ciągle dopominała o przedstawienie Zwizdy na pokojach hospodarskich, żeby można wypytywać o szczegóły, żeby mogła napisać książkę o tych przygodach, jak pani Sand, jak pani Ratklif — a że to najprawdziwsze i najzaszczytniejsze, co wiernie z natury wzięte, więc trzeba go było egzaminować. Hospodar lubił płeć piękną, ale nie w niebieskich pończochach; więc i na to nie było zgody. Postanowiono wydalić Zwizdę — wydalenie, spowodowane koniecznością polityki stanu.

Na domaganie się pięknej Marji, która miała serce litośne, prawdziwe kobiece, lubiące wszystko złączać, a nic rozłączać, postanowiono, że trzy czokojki zaraz, bezwłocznie zostaną poślubione trzem czokojom i zaraz wysłane na wsie do gospodarstw, ażeby gospodarowały, rosły i mnożyły się według słów ewangelji; argumentem dodatkowym do tego postanowienia było, że częste przypomnienia przeszłości mogą doprowadzić zapomnienie teraźniejszości — lepiej ich nie rozbudzać.

Postanowienie hospodarskie zostało oznajmionem hierarchicznie przez pana Margulesko. Czokoje byli zadowolnieni, ale czokojki bynajmniej nie, a Zwizda zupełnie posmutniał, że nieboraczkom czokojkom aż serca pękały z żalu, i ma się rozumieć, że jak mogły, tak go pocieszały.

Zwizda mieszkał w tym samym hotelu, w którym miesz-

http://rcin.org.pl

kała familja zbiorowa czokojów. Miał pokój bardzo wygodny, niby salon bawialny, i gabinet z alkową, w którym stało łóżko — tak i wygoda i przyzwoitość nakazywały; a nie było innego wychodu, tylko z salonu na korytarz. Dniem przed wyjazdem, który był oznaczony, przybiegła panna Marja, rozweselić trochę Zwizdę i pomódz mu do upakowania rzeczy, i pomagała i rozweselała jak mogła, jak umiała. Z porządku panna Anna biegła takoż, rozweselać i pomagać pakunku, a przy tem niosła dulczety przez siebie usmarzone na drogę. Zastukała do drzwi, ledwie panna Marja mogła się skryć do gabinetu; Anneczka nie czekając odpowiedzi, wpadła do salonu, figlarnie rozweselała bardzo zafrasowanego Zwizdę, i to zafrasowanie kładła na karb smutku i żalu — aż tu jak bomba wpadła do salonu młoda Magdusia z włóczkowym szalem, który sama udzierzgała Zwizdzie na drogę. Anna nie miała czasu wejść do gabinetu, tylko drzwi otworzyła i stanęła jak wryta. Jak wryta stanęła i Magdusia — trzy siostry znalazły się razem. Zwizda nie tracąc czasu, zasunął drzwi na rygle.

Jakie było powitanie trzech sióstr, jakie rozmówienie się, jaka była sprawa, jaka rozprawa — czy to było zejście się umyślne, czy przypadkowe — czy się z sobą całowały, czy się sobie kłaniały, czy Zwizdę wszystkie trzy razem pocieszały, czy wszystkie trzy razem pakunku mu pomagały, tego nikt ani słyszeć, ani widzieć nie mógł. Wszystko było niewiadomem i niewidomem.

Po półgodzinnym czasie wyszły wszystkie trzy siostry jedna za drugą, spłakane, od wzruszenia jaskrawo rumiane, stroje w nieporządku, zwyczajnie od pakunku. A Zwizda, widać, że z żalu wypłakał sobie lewe oko, bo po mnogich przemoczkach zawiązał je czarną chustką i powtarzał sobie:

— Mówią starzy ludzie: zys, łys, kuternoga, kiedy się uda, to wielka łaska Pana Boga. Ani mnie Pan Bóg takim stworzył, ani mnie takim rodzice porodzili; sam się wszystkiego dorobiłem i nie mam narzekać na kogo. —

Zapłakał trochę, okiem, które jeszcze prosto patrzało; ale nie stracił miny, i po polsku nie troszczył się, co będzie —

http://rcin.org.pl

ale myślał sobie: Jakoś to będzie — i tak z dobrą miną czekał do jutra.

Nazajutrz dzień, w chwili kiedy trzy panny Marguleskie z bratem i z trzema narzeczonymi czokojami do powozów siadały, żeby jechać do cerkwi na ślub, i pełno czokojów, czokojków, małych bojarów nawet, i adjutant księcia Hospodara im asystowali do tego obrzędu — na powózkę pocztową, zaprzężoną ośmiu końmi, któreby nazwać można właściwie koniakami, wsadzono Zwizdę, obok wąsatego dorobańca, a drugi dorobant siadł na przodzie.

Panny siadały do powozów z surowem obliczem — widać, że się przejęły ważnością obrzędu, świętością obowiązków — a szły z postanowieniem, jak żołnierz do szturmu, nie obzierając się po za siebie; bo małżeństwo, to szturm życia — albo się zdobędzie twierdzę szczęścia — albo się śmierć znajdzie.

Czokoje byli weseli. Kilka sznapsików rumu popiło się na czczo, i zakąskę się zjadło, bo głodny żołądek nie idzie w parze z gęstą fantazją, a idąc do ołtarza, trzeba było być tak bundiucznym, jakby się było bojarem. Obiadek był nakazany i cukrowa kolacja, a po cukrowej kolacji nie było się czego ani dąsać, ani kłopotać — byli dobrej woli i dobrej miny.

Zwizda wziął na kieł, brwi naburmuszył, wąsik podkręcił; zburczał dorobańców, pocztyljonom kazał gnać konie i w przejeździe przez ulicę ludowi się kłaniał na prawo i na lewo. Nadstawiał siarczystą minę przeciwko złej woli, i ci, co go widzieli, mówili do siebie: to mi zuch! Tak się skończyła pielgrzymka do Bukaresztu.

Dobrze to mówi jakieś stare przysłowie: Pan kazał wygonić, słudzy obili — pan kazał obić, słudzy powiesili. Tak się też stało ze Zwizdą. Wieziono go stepami, burzanami, przeprawiano rzeki, przejeżdżano wioski i miasta, a jak złoczyńcy jakiemu nie pozwolili do nikogo przemówić, o nic zapytać, a na jego zapytania nic nie odpowiadali; tylko mu dawali mamałygę i ser, żeby z głodu nie umarł. Tak kazał Hospodar, żeby pokazać, że wyrzekł się stosunku z Niewidomym i z jego Srokami i z jego Polakami. A hospodarscy

http://rcin.org.pl

dorobańce co do joty i za jotę wykonywali rozkazy im dane. Przywieźli nad Dunaj, wsadzili na łódkę, przewieźli na drugą stronę i zrzucili na brzeg turecki, ale bez rzeczy; nawet mu nie dali ani dulczetów panny Anny, ani szalu panny Magdaleny — nic mu nie zostawili, tylko strój huzarsko-cygański, który był na nim; dobrze, że butów nie wzięli, bo ta nazwa dorobańców ze sławiańskiego, dere, drże, obdziera i bierze, czyli obdzieracz basza, czyli pasza. Widać, że kiedyś Sławianie musieli dobrze obdzierać Rumunów, kiedy ta nazwa pozostała i z takiem utwierdzeniem prawdo-słowu przez dzisiejszych dorobańców sprawowaną.

W nocy był rzuconym Zwizda na spławnie dunajowe, a noc była ciemna, wicher szumiał w oczerety, a wycie wilków mu wtorowało — szumiał i Dunaj. Zwizda jak w sennej zmorze pasował się z cieniami nocy i z chłodem, i jak Homera Ajax, do Boga się modlił — dnia bożego, słońca, żeby wiedział, gdzie jest, gdzie ma iść. A cienie nocy nie niknęły i zmora przedłużała się aż do rozpaczy.

Już drętwiał, a nie miał odwagi rzucić się w wielką rzekę, bo go jeszcze życie ciągnęło do tego świata, choć był zyzem, łysem i kuternogą — kiedy zaczęły pogwarzać wodne ptaki; to nadzieja białego dnia, jedyna, jaka mu pozostała na teraz. Z jakiem upragnieniem witał pierwsze rozjaśnienie się obłoków od spodu, jak wzrok utkwił w to rozjaśnienie, i z niem szedł coraz wyżej; coraz wyżej! I modlił się w głos:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!

Jakby jego modlitwą wywołane, pokazało się słońce jaskrawe i wysuwało się na niebo. Padł na kolana i Bogu dziękował — wstał, obejrzał się do koła. Wody Dunaju i oczerety a oczerety, jak zajrzeć okiem, a oko nie sięga daleko, bo oczerety jak las wysokie. Nie ma co robić, trzeba iść naprzód — i szedł. Szedł długo, brnął po spławniach, przesuwał się między trzciny kiciaste, między lepie-

http://rcin.org.pl

chy; czasem napotkał jezioro, czasem murawę jakby pastwisko. Spłoszył stado dzików i lis mu się przesunął przed oczyma; rwały się dzikie kaczki i dzikie gęsi, a nad głową kruki krakały. Ale ani ludzkiej postawy nie dojrzał, ani domowego zwierzęcia, któreby mu znak dawało, że jest blisko ludzkiego mieszkania. Nareszcie ujrzał srokę, ale nie Srokę dyplomatę, broń Boże! ale srokę ptaka, który gości zapowiada i do gościny prowadzi.

Szedł za tym ptakiem i wkrótce zobaczył przed sobą wianek drzew rozłożystych, u spodu chatę, obory, okopania, płoty oczeretowe — to futor spławniowy. Pies szczekał i kury piały. Szedł prosto do futoru, na dziedziniec; dzieci spłoszone z dziedzińca do chaty pouciekały, a pies ogon pod siebie i pod przyżbę. Wszedł do chaty.

— Miech będzie pochwalony, dobrzy ludzie! —

Baba i dziad powstali na nogi.

— Niech będzie pochwalony na wieki wieków! —

Patrzą na mundur Zwizdy, a dziad i baba zastępują drzwi od alkierza. Zwizda zaczął do nich przemawiać po ukraińsku, prosić gościnności, a nawet opowiadać swoje przygody. Pomału, pomału rozpędził obawę, niedowierzanie, i już go witali, jak pożądanego gościa Ukraińca, bo i sami byli Ukraińcami — kiedy się otworzyły drzwi i wszedł, a raczej pomału się wewlókł mężczyzna średniego wieku, dobrodusznej, ale żołnierskiej postawy. Popatrzyli na siebie i rzucili się nawzajem w objęcia·

— Zwizda!

— Sikora! —

Obydwaj byli pod Kostengalją.

— Jam zys, łys i kuternoga! Bóg mnie pokarał i sprawiedliwie. Ale co tobie jest, mój Sikoro?

— Przyszła kryska na Matyska! Pod Kostengalją, choć ten Jeż, fusrer prawdziwy, wystrychnął nas na dudków, jednak jakoś się udało ujść na sucho. Jużem sobie był dał słowo, że sobie zatknę uszy, jak zobaczę tego Srokę i jego dyplomatów, ajentów i wodzów. Raz mnie wyprowadzali obiecankami z kozaków, gdzie mi dobrze było, złote góry obiecali, a pokazało się, że obiecanka, cacanka, a głupiemu

http://rcin.org.pl

radość. Obełgali — cóż robić? Poszedłem pod Kostengalję; tam nowy wstyd, nowe łgarstwo. Chciałem wracać do Kozaków, bo tam przyjmują błądzących, jak ojciec marnotrawnego syna, aż djabli nadali spotkać się z tym Sroką. Jak zaczął mi pochlebiać, jak zaczął łgać, obełgiwać, tak i obełgał; — posłał mnie na majora do korpusu rezerwowego, zbierającego się pod Galacem. Dał mi listy do pułkownika Wyza, rozkazy nawet. Jadę — pułkownik Wyz przyjął mnie uprzejmie, uraczył, zwyczajnie Ukrainiec Ukraińca; ale jak mu pokazałem papiery, rozkazy, śmiał się do rozpuku, aż za boki się trzymał. O, to mi łgarz! Przeszedł i szambelana Wąsowicza i Jaszowskiego. O korpusie tu nikomu ani się śni, ani marzy; do roboty dróg używają Polaków, taczkami wożą, kamienie biją. Wprawdzie Sroka obiecał Anglikowi dostarczyć trzysta robotników; nie wiem, czy wziął, czy nie wziął zadatek. Przyszło tu wprawdzie kilkudziesięciu z jego poręki, ale nie myślałem, żeby aż przyszło do fortelu, formowania korpusu robotników, który przeznaczył zapewnie do porozumiennego działania z korpusem katorżników. To mi cymes, prawdziwy Meternich! — Śmiał się pułkownik, a mnie biedakowi nic nie zostawało, tylko się wziąść do taczek i do tłuczenia kamieni. Jak wół u pługa pracowałem, ale mi ciężko było na sercu. Więc każdemu mówiłem: Co to za ptaszek ten Sroka, jak nas sromoci i frymarczy! — Otóż jednego dnia dawaj na mnie krzyczeć ta hołota: — To arystokrata! Przyjechał na majora, z pułkownikiem ma jakieś konszachty, na naszego dyplomatę, na Srokę wygaduje! — Od słów przyszło do kułaków, od kułaków do kijów, i tak mnie zbili, że zostawili prawie nieżywego na drodze. Gdyby nie pułkownik Wyz, byłbym skonał bez ratunku. On mnie wziął, odchuchał i przysłał tu na turecką stronę, bo się odgrażali, że i mnie i jemu dadzą duchu. Takie to roboty tego Sroki! Bogdaj maleńkim był nie wyszedł z nad Dniestru — bogdaj był zgnił kanafarzem w klasztorze, a nie jechał na dyplomatę, na naszą sromotę, na nasze nieszczęście! —

Tak bałakali między sobą dwaj towarzysze z Kostengalskiej bitwy; u poczciwych Ukraińców zeszło im kilka dni na

http://rcin.org.pl

dobrej strawie, na warennikach z serem, na jaglanej kaszy z kwaskami, na rybie świeżej i solonej, na świninie. Wypoczywali dobrze i sił nabrali — pożegnawszy się z gospodarstwem, nabrawszy strawy w torby, szli w podróż jak dwa dziady. Szli do Tulczy, do tej Jerozolimy wszystkich burłaków i wołokitów bożego i sławiańskiego świata. Szli od sioła do sioła, od mogiły do mogiły, i wszędzie napotykali i swoich ludzi z kozaczej Ukrainy i swoje pamiątki z kozaczej sławy. Z mogił widzieli sioła i futory, i po przyznakach poznawali, gdzie mieszka kozaczy człowiek. A ludzie kozaczego rodu opowiadali i pokazywali im mogiły, gdzie próchniały kozacze koście. Tak sobie szli, sztykurlając i bałakając, jak prawdziwe dziady.

Przeszli już Kozaczy Kamień, gdzie ich podejmywano z całą uprzejmością kozaczego obyczaju — dobrze nakarmiono, dobrze napojono; bakłaszki pełne dobrego wina, a w torbach świnina, linina i śliwy suszone — kozacze jadło. Szli tedy wesoło; co pół mili haust i przekąska, żeby nie wyszołomiało gorąco z głowy, żeby nie cklił robak w żołądku — zabijali robaka. Już dochodzili do Wasylowej Mogiły, pod którą były krzaki i uroczysko tak zwane Wilcze jary.

Na drodze jacyś ludzie tyczki jedne przeciwko drugiej wybijają i sznurami ciągną po drodze — a w bok od drogi, pod samą mogiłą, widać siedzącego człowieka, burką opięty, a na głowie barania czapka. Przy nim pasie się na powodzie koniaczka wrona, osiodłana po kozacku — i z pod mogiły dolatuje głos pieśni, śpiew dźwięczny, pełen uroku, i słowa niektóre — to śpiew kozaczy. Przysłuchują się pielgrzymi. Sikora nadstawia ucha:

— A dalibóg, to śpiew naszego Asawuły, naszego Sydorenka. Chodźmy, dalibóg to on! Ale jaki djabeł go tu przyniósł? Czyby nasi Kozacy mieli być na Dobrudży? —

I szli spieszniej.

Pod mogiłą siedział człowiek już półwiekowy, ale jeszcze czerstwy; twarz rumiana, ale oczy posępne, wąs opadły w dół — widać że serce sumuje, żałuje czegoś; nie w swoim stosie. Pod nogami mu Wilcza jama, i on śpiewał o Ata-

http://rcin.org.pl

manie i o Wilczej jamie, lackiemi słowy, ale pieśń kozaczą. Pielgrzymi się zbliżali, już dobrze ich widział i oni dobrze go widzieli — poznali się. Sikora jak mógł, tak podbiegł:

— Majorze! — i rzucił się mu w objęcie. Major go uścisnął:

— Sikoro, jaki tu cię bis przyprowadził? — I nim mogli podstroić głos w rozmowę, spłakali się obydwaj rzewnemi łzami. Zwizda stał na stronie, ale płakał takoż, bo tamci dwaj płakali — kozacka natura. Jak się dobrze zbeczeli i zajrzeli parę razy do bakłaszek, Sikora przedstawił Zwizdę. Sydorenko zaraz przypomniał sobie, że z ojcem był pod Daszowem, pod Obodnem i pod Tywrowem — i znowu płakali i z bakłaszki popijali. Jak się uspokoili, Syderenko zaczął opowiadać:

Jak w Carogrodzie był na służbie sułtańskiej; komenderował dwoma sotniami, na Wely Efendim — tak się nazywa uroczysko blisko stolicy. Sam Sułtan kazał mu pięknie dziękować za harce kozacze. Była cześć, była wygoda — i kozackie imię wysoko stało. Niemcy już się wściekali, ale rady nie było; Sułtan, to pan wielki, tak chciał i tak być musiało. Ślicznie się kozactwu wiodło, kiedy jak Filip z konopi, wyrwał się dyplomata Niewidomego, Sroka — o przeklęta sroka! — a za nim w tropy pospieszył jenerał Niewidomego, Indyk młody. Watażka ich przyjął serdecznie, po polsku, po szlachecku: Czego chcecie, to mi powiedzcie, wszystko zrobię, co będę mógł; tylko sami nie pałamarujcie! — To powiedział przy nas wszystkich. Wodził z sobą do Wielikaszów Srokę i młodego Indyka — wszystko ułatwiał. Indyk młody odjechał, widać że ojcowska dziecina — nie chciał być pod pantoflem Sroki. Ale Sroka, to paskudna bestja! Otoczył się jakiemiś malarzami, szalbierzami — pieniądze narodowe w papierach na miljony liczył, szachrował, pokryjomu przed Watażką festyny wydawał. Pożyczał pieniędzy, ogrywał się w karty, złote góry obiecywał; wzywał w imię ojczyzny, w imię tej patrji, dla której Polacy są tak tkliwi. Że choć wszystko w Polsce już upadło, i Niewidomy wyniósł się z Polski, on ma armję katorżników nad Dniestrem — armję pracowników nad Dunajem, ażeby mógł rozpocząć

http://rcin.org.pl

działanie i mieć pieniądze na nie. Trzeba mu trzeciej armji w Stambule — aby dojść do tego, trzeba żeby adres był napisany od Kozaków i Dragonów, że gotowi na zawołanie Niewidomego i nie uznają innej władzy tylko jego. I bigosem i sosem, i pożyczką i apteczką tak czule przemawiał, a tak się kłaniał, tak obiecywał — gruszki na wierzbie, że w końcu oszachrował Asawułę i najdzielniejszych sotników kozaczych i dragońskich, że adres został napisanym i podpisanym — i podpisani nieuznający władzy, której służyli, dostali uwolnienie z kozactwa. Czy zadarł jakie pieniądze od Niewidomego na niewidomą wyprawę, to nie wiadomo. Ale z adresem przez Greków i Armianów wykazywał Wysokiej Porcie, że Watażka nie ma żadnego znaczenia między Kozakami i Polakami, że on używa wszechwładnego wpływu, na co dowód składa, i żąda zarządu politycznego, a nawet i dowództwa wojskowego. Jeśli mu je dadzą, to on do wszystkiego. Oszachrowanych sotników i asawułę puścił, jak to mówią, na paszę, na własnego przemysłu utrzymanie.

Kończąc to opowiadanie, spluwał na strony, jak na zdybanego popa: — Przeklęty Sroka, wyzuwitczyk, parszywiec, wykierował nas na dudków! Z asawuły, który wodził sotnie kozacze na boje, zostałem ot jak widzicie, ziemlomierzem. Tfu! Tyczki jak na fasole — ciągnij sznur jak do niewodu, a Bóg wie, bo to nie przy mnie pisano. A widzicie jaka koniaka — a mój biały jakiegoś gamonia nosi. Tfu! połamałem szablę, i ot sam myślę się zakopać w wilczej jamie. Przeklęta gadzina, parszywy wyzuwitczyk! Napijmy się, resztę wam dopowiem w Tulczy.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XVII.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WSZYSTKIEMU KONIEC.

Jak nocna lampa, kiedy się ma ku końcowi swego życia, słania się światłem to w lewo, to w prawo, już, już przygasa i znowuł zabłyśnie jaśniej — i zgasnąć nie może, choć jej życie gwatem się wymyka, a ona żyje jeszcze i jeszcze połyska. Tak i młoda Praxeda. Chora, ledwie stanąć może na nogi, siedzieć jej trudno; opiera piękne lice na podgłowie, a nim jeszcze od iczasu przewija się rumieniec bladej barwy, przelotny, ziemsk — wstydzi się gościć na tej twarzy, już na wpół należącej do nieba. Oczy jeszcze błyszczą światłem życia. Kiedy sama, to łza je brylantuje — widać czuje że życie ucieka, a choć zła dola na tej ziemi, nie chce się z niej oddalać, przywyczka na niej trzyma. Jak przy ludziach uśmiechem anioła grają oczy, cierpi, ale swojem cierpieniem nie chce słać cierpienia miłym sobie. Tai je uśmiechem. Usta blade, ale i na nich wdzięk przelotu, a całe ciało tak przeźroczyste, że można by przez nie przejrzeć i księżyc i gwiazdy, gdyby stanęła przed niemi i przed wzrokiem ludzkiem, nie byłaby zasłoną makaty, ale obsłoną cienkiego muślinu. Wszystkim wiadomo, że z piersiowej choroby już, już dogorywa, a ona, choć może wie o tem, ale przeczy. Codzień mówi: dziś mi lepiej, jutro pojedziemy na łodziach na Dunaj. — Prosi ojca, by na kilka dni udać się na futor; prosi matkę, by jej kazała uzbierać kwiatów, bo się w nie przystroi i pójdzie między rówieniczki na zabawy. Pani

http://rcin.org.pl

Żukowej prosi, by jej kabałę ciągnęła, czy będzie dnia jutrzejszego pogoda; pana Kuropatwę wysyła po sprawunki; z ojcem, leżąc, gra w marjasza — każdemu chce wygodzić, jakby wiedziała że odjeżdża, a chciała, by ją żałowano. A choć jej tyle nagadano o Zwizdzie, ona o nim myśli, o nim marzy; pierścionka świętej Barbary nie zdejmuje z palca, zaręczona, dochowa wiary — wiarę w życie wcieliła i z życiem wiarę uniesie.

Matka bolała macierzyńskiem uczuciem: Oj donia, moja donia! Taka młoda, taka szczęśliwa, taka piękna i taki piękny świat opuszczać! — Ale ciągłe pielęgnowanie chorej, ciągłe usiłowanie odgadywania jej chcenia i wygadzanie temu chceniu, równoważyło smutek, boleść i do rozpaczy przyjść nie dawało. Matka żyła chorobą córki.

Ale ojciec bolał bez pociechy. Jedynaczka, jego nadzieja, podpora na stare lata — a Bóg ją zabiera, żeby go osierocić na starość! Od pieczołowitości żony odwykł — może zanadto chciał być panem; do pielęgnowania córki przywykł — to jego dziecko ukochane, to jego pieszczoszka. I kto mu ją zastąpi? Sam jeden zostanie, stary, w tym nowym świecie! Nad takie życie lepsza śmierć. Ale rozpaczy nie trzeba puszczać wodze. Jeszcze ona żyje, i kto wie, Bóg wielki, cuda się dziać mogą, jak się działy niegdyś. To brzytwa ratunku topiącego się — tą nadzieją bawi się starzec, choć wie, że się bawi tylko; ale się bawi, żeby do końca być i ojcem i człowiekiem woli i hartu.

O Zwizdzie już przestano i mówić i myśleć w Tulczy, kiedy Osip Siemienowicz przywiózł z Ibraiłowa wieści nie trzymające się jedne drugich, niepodobniejsze wprawdzie jedne do drugich: że w Bukareszcie złapano jakiegoś rycerza, całego w karmazynie, w złocie i w brylantach, który przyjechał zrzucić Hospodara, a sam się na jego miejscu ogłosić czy Hospodarem, czy Carem. Że go okutego wsadzono w klatkę żelazną, a musiało mu być niewygodnie, bo tak beczał jak koza, kiewy go wieziono przez miasto; a musiała być ciężka telega, kiedy do niej nawiązano ze dwadzieścia koni pocztowych. A dorobańców cała rota wsiadła na telegę, żeby pilnować tego ptaka w klatce — i tak go

http://rcin.org.pl

powieziono aż do Dunaju. Rozmaici ludzie to widzieli; ale dalej już go nie widziano — utonął jak w wodzie i musieli go w wodzie utopić z żelazną klatką, żeby nie wypłynął. Jedni mi mówili, że to był Neczuja, ale to proncza — tak się by złapać w samotrzask nie dał; drudzy — i tu mówił na ucho, pod tajemnicą, że to był Zwizda. Dodał że jeden ze Skopców ismaiłowskich, który był w Kostengalji i zakupił trzcinę u starego Margulesko, z jego ust słyszał, że to był Zwizda. Osip Siemienowicz, zaczynając i kończąc to opowiadanie, żegnał się po trzykroć znakiem krzyża świętego.

— Wszystko to sprawka tego Niewidomego, bo już to ten Niewidomy zaczął u nas pałamarować jakby u siebie. Moja wina, i wielka wina! Pozwoliłem mu grzędy, a on już powłaził wszędy. Kto by to się spodziewał, że ten Sroka, którego miałem za wielkiego pana, za dyplomatę, za posła, kryjomo z jakimś drugim ptakiem kryłatym, jak wy mówicie, skrzydłatym, wkradł się do Skopców i ze Skopcami siedzieli kilka tygodni. Może się poskopili, a może powyciągali tajemnice polityczne tych sekciarzy; bo oni mają i tajemnice i pieniądze. A kto wie, jakie skutki nastąpią? Jeśli Skopce tak zapłacą ten stosunek, jak my płacimy, to biada, biada tym, co wy ich zowiecie sekciarzami, a którzy byli, a może i są potęgą. Moja wielka wina! —

I wstał na nogi, żegnając się krzyżem świętym i pokorząc się pokłonem przed ludźmi, z wielkiego żalu i z wielkiej skruchy.

Miał czego żałować i bić się w piersi, za grzechy, bo była jego wielka wina. Kozacy w rajów, w poddanych na własne żądanie zapisani; hangarije i wszelkie powinności na nich włożono, podatki i wykup od wojska muszą płacić. Cześć wojskowa stracona, bo już nie służą Sułtanowi zbrojno i konno, tak jak dawniej służyli. Dawniej Kozak na Dobrudży był jak Janczar, Spahija, jak Dere-beg. Z Tatarami w parze chodzili, ale nad Tatarami mieli pierwszeństwo i u władzy i u ludności. Ryby swobodnie po spławniach, na jeziorach i na Dunaju łapali; targowali swobodnie i rybą i wszelkim towarem. W ostatniej wojnie wszyscy Kozacy służbowi zostali obdarzeni medalami za waleczność i uczciwą

http://rcin.org.pl

służbę, a starszyzna dostała Medżydije; za wojsko sułtańskie byli uważani — swobodni i panami u siebie, bezpańscy za swoim obrębem. Mieli sobie przyznaną i swoją cerkiew starowierską, i swoich biskupów i swego arcybiskupa patrjarchę na całe starowierstwo — i wszystko to było pod godłem i pod skrzydłem wojska Ihnata Nekrasy kozaków, do którego oni należeli. Wszystko to poszło na marne imię, za przewodem Osipa Siemienowicza. A teraz gonią Kozactwo na hangarję; lada Czerkies, lada Nogajec, Kozaka w kark tnie, za uszy targa, nogą za drzwi wypycha, zwyczajnie rają, giaura. Dymitraki dziesięciny wybiera, kozackie wioski żydom wynajmuje — żydom, którzy ukrzyżowali Chrystusa Pana, chrześcian w arędę puszcza. Kurabet Armianin połów ryb zaarędował u władzy i wynajmuje częściami Kozakom, wkłada na nich pańszczyzny, daremszczyzny, a po armiańsku zdziera. Arslan Grek wymyśla podatki sołdackie, czumackie, burłackie; jedzie po wioskach kozackich ze swoimi zaptijami, i jak niegdyś baronowie Zachodu, a później rozpustna szlachta polska, gwałtem wianki dziewczętom zdziera, mołodyce gwałtem do siebie na tańce sprowadza, a byłych mołodźców, dziś rajów, kijami łupią, od oblicza arslanowego odpędzają, jakby on na prawdę był lwem. A jak przyjdą na skargę do konaku, dawniej Kozaków proszono siedzieć, rozpytano i sprawiedliwość dawano — dziś rajów wyganiają, hajde git, idź precz — z epitetami! Wszystko to robota Osipa Siemienowicza, i wielka jego wina. Miał po co jeździć do Paryża i do Londynu, żeby taki gościniec przywiózł Kozactwu. Kozactwo też za to brało go już nieraz w koło, jak on niegdyś ich bierał, także nie raz, nie dwa. Kozacy rąk nie żałowali, od serca karali, i Osip Siemieniowicz nisko im się kłaniał na podziękowanie; pokutował, ale to wszystko na nic się nie zdało — już było po harapie.

Kozaczyzna zburzona, zniszczona na Dobrudży. Arcybiskup z biskupami, nie mogąc patrzeć na takie dobrowolne poniżenie, na takie zesromocenie zasług i dobrego imienia kozactwa, wyjechał za Dunaj i oddał się pod władzę Białego Cara, a z nim całe starowierstwo wróciło skąd przyszło. Za starowierstwem idą a idą starowierce, za Dunaj, za Dniestr,

http://rcin.org.pl

za Dniepr, w dawne siedziby swoich ojców. Za starowiercami idą bezpopowcy, duchoborcy, małakanie, nemolaki, roskolniki i wszyscy sekciarze wschodniego roskołu; a za roskołem idą kozacy Zaporoża i Ukrainy, kozacy Donu i Jaiku — wszyscy wychodźce. Ludne wioski kozacze, przedmieścia zamieszkane przez lud kozaczy, jak po morowem powietrzu; domy pustkami stoją, w cerkwiach nie dzwonią, carskie wrota zabite, w karczmach nie masz ani arędarzy, ani szynkarzy, bo nie masz komu szynkować. Nie słychać ani muzyki, ani kozackiej pieśni. Ulice niegdyś ubite jak tokowisko, prysiudami i tropakami kozaczemi, dziś zarastają zielem i chwastem; psy dzikie w nich się płodzą, i psy dzikie wyją, jak wilcy po lesie. W futory kozacze już porozjeżdżali Czerkiesy i Nogaje, jak w swoje auły gospodarują — jak szare gęsi wszystko niszczą.

Jeszcze gdzie niegdzie widać chaty kozacze, i kozaków, burłaków, na spławniach, w służbie Karabetów, Arslanów, Żydów, Greków i Armianów. Mołodzcy przeszli na najmytów, ale i ci po mału, po jednemu, po dwóch nazad za Dunaj przechodzą i idą w ziemie Białego Cara. Ludzie jak żórawie — jak jeden zaśpiewa w drogę, to wszystkie na nogi i do drogi gotowe; jak jeden pokaże drogę, to jedni za drugimi ciągną, jak żórawie. Myśl powrotu rzucona, droga wskazana — wracają i wszyscy powrócą, żaden nie zostanie.

Osip Siemienowicz mógłby na Dobrudży na zgliszczach Kozaczyzny, tak jak niegdyś Marjusz w Afryce na zgliszczach Kartaginy, usiąść i płakać. Z upadkiem Kartaginy upadła potęga Marjusza, bo już był niepotrzebny — z upadkiem Kozaczyzny Osipa Siemienowicza już i za boże poszycie nie mają. Bije się w piersi: moja wina! — żałuje za grzechy, płacze — bo sam siebie zabił za życia i żyje jak trup kozaczy. [1])

Tak się działo na Dobrudży i w Tulczy, kiedy trzej kozacy, trzej pielgrzymi weszli do miasta i wprost jak w dym udali się do państwa Żuków. U państwa Żuków czem dom bogaty, tem i rad. Przyjmowali gości, dawnych i dobrych znajomych, chlebem solą i dobrą wolą — i pielgrzymom tak było, jakby byli u siebie, na swojej własnej Ukrainie.

http://rcin.org.pl

Pani Żukowa wymknęła się od gości i podryptała do domu Nemolaki. Miała dziwną minę, bo szła z gościńcem, z tajemnicą. Myśl sobie łamała, jak tu zacząć, jak przygotować pannę, żeby wzruszenie, i tak już mocne, chorej nie zabiło; jak przygotować ojca, matkę — jak wszystko zrobić, żeby było dobrze; a chciała żeby tak było, bo z całego serca kochała młodą Nemolaczkę, jak własną córkę by kochała, gdyby ją miała.

Ale jakież było jej zadziwienie, kiedy wchodząc, zastała Praxedę na nogach. Stała przed zwierciadłem, ubrana po ukraińsku, w spódnice, w byndy, w korale, tak jak stary ojciec lubił — i wtykała we włosy kwiaty, róże białe i jasmin. Sama jedna była, w zwierciadło się wpatrywała i do zwierciadła się uśmiechała, a po kilka razy ucałowała obrączkę świętej Barbary. Pani Żukowa zatrzymała się we drzwiach, żeby biednego dziewczęcia nie spłoszyć w zabawie. Ale Praxeda ją spostrzegła.

— Proszę, pani mi pomożesz ubrać się. Sen miałam, jakiś ogień mnie do koła otoczył, a taki był ładny, taki błękitny, że aż mi się nie chciało uciekać od niego — do koła mnie otoczył, płonął jasno, jakby się ze mną bawił; ale mnie nie palił — był grzecznym i jemu nie chciało się mnie opuszczać. To gościa znaczy i gościa bardzo miłego, i dla tego się ubieram, żeby i gościa jak należy przyjąć i ojcu się podobać.

— Być może że Bóg ci ześle gościa. Ale jakże ci jest, moja luba?

— O, tak mi dobrze teraz, jak już dawno nie bywało! Zdaje mi się, że ten ogień we śnie całą moją chorobę wypalił i zabrał ze swojem płomieniem. Tak mi lekko i czuję się na siłach, że mogłabym tańczyć tak, jak niegdyś tańcowałam. —

I w samej rzeczy rumieniec był świeżym i oczy świeciły nie chorowitym blaskiem; uśmiech nawet po twarzy rozchodził się swobodny, nie zmuszony.

— Pozwól pani, żebym Panu Bogu podziękowała za jego łaskę!

I uklękła i modliła się, i biła pokłony, a słońce ją opro-

http://rcin.org.pl

mieniało do koła, jak świętą Pańską. Ale dziękczynienie za ten powrót do zdrowia tak było szczere, tak serdeczne, że się odbijało na całem licu, jak to lice w zwierciadle, tak, że pani Żukowa aż do łez wzruszona, powtarzała sama sobie:

— Ona z nami zostanie, zostanie z nami! —

Mówiła w myśli, ale Praxeda, jak tylko modły skończyła, przyszła i siadła przy pani Żukowej.

— Zostanę z wami, bo choć ojciec chce wracać na Ukrainę, za Dniepr — tego się domyślam z jego mowy — ale ja go tak będę prosić, tak prosić, że zostaniemy. Ja ztąd nie wyjadę, tu mi dobrze z wami. Powiedz sama pani, czyż to nie łaska boża, nie cud boży, tak odzyskać zdrowie jak ja odzyskałam? Ale może pani w cuda nie wierzysz, to nie mówmy o tem; ale proszę mi pociągnąć kabały. —

I podała jej do rąk talję kart:

Pani Żukowa włożyła okulary na nos i po przetasowaniu kart i zebraniu ich przez Praxedę rozkładała je jedne koło drugich. Praxedę wyobrażała dama pikowa; obok damy pikowej padł as kierowy — wyobrażał on dom ojcowski, gdzie całem sercem ją kochali; za asem szóstka trefasa — to droga mozolna, przykra, niebezpieczna; za tą szóstką król kierowy, a za nim ósemka czerwona.

Praxeda krzyknęła:

— On tu jest — on tu! Przebył okropną podróż, ale jest tu i mnie kocha, ja to widzę z kart! Powiedz pani, czy tak jest? On tu!

— Kto on? Uspokój się moja luba!

— Pan Zwizda, mój narzeczony, mój zaręczony! On tu, niech pani powie!

— Może, ja nie wiem — tak karty mówią, ale karty to jeszcze nie jest rzeczywistość. Może jedzie, może blisko.

— Och nie, pani! On jest tu! Proszę mi prawdę powiedzieć, ja będę spokojną!

— Najprzód proszę się uspokoić. Ja pójdę go poszukać; może przyjechał, kiedy tak karty mówią.

— Niech pani idzie, o wszystkiem się dowie. Ja będę spokojną; na dowód będę się modlić na podziękowanie, że

http://rcin.org.pl

mi go wrócił, bo to smutna była rzecz, być narzeczoną, zaręczoną, a nie być żoną! —

I znowu uklękła i modliła się, a pani Żukowa wyszła wprost do państwa Skorupadzkich, żeby im wszystko opowiedzieć i zrobić, co oni zechcą.

Radość w pana Skorupadzkiego domu. Córka wróciła do zdrowia, a jej narzeczony wrócił jakby z tamtego świata — więc wesoło, gości pełno. Pan Zwizda z początku sromał się i jakoś nie przychodził do siebie; ale dobroć panny Praxedy, jej miłość solennem przyrzeczeniem uświęcona, umiały rozpędzić te chmury; a przytem stary Skorupadzki powtarzał:

— Lepsze to piwo, co się wyszumi przed zabutelkowaniem, jak to, co zacznie szumieć w butelce i ją rozsadza. Trzeba żeby młodość swoje odrobiła, żeby nie odrabiała na starość. I konik jak się za młodu wybryka, to na starość poczciwie wóz ciągnie. Co było a nie jest, tego nie pisać w rejestr. Chłopcze, niech cię nie dręczy myśl żadna! I my nie byliśmy lepszymi, jak byliśmy tacy jak ty. A zresztą jeśliś nagrzeszył, toś dobrze za to odpokutował; nauczka w las pójść nie powinna i nie pójdzie. Teraz wszystko ci Bóg przebaczy, jak tylko zrobisz szczęśliwą moją jedynaczkę, moją dziecinę. — I śmiejąc się, dodawał: — Zys, łys, kuternoga, uda się, kiedy taka łaska Pana Boga! —

I Zwizda wrócił do dawnego stosu, cholewki smalił, konkury palił, ale do panny Praxedy tylko. Że stary Skorupadzki był Ukraińcem i to starej daty, więc nie lubił tylko pirogi odkładane i bigos tylko odgrzewany, a wszystkie inne rzeczy lubił kończyć bez straty czasu. Na pojutrzejszy dzień naznaczył ślub i wesele; nie dał nawet nóg rozprostować narzeczonemu. We czwartek przyszedł — dzień szczęśliwy, bo w ten dzień urodził się święty Bartek, patron rogaczy, i w każdy dzień świętego Bartłomieja surmami myśliwskiemi brzmi knieja, polują na rogaczy. Komu szczęście posłuży i dostanie róg jeleni, ten się pewnie w ciągu roku obżeni. Piątek, to dzień pamiątek i dobry na początek — przypominali sobie wszystko co było i co można było przypominać, a najwięcej swojej znajomości początek. W sobotę

http://rcin.org.pl

dzień Matki Dziewicy, dzień błogosławieństwa na wszelkie śluby, bo pod opieką Matki Rodzicielki.

Ślub w domu się odbywał. Panna młoda była cała w bieli i oprócz liści zielonych na wianku, przy pomarańczowym kwiecie, żadnej innej barwy w stroju nie było — żadnego drogiego kamienia, żadnego koralu, tylko na szyi sznurek pereł białych, a na palcu obrączka świętej Barbary. W tym białym stroju, z białem licem, z lekkim rumieńcem i z dwoma oczami brylantami, była jak Rusałka czarodziejka, Rusałka dnieprowa, którą Bóg czy czarownik jakiś zmienił w wodnej lilji kwiat. Lilją wodną była dla całego świata, a białą Rusałką, czyli Rusałką w bieli, dla mołodźców kozackich. Zwizda był w stroju kozackim, bez złota, bez srebra, w ciemnej barwie. Worona i Kuropatwa jako kawalerowie prowadzili pannę młodą do ślubu, a od ślubu już mężatką, Sydorenko i Żuk, już żonaci; toż samo i pana młodego dwie panny do ślubu, dwie mężatki od ślubu. Nowozaślubieni padali do nóg ojcu i matki, a nisko się kłaniali gościom. Potem były tańce, były zabawy, ale państwo młodzi nie tańczyli. On był kuternogą, jej tańców zakazano. Ten zakaz zdawał się być jedynym śladem choroby — tak była wesołą, tak uszczęśliwioną, że już była żoną.

Potem była cukrowa kolacja, według szlacheckiego zwyczaju; pito zdrowia po zdrowiach węgrzynem, szampanem. Pan Żuk przypomniał sobie dawne ułańskie czasy, wziął kielich, stanął frontem, obcas o obcas stuknął:

Na zielonym dębie
Siedzą dwa gołębie,
Skubią sobie mech, mech —
Kto wam wróg, bogdaj zdech!

Pan Kuropatwa był Krakowiak, z samego Skalmierza, choć niby to wziął harbuza i wypił czarną polewkę, zapomniał konfuzji — a był dobry chłopak, prawdziwy Krakowiak, dowcipny. Porwał kielich i wesoło wszedł w koło:

Siwa klaczka, siwa,
Siwy konik, siwy —

http://rcin.org.pl

Pani bądź szczęśliwa,
I ty bądź szczęśliwy.

Praxedę pocałował w rękę, Zwizdę cmoknął w usta — duszkiem z kielicha szampana wypił i kielich na paznogieć wywrócił, że i kropelki nie ma, a potem po guzikach szkłem brzęknął, że gotów do drugiego; to po krakowsku.

Kucz stanął do szeregu, ale nie z kielichem, bo to naparstek, a on nie szwaczka, ale z konewką garcową; leli mu węgrzyna, nie szampana, bo to pianka, mydlana bańka:

I ja kozaczysko stary,
Piję zdrowie młodej pary!
Niech się kocha, niech się płodzi,
Niech nam kozaczęta rodzi.

Pił, pił i wypił aż do dna, nic nie zostawił, i Bóg go pobłogosławił, bo ani razu się nie zachłysnął — z warszawskiej szkoły, dudlił jak gdyby był Sasem.

Grysza szybko porwał za konew z rąk Kucza, żeby go czasem nie zabrano.

— Lej, panie Żuku! Ile kropel, tyle pomyślności, tyle i potomstwa! To by się zdało Kozaczyźnie, bo już zaczyna brakować kozaków! —

Wypił aż miło, tylko językiem o podniebienie klasnął, a potem oblizał usta — z żalem konew na stole postawił.

Pan Worona wyciął mowę prozą, radząc by się w stadle rządzili konstytucyjnie, z pewnemi koncesjami jednego dla drugiego, ale zawsze monarchicznie, nie demokratycznie, nie po republikańsku; ażeby potomstwo utrzymywali w prawach i w ryzach dynastycznych, bo bez tego nie będzie szczęścia w małżeństwie i zachowania w radzie. Podniósł kielich:

— Niech żyje monarchja i dynastja! — I gładko wypił.

Sydorenko, jak słowik ukraiński, zanucił:

Czorne more łeżyt tycho,
Najma czajki z kozakom —
Nasze zamki jakby łycho
Powałyło nad Dniprom.

http://rcin.org.pl

Łza mu się zakręciła w oku. Och! ten przeklęty Sroka, jakby licho, wali nasze kozactwo!

— Na pohybel Sroce! —

A Osip Siemienowicz, jak pokutnik kozaczego zakonu, wina ani ustami dotknął; stał przy drzwiach i żegnał się znakiem krzyża świętego i pokornie się kłaniał.

Tak się skończyła biesiada. I państwo odprowadzono do małżeńskiej komnaty; tylko skrzypeczki przytłumionem zacięciem grały i cymbały wtórowały, na pożegnanie, na dobrą noc. Dziewczęta jak płaczki, głośnym jękiem, więc udanym, płakały za panną, a same by chciały być na jej miejscu; mężatki chichotały i pustowały z mężczyznami, z radości, że będą miały nową mężatkę, a w komnacie było cicho — drzwi zamknięto.

Dzień biały już od dawna świat boży rozjaśnił, rozweselił, słońceuż j wysoko na niebie. Goście wczorajsi wszyscy co do jednego już się znachodzą w komnatach pana Skorupadzkiego. Pani Żukowa przyrządza polewkę winną dla państwa młodych, a pan Żuk z kieliszkiem stoi przy sztofach kalmusówki, kminkówki i gdańszczanki — radzi zabijać robaka i zakąsić Zosinym piernikiem, którym wczoraj nakarmiła dobrze Zwizdę.

Państwa młodych jak nie ma, tak nie ma. Na twarzach kobiet złośliwe uśmiechy, na twarzach mężczyzn niecierpliwość; czas by już jeść śniadanie, klin klinem wybijać. Pani Żukowa coraz to świeże żółtka rozbija, żeby polewka była godna młodej pary.

Matka słucha podedrzwiami i nic nie słyszy; ojciec parę razy już stukał do drzwi i nic mu nie odpowiedziano. Obawa zaczyna przewyższać i oczekiwanie i niecierpliwość. Żuk, człowiek doświadczony i przezorny, nikomu nic nie mówiąc posłał po doktora. Nie ma Szmita, którego w mieście zowią usta mistrzem. Już szepcą sobie na ucho:

— Ona była suchotnicą, kto wie, co się stało?

Wszedł i doktor — obawa ogólna. Ojciec niespokojny, postanowił żeby drzwi otworzyć, ale żeby nie przestraszyć dzieci, jeśli mocno zasnęli. Posłano po ślusarza.

Drzwi otworzono. Na białej pościeli śpi Praxeda snem

http://rcin.org.pl

anioła, bo urok szczęścia na obliczu, a promyk słońca, który tam się wkradł przed ludźmi, olśnił jej główkę, jak wiankiem bożego światła, a tak spokojnie, tak cicho, że oddechu nawet nie słychać, ani dojrzeć tego ledwie mogącego się dozierać podniesienia i upadania bielizny śpiącego człowieka — śpi spokojnie, nieruchomie. A małżonek przy łożu klęczy, nawet nie obejrzał się do wchodzących. Ojciec go trącił za ramię — on głowę odwrócił, ale wzrokiem jakby nie patrzał. Zaszemrał:

— Zasnęła — śpi! —

Wtenczas doktor przystąpił do łoża, z lekka dotknął twarzy, ręki — zimne jak lód; pulsu szuka, pulsu nie ma — nie żyje: zasnęła jak zasypiają suchotnice — dusza do aniołów uleciała, a anielskie ciało z ludźmi zostało.

Ojciec oparł się o ścianę, nie utrzymał się, osunął się na ziemię: — Moja jedynaczko! — i zaniemiał. Ojca ratowano, bo już córki nikt odratować nie może. A matka spokojna, z wzrokiem osłupiałym, siadła przy łożu zmarłej córki — i siedzi jakby o niczem nie wiedziała, co to się stało; na ludzi patrzy, i ani łzy w oku, ani westchnienia z piersi — taka, jaką była przed chorobą córki. Żyła chorobą córki — z jej śmiercią obumarło macierzyńskie uczucie, a obumarła żyje jeszcze.

Zwizdę nie można było dobrowolnie wyprowadzić; klęczał przy łożu:

— Zasnęła, śpi, dajcie jej pokój! Ja będę jej pilnował, ja mąż, to moja żona! —

Kucz z Gryszą gwałtem go wynieśli, a dom Nemolaki po hucznem weselu przybrał grubą żałobę. Tak się to dzieje na tym bożym świecie.

W domu pana Skorupadzkiego, w obszernej komnacie, stoi katafalk, cały kirem okryty, a na kirze białe greckie krzyże; trzysta świec jarzących płonie do koła — las świec, łuna świata. Na katafalku trumna, bogato kirem i srebrem obita — otwarta: w niej zmarła Praxeda, cała w bieli, jak była przy ślubie, i wianek z kwiatów pomarańczowych, ten sam, który na ślubie nosiła. Ręce na piersiach na krzyż złożone i na palcu srebrna obrączka świętej Barbary. Taka

http://rcin.org.pl

słodycz anielska na licu, taka białość przeźroczysta, że zdaje się jakby spała — i gdyby oczy otworzyła, to by żyła. Zwizda klęczy przy trumnie, jak klęczał przy łożu — a mir i wonne kadzidła z kadzielnic lekkim dymem osłaniały cały ten obraz śmierci i żalu.

Pan Skorupadzki zasępiony grobowym żalem, chodził po domie, wszystkim znajomym, przyjaciołom, sprzęty, dobytki rozdawał — dom wypróżniał. Nie przenosił się do innego mieszkania, bo nic sobie nie zostawił, wszystko oddawał. Może się wynosi na futor i tam będzie żył, jak żyją inni Kozacy. Zapytany przez Woronę, którego najwięcej poważał i szanował, odpowiedział:

— Wracam do siebie z córką i z zięciem, żonę zabiorę, bo choć to mówią, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Wszystkiemu musi być koniec. —

I oko mu było suche, i głos mu nie drżał, a jednak bolał i mocno bolał. I jakże nie miał boleć? Z żoną obumarłą, z córką umarłą — sam jeden na tym bożym świecie!

Nazajutrz dzień w Tulczy tłumnie lud ulicami ciągnął ku Dunajowi. Czy to procesja jaka, czy chrzczenie wody na wielkiej rzece, czy łówka jesiotrów na Dunaju? Czy Sławianie idą na spotkanie sławiańskich gości? Och! to nie procesja żadna, ani chrzest wody, ani łówka ryby, ani miłe spotkanie — ale powrót kozaczy w siedziby swych praojców.

Najprzód szedł stary Skorupadzki, w niedźwiedziej delji, a obok niego chromy Zwizda w kozaczej burce.

Za nimi nieśli trumnę, kirem osłoniętą, a na kirze srebrne krzyże świętego kościoła — w niej zwłoki jedynaczki, córki i małżonki.

Za trumną pani Skorupadzka, obojętna, umarła, jakby szła bez celu i bez wiedzy — prowadzona przez panią Żukowę.

Za niemi Worona, Żuk, Sydorenko, Kucz, Grysza, Kurcpatwa i Osip Siemienow.

Na Dunaju łódź czekała. Skorupadzki ściskał jednych po drugich, ze wszystkimi się żegnał, potem oczy wzniósł w niebo:

— Bóg zapłać temu ludowi za gościnność, Bóg mu błogosław, a ja was czekam albo tam w naszej ziemi, w siedzibie naszych ojców, albo tam na tamtym świecie. —

http://rcin.org.pl

Wsiedli na łódź, popłynęli. Stary Skorupadzki wiózł kości swoich i swoje stare kości do kości praojców, do mogilnika kozaczej Ukrainy.

Przyjaciele Skorupadzkiego stali na brzegu i smutno im było. Tyle lat razem się przeżyło, a kto wie, czy się zobaczą jeszcze na tym tu świecie!

Kiedy łódź dobiła do drugiego brzegu Dunaju, Sydorenko zanucił:

Stary Dunaj leżyt' tycho,
Nyma coże czojki z Kozakom —
Kozaczynu srocze łycho
Powałyło nad Dunajom.

Osip Siemienow żegnał się znakiem krzyża świętego i kłaniał się Dunajowi, a potem za innymi z Sydoreńkiem poszedł w parze — pokutnik z ofiarą.

Wszystkiemu musi być koniec!

28. lutego 1871 w Carogrodzie.

http://rcin.org.pl

PRZYPISY.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ I.

[1]) Strona 3. Jelonki, rasa koni polskich, czyli Ukraińskich, używanych pod lekkie chorągwie kozackie. Tej rasy konie przechowały się jeszcze do 1831, w znacznej ilości na Zadnieprzańskiej Ukrainie, stada: Skorupadzkich, Apostoła, znaczne trzema ościami na prawem, zadniem udzie. Prawie cały pułk Karola Różyckiego siedział na koniach tej porody, zabranych Siewierskiemu, konno strzeleckiemu pułkowi pod Uchaniami na Ukrainie Przeddnieprzańskiej, u Sobańskich, Skibickich i w mniejszych stadach Obywateli Kijowskiej Gubernji. Garbonosy pod ciężką jazdę. Najlepsze ze stada Obywatela Czorby z Zadnieprza, do użytku ciężkiej jazdy, były stada Zawadowskiego i Rozumowskiego, które miały na czole jak dwa wyrostki, niby narosłe rożki. I w stadzie Iwanowskiego w Kijowskiem konie tej porody, były pododne zupełnie do koni Tunetańskich wysokiej porody. Utrzymują że ta poroda początek swój wzięła od ogierów zabranych przez wojsko Jana III. na wyprawie pod Wiedniem. Dzielności koni polskich nie przewyższa dzielność koni arabskich, a ich wartości pod jazdą i do wojny żadna poroda niewyrówna czysto polskiej.

[2]) Strona 5. Moroz, Hetman Zaporoża na Dobrudży, przed bitwą pod Nawarynem wysadził się w powietrze z okrętem, na którym był skarb, żeby nie wpaść w niewolę grecką. Lach, takoż Hetman Zaporoża na Dobrudży.

[3]) Strona 6. Hładko, Hetman, który oddał się Rossyi w 1828. — Mereż po ukraińsku haft — mereżona, haftowana.

[4]) Strona 8. Hangaryja, powinności, podwody, kwatery, wybory dla wojska, dostawa drzewa, zboża — są ogromnemi w Turcji, gdzie przy wojsku nie masz zupełnie służby pociągowej, a wszystko się odbywa hangaryją — i dla tego najmniejsze operacje wojenne są uciążliwe dla ludności, a zanadto kosztowne dla skarbu.

[5]) Strona 14. O Monarchji i Dynastji pismo Janusza Woronicza.

O sieci strategicznej pismo Generała Ludwika Bystrzonoskiego.

Są jednemi z najlepszych pism, jakie wyszły w Emigracji. Komtur, którego nazwiska wolę nie wymieniać, z powodu jego wielkich zasług przy wielkich błędach, ale które jest łatwem do domyślenia się, tak się zastraszył, żeby powyższe pisma nie zmusiły do czynu i do ruchu, że na ich zwojowanie najął dwóch pisarzy: M. J. — i L. M. — Ci napisali dwie powieści czyli dwa romanse naprzód o trzy tysiące lat, od Lecha, aż do tego co będzie za dwa tysiące lat — jak się spadały romanse miłosne z przeobrażeniami politycznemi. Każdy żartem dostał po dwa tysiące franków zadatku —

http://rcin.org.pl

M. J. napisał dwa tomy — L. M. miał już gotowych treści planu na dwa tomy. Pan Karol Sienkiewicz odradził publikacje.

[6]) Strona 15. Kiedy wojska sułtańskie były w Rumunji, a pułk kozacki nad Prutem, wtenczas i biali i czerwoni Polacy, to jest arystokracja i demokracja, i dowódzce kozaków wolali ochotnika, w nadziei że jak naród polski objawi życie polityczne biegnąc pod sztandary polskie Sułtana, Francji i Anglji, mogą wnieść wojnę o Polskę do Polski. Aż tu i biali i czerwoni zaklinają, żeby nikt nie powstawał, nikt się nie ruszał, póki czerwone portki Francuzkich żołnierzy nie okażą się w Kijowie, w Wilnie i w Warszawie. Żeby się wystrzegać przyszłego Bohdana Chmielnickiego, którego odgadywali w swoim jezuickim rozumie, w dowódzcy kozaków. Główny komtur biały, jednego dnia mówiąc z jednym z najzacniejszych Polaków, Ryszardem Berwińskim, oświadczył: „My nie możemy iść z nim razem, bo kto wie, jakby on bruzdził w Polsce.“ — Ztąd ta walka najnikczemniejsza i najniegodniejsza p zez lat siedmnaście przeciw kozakom i ich dowódzcy, która wojowała to co było prawdziwie polskie, prawdziwie rycerskie i jedynie korzystne dla przyszłości Polski. W niecnocie i głupocie było porozumienie się czerwonych z białymi. Czekali portek czerwonych żeby nie zbawić ojczyzny, a wystąpili do walki przeciw Margrabiemu, żeby dokonać zguby ojczyzny.

[7]) Strona 15. Koło sędziwe kozackie. Gromada zbiera się w koło, przyprowadzają winnych przed starszyznę — starszyzna natychmiast wyroki wydaje. Biedaka winnego praży kanczugami w plecy, a potem on musi kłaniać się, dziękować starszyznie za ukaranie.

Firman Sułtana Abdul Medżyd Hana wydany w roku 1856 wtenczas, kiedy Reszyd Pasza Wielki, był Wielkim Wezyrem, a Riża Pasza Seraskierem. Stanowił, żeby, oprócz pułku Kozaków i pułku Dragonów pod bronią, były na Dobrudży i na wyspach osady redyfów kozaków — dwanaście szwadronów jazdy — cztery bataljony piechoty i dwie brygady szalup kanonierskich. Do kozaków należeli wszyscy Polacy przebywający w Turcji, na protestacji posła francuskiego i angielskiego, PP. Touvenel i Lorda Redcliffa. Wykonanie firmanu zostało zawieszone, ale firman nie został skasowanym. Polacy biali i czerwoni obawiając się, aby nie wywołano jego wykonania — czerwoni straszyli kozaków, że ich szlachta polska w pańszczyznę, zapisze — biali rozumowali i namawiali do żądania by im zabrano przywileje wojskowe, i zapisano ich w rajów jak innych chrześcian Turcji. Daje to objaśnienie, że wszystko co mówię odnoszącem się do polityki w tej powieści, jest prawdziwem i autentycznem.

ROZDZIAŁ II.

[1]) Strona 24. Napomknięcie o Neczui i o Bulgarze jest autentycznem, równie jak o podróży Ganczarowa do Paryża i do Londynu. Są to figle dyplomatyczne polonji, które wielce zaszkodziły i szkodzą sprawie i dobremu imieniowi, a które ukrywać nie byłoby zgodne, ani z sumieniem ani z pożytkiem.

[2]) Strona 31. To uzwierzęcenie i uptaszenie powstania jest jednym z najszczęśliwszych pomysłów rządunie widomego, i bezzawodnie, że wiele się przyczyniło do obałamucenia nieprzyjaciela i trwania powstania.

[3]) Strona 33. Ów blondynek, zwięzy się Wieloposkim, był synem służącego Margrabiego, oddany do szkoły tak zwanej kantonierów, czyli rekruckich dzieci, ponieważ ojciec był wysłużonym żołnierzem. Widać,

http://rcin.org.pl

chodząc do ojca, musiał ukraść paszport jakiś Zygmunta Wielopolskiego i z tym dostał się do Turcji i zapisał się do kozaków, gdzie go wcale za Margrabiego Wielopolskiego nie miano. Pułkownik Kirkor częste mu dawał napomnienia, gdyż na nie zasługiwał. Czytać i pisać po polsku zaledwie umiał, po rosyjsku dość nędznie; żadnego wychowania domowego, żadnej edukacji. Dość zręcznie się fechtował karabinem, lecz przez trzy lata służby nie zyskał nawet pierwszego stopnia podoficerskiego. Zdezertował z nad granicy greckiej i przez komisarzy stambulskich został posłany do Galicji, a tam przez złośliwe szyderstwo przezwano go Margrabią Wielopolskim, nie wiem, czy synem, czy wnukiem rozumnego Margrabiego. Reszta, co o nim piszę w powieści, jest prawdziwa; gdzie się podział tego, nie wiem — może gdzie margrabiuje.

ROZDZIAŁ III.

[1]) Strona 38. Obraz Dobrudży jak najrzeczywistszy.

[2]) Strona 39. Hetman Lach był szlachcicem polskim i bardzo uczonym, bo nawet pisał i mówił po łacinie. O ile mogłem się dowiedzieć, prawdziwe jego nazwisko familijne było Jaźwiński, z Pobereża. Syn jego był sotnikiem Żułowskiej Sotni w czasie wojny 1854 roku. Jeszcze żyje i ma mnogie potomstwo, ale nie nosi innego nazwiska, tylko Lach.

[3]) Strona 39. Bondarenka sam widziałem w jego objeździe hulaszczym, żeby stracić zarobek roczny. Objeżdżał wszystkie miasta i sioła gdzie byli kozacy, z muzyką cygańską, w sutym ubiorze czerwonej barwy. Wszędzie gościł po kilka dni, póki wszystkiego nie przechulał, wtenczas wracał do domu i do nowej pracy.

[4]) Strona 41. Biały, kozak rodem z Ukrainy, był znamienitym mimikiem. Człowieka, którego raz widział, umiał tak wyśmienicie przedrzeźnić, że każdy go odrazu poznał. Macuch był siłaczem pułku. Dzikie konie chwytał za ogon i przysiadłszy w kuczki, dał się pociągnąć kilka kroków i konie utrzymywał. Niedźwiedzia choćby jakiego, w borukach rzucał o ziemię. Ci dwaj ludzie byli głównemi werbownikami kozaków. Pierwszy, jak mówią, kozła zamanił, drugi nie puścił.

[5]) Strona 41. Grysza Krasnoewietów, ożenił się z młodą niemeczką, ale bardzo zalotną. Bez gniewu, bez krzyku, dla zabawki przetrącił jej nogę drągiem, i odtąd kulawa, nie mogła się szwendać po mieście. To jest obrazek Dobrudży i Tulczy.

[6]) Strona 42. Bójka, przyczyny bójki i skutki są autentyczne. Korpus Katorżników pracujących przy drodze żelaznej z Odessy do Michalen, przedsiębiorstwa Barona Ungern-Sternberg, według raportu dyplomaty, którego imię wszystkim znane, miał być zaangażowanym do służby Niewidomego. Takiemi baśniami bawiono poczciwych Polaków, którzy swoje życie poświęcali służbie ojczystej. Wiązano się, albo starano się wiązać ze skopcami, żeby łudzić biedaków dobrodusznych — zgoła wyprowadzano zamki karciane, a burzono organizację kozacką, która była kamienną. To były prawdziwe nieszczęścia sprawy polskiej, które silnie przypadały do usposobień polskich, a które były powodem temu zdaniu Generała Chrzanowskiego. „Przyprowadź Polaków nad Dniestr, pokaż im bród i na drugiej stronie ziemię polską — zaraz zaprotestują: My nie chcemy tej drogi, my chcemy iść przez Chiny.“ — Niestety, w wielu wypadkach to zdanie się sprawdza.

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ IV.

[1]) Strona 54. Ludwik Zwierkowski, w Sławiańszczyznie znany pod nazwą: Czarny, na Kaukazie: Karakrak Bej — ten Polak wielkiego serca, wielkiej odwagi i wielkiego poświęcenia się, wszystko co mu wpadło pod rękę i pod oczy sławiańszczył. Zenda-Westa była mu Świętą Obwiestą — Achilles, Sławianin Ach-ileż — Patrokl, Patrz-Okiem — Mirmidonos, Mir-mi-donieś — z komentarzami. Żeby takich Polaków było wielu, to by sprawa polska nie tak stała, jak dziś stoi.

[2]) Strona 61. Pieśń o kozaku Suprunie jest śpiewaną na całej Dobrudży:

Neznaw kozak Suprun jak sławy nabyty,
Zibram wojsko i piszow hordy byty
Z Suboty protiw Nedely z hordoju stryczewsia
W Nedelu w obiduiu w newolu popawsia.

[3]) Strona 63. Wilkow, osada kozacka przy ujściu Dunaju odnogi Kilijskiej; ma tysiąc dwieście domów. Niczem innem się nie trudni tylko rybołówstwem.

Tam przyprawiają i szmelcują kawiar, jak nigdzie indziej i swój kawiar posyłają lądem do Berlina, do Wiednia i do Paryża. Są wyznania starowierskiego, czysta poroda kozacka z północnej Ukrainy. Do 1853 odbywali służbę na szalupach kanonierskich, teraz należą do Rumunji; ale gdyby nie przywiązanie do miejsca i do ryb Dunajowych, jużby dawno ztamtąd wyszli, tak im sromotno zostawać pod władzą rumuńską. Po dwakroć razy chcieli się przenosić na wyspę Leti, na ziemię turecką, ale rozprzężenie kozactwa na Dobrudży od tego ich wstrzymało.

ROZDZIAŁ V.

[1]) Strona 70. Razelm, powinno się zwać jezioro Razina na cześć imienia Stenka Razina.

[2]) Strona 73. Do dzisiejszego dnia przechowały się wszelkie zwyczaje rybnej łówki Zaporozkiego kosza, tylko że dawniej kozacy to wprost od Rządu wynajmowali wolność łowienia, a teraz od Armianów.

ROZDZIAŁ VI.

[1]) Strona 87. W jednej Serbji Cyganie mają obywatelstwo, służbę wojenną i są osiedleni. Tworzą oni dzielną jazdę, która zastosowana i użyta w dzisiejszym systemacie wojny, może stanąć obok Ułanów pruskich, a nawet i przy Kozakach Dońskich.

[2]) Strona 88. Pałan, siodło tureckie, na którem jeżdżą kobiety.

[3]) Strona 90. Temlańskie wino na Donie zwane wymorąkiem. Smak podobny do Szampańskiego, tylko bardzo mocne.

ROZDZIAŁ VII.

[1]) Strona 106. Przebieg o działaniach niewidomego przez widomych, jest opartym na opowiadaniach ludzi prawych, sumiennych, którzy uczestniczyli w tym śmiesznym marszu, który się ukończył na jeszcze śmieszniejszej wyprawie. Jan zgrzeszył a Piotra powiesili, bo Jan się nie dawał a Piotr nie miał siły i odwagi bronić się — na Rossjan szli, a Rumunów biedaków pobili!

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ VIII.

[1]) Strona 131. Zaręczyny są opisane według zwyczaju Nemolaków.

ROZDZIAŁ IX.

[1]) Strona 136. Bedowia, klacz.

[2]) Strona 136. Czambuł, wyraz tatarski hurma, kupa. Czambułem wojsko idzie, rozrzucone kupami.

[3]) Strona 140. Siurgun, wygnaniec z Europy do Azji i vice-versa — z gubernji ajaletu do gubernji ajaletu, za przestępstwo polityczne, za zbyt ruchliwe prowadzenie się i inne przestępstwa tego rodzaju — nawet za bałamucenie kobiet — ale to ostatnie sięga tylko chrześcian, bo postępują przeciwko dziesięciorgu przykazaniom, które uznał Chrystus Pan. Owszem bałamucić, uwodzić i nawracać na Islam giaurki, byle ładne, jest pewną zasługą, przeciwko której niestety walczą konsulowie kapitulacjami, jakby to były kartaczownice.

[4]) Strona 140. W całej Sławiańszczyznie medycyna ludowa nakazuje zabijać robaka wódką; a że z bardzo małym wyjątkiem, cały ród sławiański jest robaczywy, więc pije żeby się wykurować — a żydzi na siebie przyjęli misję lekarzy i aptekarzy tej choroby.

[5]) Strona 148. Czokoj, drobny szlachcic rumuński, czynszowy i dzierżawca.

ROZDZIAŁ X.

[1]) Strona 154. Westiaryja, skarb, kaźna rumuńska, bardzo ponętna i od dawnych czasów dla Polaków.

[2]) Strona 154. Frateszti, bracia.

ROZDZIAŁ XI.

[1]) Strona 174. W Nowogródku litewskim, P. S. znany szuler i bałamut kobiet na Litwie i na Rusi. W roku 1824 zgrał wszystkich oficerów pułku ułańskiego Wołyńskiego, począwszy od kaznaczeja aż do pułkownika i zbałamucił kilka pań i panienek, mianowicie panią, P., niegdyś kochankę pułkownika F., która wyszła za oficera od huzarów, brata rzemiosła P. S. — Pułkownik F. rozjątrzony, pogroził aresztowaniem P. S. i odesłaniem go wprost do Petersburga. P. S. został znaleziony przez pana Żuka pod sarafanem pani P. — może ta anegdotka prawdziwa posłużyć do obrazku życia salonowego.

ROZDZIAŁ XII.

[1]) Strona 194. Kurc i Słonczewski, sławni tancerze, mistrze tańców, pierwszy w Berdyczowie, drugi w Krzemieńcu.

[2]) Strona 197. Opis życia, zwyczajów i pochodu Cyganów jest jak najwierniej podanym. Z tych co widziałem przez długoletni mój pobyt w rozmaitych miejscach Turcji, szczególniej w pochodach Cyganów z Besarabji, z Ukrainy i z Litwy do Serbji.

[3]) Strona 197. Osady cygańskie w Serbji podsilają się corocznie nowymi przybyłcami, jakby ochotnikami z nakazu. Widać że władza tajemnicza Cygańska musi się tem zajmować.

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ XIII.

[1]) Strona 215. Karagiorgiewicze i Obrenowicze.

[2]) Strona 217. Niedźwiedzie litewskie są w wielkiem poszanowaniu u Cyganów Rumunji i Serbji i całej Turcji, Akademja Smorgońska znana, jak niegdyś Uniwersytet Wileński a teraz Kijowski.

[3]) Strona 217. Obrząd zaślubin cygańskich widziałem taki i tak go opisałem.

ROZDZIAŁ XIV.

[1]) Strona 224. Race, Sławianie, Serbowie, Słowacy, na pogardę przezwani przez Madziarów — jak Raje, Giaury, albo Sklawy, Esklawy, epiteta dawane tym biednym Sławianom i słusznie, bo ich jest w Europie ośmdziesiąt miljonów, a tak się dają poniewierać.

ROZDZIAŁ XV.

[1]) Strona 247. Polska miała takoż swoich Donżuanów. Pan Iwanicki z Włodzimirskiego za donżuaństwo osadzony na wieży w Dubnie. Oglądany przez cesarza Aleksandra pierwszego tylko z ciekawości, został natychmiast uwolnionym, na zdanie cesarza, że tak piękny mężczyzna nie może być winnym, bo nie ma w świecie kobiety, którąby nie chciała być jego kochanką, a wszystkie żonami być nie mogą.

Par Albert Grzymała, Referendarz Stanu, był Donżuanem nawet w Paryżu. Panie i panny z rodziu królewskich i kwiatu arystokratycznego, za nim przepadały. I w czasie kiedy pan Franciszek Grzymała sielanki skandował, pan Albert Grzymała donżuanował i w swoim fachu był większym artystą od swojego imiennika.

W pułku kozackim Otomańskim był kapitanem Książe Bzedelach, kabardyniec, wychowany w Petersburgu i w Warszawie. W 1854 roku w Szumnie cztery Turczynki, mężatki, tak się rozkochały w tym oficerze, że jednego wieczora wszystkie cztery przybiegły do obozu pod jego namiot. Nierozważny a litościwy, poprzebierał je w mundury kozackie — ztąt szkandal, poszukiwanie i stawianie przed radę wojenną, której prezydował Serdar Ekrem, Omer Pasza. A był na niej przytomnym generał Prim. Sąd uznał niewinnym oficera, ponieważ Serdar oświadczył, że gdyby był kobietą, na kraj świata poszedłby za tak pięknym mężczyzną. Wszyscy sędziowie byli tego zdania. Kapitan Bzedelach był przykomenderowanym do sztabu angielskiego, a mężom kazano się pojednać z żonami. I tak skończył się rapsod donżuaństwa.

ROZDZIAŁ XVI.

[1]) Strona 265. Wyrugowanie starowierca z Dobrudży było dziełem propagandy towarzystwa demokratycznego polskiego, połączonego w tej robocie z agentami jezuickimi polskimi.

Rozbijanie organizacji kozaków Otomańskich było usiłowaniem agencji ostatniego powstania polskiego i to, co o tem piszę, jest jak najautentyczniejszem — niestety!

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH
Biblioteka
ul. [illegible] N. 72
00-[illegible] W[illegible]
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
507
10-11

http://rcin.org.pl